

# Conan barbarzyńca

Carter Lin

Książka XXVIII z Conan



calibre 0.9.43

Lin Carter & L. Sprague de Camp

**Conan barbarzyńca**

**Cykl: Conan tom 28**

**Tytuł oryginału Conan The Barbarian  
Przełożył Cezary Frąć**

# Prolog

Wiedz, o Książę, że po upadku Atlantydy, której wspaniałe miasta pochłonęły fale bezkresnego oceanu, a przed narodzeniem się potęgi synów Ariów, nastał tajemniczy wiek złoty, a blask niezliczonych królestw dorównywał blaskowi gwiazd na aksamicie nocnego firmamentu. I naonczas w mroźnych górach Północy przyszedł na świat Conan, syn kowala, złodziej, bandyta, zabójca, który obutymi w sandały stopy miażdżył zdobne klejnotami najdumniejsze trony Ziemi.

I wiedz, o Książę, że w tym na wpół zapomnianym wieku najwspanialszym królestwem była Aquilonia, wiodąca prym na baśniowym Zachodzie. A ten sam Conan, ów złodziej i bandyta, zasiadł na tronie Aquilonii jako Conan Wielki, najpotężniejszy pan swoich czasów. O latach jego młodości snuto niezliczone opowieści, z tego też powodu trudno dziś odsiać prawdę od wielu wymysłów i legend.

Kroniki nemediańskie

# I

## Miecz

*Zostałem wyniesiony, ja Kallias z Shamaru, ponad wszystkich moich braci skrybów z Aquilonii, by usłyszeć z ust mego króla, Conana Wielkiego, historię jego podróży i przygód, które spotkały go w drodze na szczyt władzy. Oto opowieść, jaką przekazał mi w czasie ostatnich dni swego wladania, gdy wiek, aczkolwiek lekko, położył na nim swą rękę.*

Na skalistej grani, którą porywisty wiatr oczyścił ze śniegu, mężczyzna i chłopiec opierali się wściekłym podmuchom burzy. Dookoła nich, niczym demon, ryczał nocny wichur. Błyskawice rozdzierały udręczone niebo, rozbiły kamienie i chłostały drżącą ziemię biczami ognia. Mężczyzna, krzepki, zarośnięty niczym troll, stał na szeroko rozstawionych nogach i w tej oślepiającej poświacie zdawał się olbrzymem. Obszerne futra chroniły jego masywne ciało przed ukąszeniami zimna. Chłopiec, podobnie przyodziany, miał może dziewięć lat.

Mężczyzna rozpiął płaszcz, którego poły załopotwały niczym sztandar na tle nocnego nieba, i wyciągnął z pochwy wielki dwuręczny miecz — broń bogów. Wypowiedział formułę starożytnego zaklęcia i pchnął ostrzem prosto w serce burzy. Zapiierając się stopami o skaliste podłoże, ciął powietrze swą wspaniałą bronią. Niskie chmury kłębiły się wokół niego, jak gdyby głównia naprawdę przesywała i raniła firmament.

— Słuchaj, Conanie! — zawołał mężczyzna, przekrzykując ryk burzy. — Ogień i wiatr, zrodzone w łonie niebios, są dziećmi bogów. A najpotężniejszym z bogów jest Ojciec Crom, który włada ziemią, niebiosami oraz szerokim i niespokojnym morzem. Tam, gdzie króluje Crom, jest wiele sekretów, lecz najcenniejszym z nich jest tajemnica stali. To sekret, którego bogowie nie zdradzili ludziom, lecz zazdrośnie skryli w najgłębszych zakamarkach swych serc.

Chłopiec spojrział na twarz potężnego mężczyzny, tak surową w zmiennym świetle błyskawic, jak granitowa skała pod ich stopami. Mężczyzna powoli cedził słowa, podczas gdy zawodzący wiatr targał go za brodę, jak gdyby próbując uciszyć.

— Niegdyś giganci zamieszkiwali ziemię, a może i żyją do dzisiaj. Byli zręczni i mądrzy, obrabiali kamienie i drewno, wydobywali klejnoty i złoto. W ciemnościach chaosu oszukali nawet Crom, ojca bogów. Podstępem wykradli z Domu Nieśmiertelnych najbardziej cenną tajemnicę: sekret wykuwania srebrzystego metalu, który wygięty, powraca do poprzedniego kształtu.

Gniew Crom nie miał granic. Ziemia drżała, a góry otworzyły się. Wichrem i piorunami Crom uderzył w krainę gigantów, a oni padli i ziemia pochłonięła ich na wieki. Zamknęła swe kamienne usta, na zawsze więżąc ich w swych trzewiach, w nieznanym miejscu, w którym pełzają i roją się mroczne potwory... — oczy mężczyzny rozblęskły jak błękitne płomienie wśród żarzących się węgla.

Czarne, grube włosy, targane wściekłymi porywami wiatru, rozpostarły się niczym skrzydła orła. Młody Conan zadrżał.

— Po wygranej wojnie — podjął mężczyzna — bogowie odeszli do swego niebiańskiego królestwa, ale wciąż gniewni, przeoczyli sekret stali i zostawili go na polu bitwy. Tam znaleźli go pierwsi ludzie, legendarni mieszkańcy Atlantydy, nasi przodkowie z początków dziejów.

Conan zaczął coś mówić, ale mężczyzna ostrzegawczo podniósł dłoń.

— I tak my, którzy jesteśmy ludźmi, posiadliśmy sekret stali. A przecież nie jesteśmy bogami ani nawet gigantami. Jesteśmy śmiertelnikami, słabymi i głupimi, a nasze dni są policzone. Postępuj ostrożnie ze stalą, synu, i czuj przed nią respekt, bowiem ona zawiera tajemnicę i moc.

— Nie rozumiem, ojcze — wyjąkał chłopiec. Mężczyzna potrząsnął czarną grzywą.

— W swoim czasie zrozumiesz, Conanie. Zanim mężczyzna stanie się godnym noszenia miecza ze stali — broni, której bogowie użyli niegdyś przeciwko gigantom, musi rozwiązać jej zagadkę. Musi zrozumieć duszę stali. Wiedz, że nie możesz ufać nikomu w świecie, ani mężczyźnie, ani kobiecie czy zwierzęciu, ani duchowi, demonowi czy bogowi. Ale możesz zaufać dobrze wykutemu ze stali ostrzu.

Mężczyzna ujął małe dłonie syna i zacisnął palce chłopca na rękojeści miecza, mówiąc:

— Serce mężczyzny jest niczym kawał surowego żelaza. Musi zostać wykute przez nieszczęścia oraz ukształtowane przez cierpienia i przeszkody rzucone przez nieczułych bogów. Musi być kute aż do granic ludzkiej wytrzymałości. Musi zostać oczyszczone i zahartowane w ogniu gniewu. Musi zostać uformowane i oczyszczone na kowadle rozpacz i straty.

Tylko wtedy, gdy twoje serce stanie się niczym skała, będziesz godny władać stalowym mieczem w bitwach i pokonywać nim wrogów, tak jak bogowie mrocznych gigantów. Kiedy posiadasz tajemnicę stali, twój miecz stanie się twoją duszą.

Conan przez całe życie wspominał słowa ojca, wypowiedziane w tę szarpaną piorunami noc. Po pewnym czasie zaczął rozumieć owe tajemne zdania, pojmować przesłanie, które ojciec usiłował mu przekazać. Jedynie dzięki bólowi i cierpieniu serce człowieka może stać się tak mocne jak stal. Jednak minęło wiele długich lat, zanim ta mądrość dotarła do niego w pełni.

Conan równie dobrze zapamiętał inną noc, tę, która miała miejsce dwa tygodnie wcześniej. Opalizujący dysk księżyca wisiał na czystym, czarnym niebie niczym srebrna czaszka na ciemnym całunie. Śnieg świecił niesamowitym blaskiem, a zimny wiatr jęczał pomiędzy ośnieżonymi czubkami sosen, gdy przez śpiącą wioskę szedł do kuźni ojca. Tam czerwone płomienie ogniska odpierały ciemność. Buzujące palenisko obryzgiwało złotem i purpurą skórzany fartuch i popalone żużlem spodnie kowala. Żar połyskiwał w kroplach potu na czole mężczyzny i pełgał po twarzy chłopca, który z otwartymi ustami stanął przy uchylonych drzwiach.

Kowal niezmordowanie poruszał miechami. Po pewnym czasie chwycił długie szczypce, wsunął je w głąb oślepiającego paleniska i wyciągnął rozżarzoną do białości długą, płaską sztabę żelaza. Położył ją na kowadle i zaczął kuć. Każde dźwięczące uderzenie rozsiewało deszcz czerwonych iskier.

Kiedy żelazo stygnąc od białości przez żółty osiągnęło barwę ciemnej czerwieni, kowal ponownie włożył je do paleniska i zaczął dąć w miechy. Gdy w końcu odwrócił się do drzwi i zobaczył chłopca, jego surowa twarz złagodniała.

— Co tutaj robisz, synu? O tej porze powinieneś spać.

— Powiedziałaś mi, ojczu, że mógłbym patrzeć, jak zmieniasz żelazo w stal.

— Zostań. Być może skończę dzisiejszej nocy. Ludzie z tutejszych klanów myślą, że kowal Nial, zmieniający żelazo w stal, jest czarownikiem i nie chciałbym ich rozczarować.

Prawdę mówiąc, Nial był dla swych sąsiadów półbogiem. Przybył z rodziną z południowych kresów Cymmerii, niosąc w sercu tajemniczą sztukę — sekret stali, drogocenne dziedzictwo starożytnych Atlantów.

Gdy chłopiec zbliżył się, kowal znów wyciągnął żelazo z paleniska.

— Stań z tyłu, Conanie. Iskry latają wysoko, nie chcę, by wyrządziły ci krzywdę.

Kowadło znów zadzwoniło niczym dzwon. Fontanna iskier wzbiła się i opadła przed trującym się kowalem. Rozżarzony kawał żelaza powoli przybierał kształt potężnego brzeszczota. Kowal uniósł metal szczypcami i mrużąc oczy spojrzał wzdłuż ostrza. Dostrzegł nierówności, które wyrównał kilkoma zręcznymi uderzeniami.

Po kolejnym rozgrzaniu i sprawdzeniu, Nial wrzucił pałające żelazo do kadzi z wodą, by zahartować metal przed ostateczną przemianą w stal. Rdzeń zasyczał niczym wąż, a buchająca chmura pary na moment przyoblekła kowala w prześwitujący strój boga.

— Podaj mi kubek z węglem — rzekł Nial do przejętego syna. — By stal stała się mocna, a zarazem giętka, ostrze należy wypalić w żarze węglowego łoża. Oto sekret, który posiadał lud Atlantydy. Oto wiedza, którą przyniosłem tutaj z południa, gdy odeszliśmy z naszego byłego klanu. Popatrz, w ten sposób zmniejszam żar...

Kiedy głównia całymi dniami wygrzewała się pod warstwą gorejących węgli, Conan patrzył, jak ojciec trzyma nad pozostałymi elementami miecza. Jelec z brązu został uformowany na podobieństwo jelenich rogów. Długą rękojeść Nial owinał rzemieniem skręconym z tygrysiich jelit, a wieńczącą ją żelazną głowicę wykuł na kształt kopyta łosia, by można było zmiażdżyć nią czaszkę wroga.

Gdy w końcu broń została złożona, zachwyciła oko swym surowym i groźnym pięknem. Wypolerowane ostrze błyskało jak lustro, a gdy odbijało słoneczne promienie, zdawało się, że w metalu uwiecznione zostały duchy powietrza.

— Czy to już wszystko, ojczu? — zapytał chłopiec pewnego wieczora.

— Pozostała jeszcze jedna rzecz do zrobienia — rzekł kowal. — Chodź, a zobaczysz.

Po latach Conan wspominał, jak czoło nadciągającej burzy zaćmiewało gwiazdy, a ojciec prowadził go w góry, na zasłany śniegiem szczyt. W trakcie wspinaczki wiatr przybierał na sile, szarpiąc futra, które ich okrywały. Pokonywali przysłonięte śniegiem szczeliny, kamieniste zbocza i urwiste skały, na których ledwie mogli znaleźć oparcie dla stóp. Gdy dotarli na szczyt, przetoczył się grzmot. Potem rozszalała się burza.

I tam, w furii żywiołów, odbył się tajemniczy obrzęd, który miał sprawić, by broń stała się niezwyciężona.

Właśnie wtedy, w tę dziką noc burzy i zaklęć, Conan przeżył swą pierwszą lekcję cierpienia. Była okrutna i zbyt wczesna dla tak młodego chłopca. Jednak ludzie Północy są wytrzymali, ich życie toczy się wśród niebezpieczeństw, a ręce obcych często i z nienawiścią wnoszą się przeciwko ich rodowi.

Moc niechętnie ustępowała przed pierwszymi oznakami mroźnego poranka. Płynący welon chmur

przysłonił bladą, strapioną twarz księżycy. Jedyne zdruzony wiatr zakłócał ciszę szepcząc coś w gałęziach nagich drzew.

Nieoczekiwane spokój przerwały wrzaski jeźdźców przedzierających się przez krzaki. Konie podkute żelazem skruszyły cienki lód, który pokrywał strumień przepływający obok wioski. Mroczni i ponurzy jeźdźcy, ubrani w skórzane, nabijane żelazem zbroje, dzierżący topory, włócznie i miecze w okrytych rękawicami dłoniach, otoczyli szybko skupisko chat.

Wyrwani ze snu mieszkańcy odkryli, że droga pomiędzy zabudowaniami pełna jest konnych najeźdźców.

Zaskoczeni i dezorientowani, wybiegali z domów, w pośpiechu naciągając szaty i chwytając broń. Jakaś kobieta, krzycząc rozdzierająco, wywlokła dziecko spod kopyt stojącego dęba konia. Jeździec z rykiem triumfu pochylił się w siodle i pchnął włócznią w plecy matki. Kobieta zatoczyła się, gdy włócznia przeszła ją na wylot, wychodząc między piersiami. Upadła dopiero wtedy, gdy wojownik klnąc wyrwał drzewce z jej ciała. Potem wszystko zawirowało.

— Vanirowie! — krzyknął Nial wymachując kowalskim młotem.

Mały Conan zatrzymał się w progu chaty i patrzył oszołomiony, chcąc doszukać się jakiegoś porządku w otaczającym go chaosie. Jednakże wokół nie było nic prócz bezmyślnej rzezi. Obok chłopca przebiegła blada z przerażenia dziewczyna. Za nią pędził chudy czarny ogar, z rozwartymi szczękami i czerwonym, wywalonym jęzorem. W chwilę później bestia przewróciła swą ofiarę i wyszarpnęła z jej szyi krwawy strzęp ciała. Na oczach Conana, ręka dziewczyny, niczym ryba wyrzucona na brzeg, zaczęła konwulsyjnie rozbryzgiwać śnieg i błoto.

Nagi cymmeriański myśliwy, uzbrojony w olbrzymi topór, z rykiem rzucił się w środek bitwy, zataczając bronią mordercze kręgi. Trafił konnego w biodro, odrabując mu nogę. Vanir spadł z siodła, a jego krew trysnęła czerwonym łukiem na śnieg. Dookoła uderzały podkowy, dzwoniło żelazo i rozlegały się wojenne okrzyki Vanirów, a ponad wszystkim Conan słyszał przeraźliwy lament kobiet, wrzaski rannych oraz jęki umierających. Ojciec Conana potracił syna, znikając w chacie, by po chwili powrócić z nowym wielkim mieczem. Zaczarowane ostrze, błyskając zimnym światłem na tle porannego nieba, zmiatało wszystko przed sobą. Vanirowie jeden po drugim spadali z koni z wnętrzościami wylewającymi się na stratowany śnieg.

Conan otrząsnął się z paraliżującego strachu, schwycił upuszczony przez kogoś nóż i rzucił się w wir walki, zdecydowany dołączyć do ojca. Niestety, walczący napierali na siebie z taką siłą, że nie mógł się przedrzeć, ale udało mu się ukłuć nożem wielkiego wojownika, który odskakując wpadł pod zamaszysty cios kowala. Odcięta głowa najeźdźcy przeleciała niczym dobrze ciśnięta piłka w błoto u stóp Conana. Przerażony chłopiec szarpnął się do tyłu, włos zjeżył mu się na karku, a oczy niemal wyskoczyły z orbit.

Następny Cymmerianin rzucił się, by stanąć u boku Niala. Jednak napastnicy mieli konie i byli doskonale uzbrojeni. Ich piersi chronił brąz i żelazo, mieszkańcy wioski zaś byli na wpół nadzy i uzbrojeni jedynie w to, co zdołali chwycić w momencie brutalnego przebudzenia — drewniane motyki i grabie. Tylko niektórzy wrócili po broń. Kilku miało tarcze ze skóry, naciągniętej na drewniane obręcze. Jednakże stanowiły one mizerną ochronę przed uderzeniami ciężkiego żelaza Vanirów.

Nie mogąc dotrzeć do ojca, Conan zaczął szukać matki, ale w zgiełku i zamieszaniu bitwy nie mógł jej dostrzec. Uciekał, uchylał się i odskakiwał przed galopującymi końmi. Ze wszystkich stron otaczała go rzeź. W śniegu leżały odcięte, tryskające krwią ręce, których palce nadal zaciskały się na

drzewcach włóczy. Kobiety pędziły, by ukryć dzieci w bezpiecznych miejscach. Potykały się i przewracały, a chwilę później kopyta miażdżyły ich czaszki. Bezbronne dzieci padały w zasy zbrzyzgane — go krwią śniegu.

Krzyk starego mężczyzny urwał się, gdy grot strzały przeszył mu język. Inny kulił się w kałuży lodowatego błota. Jego oko wisiało na nitce tkanki, a oszalały z bólu starzec próbował wcisnąć je na swoje miejsce.

Ponad wrzaskiem i łoskotem Conan usłyszał podniesiony głos ojca:

— Konie! Zabijajcie konie!

Kowal wznosił miecz na rumaka bojowego, który w chwili, gdy ostrze rozszczepiało mu kręgosłup, zakwiczał przeraźliwie.

Conan dostrzegł w końcu matkę, stojącą boso na stratowanym śniegu. Patrząc prosto w oczy najeżdźcom, roztaczała wokół siebie aurę majestatu. W jej oczach płonęła furia. Włosy opadały kaskadą na ramiona, a ręce zaciskały się na rękojeści miecza. Przed nią wznosiła się sterta okrwawionych ciał Vanirów i ich bezlitosnych psów. Gdy chłopiec dotarł do niej, spojrzała na potarganą grzywę gęstych czarnych włosów — takich samych jak włosy ojca — i ścisnęła rękojeść z nową siłą.

Conan podniósł głowę i dostrzegł olbrzymiego mężczyznę, mrocznego i nieruchomego niczym posąg, siedzącego na grzbiecie wielkiego ogiera. Koń i jeździec stali na szczycie wzgórza na skraju wioski. Chłopiec nie widział twarzy wodza Vanirów. Zamiast tego oczy Conana przywarły do godła, zdobiącego opancerzoną pierś i żelazną tarczę wojownika.

Był to dziwny symbol. Dwa wpatrujące się w siebie czarne węże splecionymi ogonami podtrzymywały wystrzępiony dysk czarnego słońca. Ten widok przepęłnił serce Conana strachem i przeczuciem nieszczęścia.

Mężczyźni i młodzieńcy, którzy przeżyli pierwszą szarżę, utworzyli wokół kowala żywy mur. Niał, górujący wzrostem nawet nad najwyższymi Cymmerianami, raz po raz wykrzykiwał swe wojenne zawołanie. Szczęk zderzającego się metalu zagłuszał krzyki umierających. Vaniorowie cofnęli się. Ich konie o oszalałych ślepiach zataczały się i tańczyły pod ciosami prymitywnej broni obrońców.

Nagle czarny jeździec wznosił dłoń, wstrzymując wojowników od ponownej szarży. Na jego żelaznym hełmie rozbłysły promienie wschodzącego słońca, nadając przywódcy aurę straszliwej potęgi.

— Użyją łuków — wyszeptała matka Conana. — Wystrzelają naszych, nie podchodząc pod cios cymmeriańskiej stali.

— Cromie, dopomóż! — wymamrotał chłopiec.

Matka spojrzała nań surowo.

— Crom nie wysłucha ludzkich modłów, synu. Crom jest bogiem mrozu, gwiazd i burzy. Słabi ludzie i ich modlitwy budzą jego śmiech.

Wkrótce słowa Maeve, żony kowala, sprawdziły się. W powietrzu zaświstały strzały Vanirów. Z głuchym łoskotem trafiały w drewniane chaty, przeszywały skórzane tarcze i po same lotki wbijały się w nagie ciała. Śmiercionośny deszcz raził nielicznych obrońców, dopóki tarcza z żywych ciał nie zachwiała się i nie runęła pod jego naporem.

W końcu przemówił olbrzym, przyglądający się rzezi z grzbietu swego wierzchowca. Jego



głęboki, niesamowity głos rozbrzmiał niczym dźwięk żałobnego dzwonu.

— Spuścić psy.

W dół zbrocza runęły warczące i ujadające bestie o czerwonych jęzorach. Ich wydłużone sylwetki odcięły się czarno na tle cynobrowego wschodu. Jeden z Cymmerianów zacharczał i z psem wiszącym u gardła runął w brudny śnieg. Inny przebił zwierzę w połowie skoku. Trzeci zawył chrapliwie, gdy ostre kły zamknęły się na jego ramieniu. Ostatni towarzysze kowala poszli w rozsypkę. Bezludnie, z poszczerbionymi i skrwawionymi mieczami rzucili się na wściekłe zwierzęta.

— Łucznicy! — krzyknął znów mroczny gigant. — Strzelać!

Syczący grad śmierci raz jeszcze posypał się na niedobitków. Jedni wili się w zdeptanym śniegu, inni zataczali, gdy nadlatujące strzały przebijały ich skórzane tarcze. Przez chwilę Conan widział swego ojca, stojącego samotnie z tarczą nabitą strzałami. Potem jeden z pierzastych pocisków trafił kowala w udo. Zraniona noga ugięła się pod ciężarem ciała. Nial z przekleństwem padł na plecy. Jego ręka spróbowała jeszcze unieść miecz, lecz strzała przyszpiliła ją do ziemi. Po chwili doskoczyły psy.

Wkrótce było po wszystkim.

## II

# Kierat

Jeźdźcy stanęli w strzemionach i runęli przez wioskę. Ich bezlitosne ostrza mordowały wszystkich, którzy jeszcze stawiali opór. Płonące pochodnie padały na dachy domów. Ci, którzy szukali w nich schronienia, wpadali na otwartą przestrzeń i ginęli pod ciosami najeźdźców.

Wrzeszczący wojownicy przeszywali włóczniami młodych, starych i rannych. Maeve cięła jednego, który gapiąc się szyderczo, pochylił się w siodle, by ją złapać. Na jej spękanych wargach błysnął cień uśmiechu, gdy krwawiące ciało pacnęło w błoto. Cymmerianka wyciągnęła miecz z rany i pchnęła nim w serce konia. Conan rzucił się na zwijającego się w agonii jeźdźca i podciął mu gardło.

Jednak obrońcy byli już nieliczni i ich opór nagle się skończył. Ocalali, oszołomieni i przygnębieni, ciskali broń pod nogi swoich pogromców. Postąpili tak wszyscy poza Maeve, żoną Niala i matką Conana. Jej oczy płonęły w poblądłej twarzy. Wsparła się na mieczu, dysząc ciężko. Jej syn zaś stał obok z zakrwawionym nożem.

Majestatyczny jeździec trącił ostrogami lśniące boki wierzchowca. Koń ruszył po śniegu splamionym krwią martwych i umierających. Powolne, opanowane ruchy jeźdźca były bardziej przerażające niż furia jego ludzi. Chociaż twarz miał zasłoniętą żelazną przyłbicą, wszystkim, którzy widzieli jego sylwetkę na tle nieba, jawił się jako król demonów. Jego wierzchowiec zdawał się nie zwykłym, ziemskim koniem, ale bestią z głębin piekła.

Kiedy to mroczne widmo zbliżyło się, Vanirowie pochylili głowy i wyskandowali chórem:

— Bądź pozdrowiony, Rexorze! Pozdrawiamy cię, Rexorze! I Dooma... Dooma... Thulsa Dooma...

Wódz zjechał z drogi, na moment znikając za płonąca chatą. Niemal natychmiast rozjaśniło się, jakby wiatr rozwiął ponurą chmurę. Vanirowie ożywili się i ruszyli do samotnej kobiety, która stała z mieczem w ręku i dzieckiem u boku.

Z szyderczym śmiechem i sprośnymi gestami dwaj wojownicy wymierzili włócznie w kierunku na wpół obnażonych piersi kobiety. Maeve płazem miecza odbiła w bok jedną z nich. Vanir ze śmiechem odskoczył do tyłu. Jego towarzysz miał mniej szczęścia. Gdy wymachiwał drzewcem mierząc w jej głowę, Maeve lewą dłonią złapała włócznię i cięła w ramię napastnika. Mężczyzna umknął w bok, a jego ręka zakołysała się jak martwa. Wojownik, klnąc i zgrzytając zębami, zdrową ręką sięgnął po miecz.

W tej chwili zza chaty wynurzyła się otulona futrem postać wodza, mrocznego niczym sama śmierć. Jeździec nie wyrzekł ani słowa, ale ranny mężczyzna jakby się skurczył i chyłkiem wycofał za plecy towarzyszy. W odpowiedzi na niemy znak, inny Vanir uchwycił uzdę ogiera bojowego, a

jeździec zsunął się na ziemię. Władczym gestem wskazał miejsce, gdzie leżał martwy kowal z dłonią na rękojeści swego ostatniego arcydzieła.

Pragnąc jak najszybciej wykonać rozkaz olbrzymiego dowódcy, wojownik podbiegł do ciała kowala. Podniósł ostrze, którego żaden człowiek nie zdołałby wyrwać z ręki żywego Niala, i pośpieszył, by wręczyć je swojemu panu. Maeve zmrużonymi, błękitnymi jak lód oczami obserwowała biegnącego mężczyznę. Conan dopiero teraz z przerażającą jasnością uświadomił sobie, że jego ojciec nie żyje. Rexor wziął miecz z ręki Vanira i podniósł go, by w promieniach wschodzącego słońca obejrzeć to wspaniałe dzieło kowalskiej sztuki. Gdy metal zamigotał czystym blaskiem, Conan bezskutecznie spróbował zdusić rodzący się w gardle szloch. Matka uspokajająco położyła dłoń na jego ramieniu. Jakiś żołnierz roześmiał się szyderczo.

Nagły szmer zmasał uśmiechy z twarzy wojowników otaczających chłopca i kobietę. Conan spojrział w górę. Wysoko na tle wschodzącego słońca wznosił się i przybliżał proporzec na hebanowym drzewcu. Rozpięty na drewnianej ramie, ozdobionej zwierzęcymi rogami, wspaniały materiał falował leniwie w nieruchomym powietrzu. Chłopiec znów ujrzał symbol, który miał go potem nawiedzać w snach — złowieszczo splecione węże, podtrzymujące krąg czarnego słońca.

Z drzewca zwisały się przerażające frędzle skalpów, a na kolcach na górnej części ramy szczyrzyły się drwiąco białe czaszki. Nawet Rexor schylił głowę, gdy złowieszczy sztandar przepływał obok, wchłaniając, zdawałoby się, całe światło słońca. Conan cofnął się na widok dziwnego chorążego, który, mimo hełmu i skórzanej zbroi, bardziej przypominał zwierzę niż człowieka. Duma, z jaką wznosił w górę promieniujący złem symbol, świadczyła, iż nie ma w nim krzty człowieczeństwa.

Za tym zniekształconym potomkiem diabelskiego rodu jechała wspaniała postać w zbroi opalizującej niczym węzowa łuska. Wysadzany klejnotami hełm przysłaniał nos i policzki, tak że widoczne były jedynie oczy, płonące nieczystym ogniem.

Rumak, na którym jechał, był taki sam jak jego pan; smukły i pełen gracji. Jego grzbiet zdobił rząd nabijany szlachetnymi kamieniami, a ślepią zarzyły się niczym płonące węgle. Na takim rumaku, pomyślał Conan, upiory z najgłębszych partii piekieł tratują zieloną ziemię. Gdy wielka bestia, kierowana przez wspaniałego jeźdźcę, biła kopytami skrwawiony śnieg, zgięci w głębokim ukłonie Vanirowie powtarzali jak modlitwę jedno słowo:

— Doom... Doom... Doom!

Potężny Rexor ujął uzdę, gdy jego pan zsiadał z demonicznego wierzchowca. Zamienili ledwo jedno czy dwa słowa, po czym odwrócili się, by spojrzeć na Cymmeriankę, która spięta i ponura szybkim ruchem uniosła miecz. Maeve wyczytała groźbę w ich oczach i niczym pantera przygotowująca się do obrony młodych wysunęła stopę, przyjmując pozycję do zadania ciosu.

Mężczyzna w wysadzonym klejnotami hełmie zdjął rękawicę i wyciągnął dłoń po miecz kowala Niala. Rexor skłonił się, podając broń swemu panu.

— Doom... Doom... Doom! — zaintonowali raz jeszcze Vanirowie wymawiając to imię jak zaklęcie.

Doom kroczył wolno w stronę matki i syna. Jego oczy jaśniały, gdy spoglądał na doskonałą broń, którą trzymał w ręku. Zdawało się, iż skupił całą uwagę na świetnym ostrzu i obracał je to w tę, to w tamtą stronę, podziwiając ostrą jak brzytwa klingę, doskonałe wyważenie i wspaniałe wykonanie. Jasna niczym lustro stal połyskiwała w promieniach słońca, emanując wręcz skrzącą się rzeką

światła.

Kiedy krąg zbrojnych rozstał się, Maeve zacisnęła szczęki i postąpiła krok do przodu. Szybki wdech zdradził jej zamiary.

Nieoczekiwanie Doom spojrział na nią. Płynnym ruchem zdjął kosztowny hełm, odsłaniając mroczną, przystojną twarz. Przelotny uśmiech wykrzywił jego usta, a coś jakby podziw zabłysł czerwienią w jego węgliście czarnych oczach. Kobieta stała jak sparaliżowana, zafascynowana, a jednocześnie przerażona władcą postawą przeciwnika i otaczającą go przemożną aurą męskości.

— Doom... Doom... Doom! — monotonie skandowali Vanirowie.

Przez długą chwilę Doom wpatrywał się w rozszerzone oczy matki Conana. Jej wspaniale ukształtowane piersi, gładzone przez różowe światło poranka, wznosiły się i opadały w rytm oddechu. Wtem mężczyzna przemknął obok Cymmerianki, całkowicie lekceważąc wzniesiony miecz, jak gdyby nie istniało żadne niebezpieczeństwo. Sposób, w jaki się poruszał, był zmysłowy, pociągający i emanujący męskością. Maeve nie poruszyła się ani nie odezwała. Trwała w całkowitym bezruchu, oczarowana niby kuropatwa kuszącym spojrzeniem węża.

Doom mijając ją, lekkim, wręcz niedbałym gestem ciał wielkim mieczem z nieprawdopodobną zręcznością i siłą. W mroźnej ciszy rozległ się ohydny dźwięk ostrza uderzającego w ciało.

Bez krzyku czy nawet sapnięcia Maeve upadła, tak jak drzewo pada pod siekierą drwala. Półprzytomny z przerażenia Conan z niedowierzaniem patrzył, jak odcięta głowa matki toczy się w błocie do jego stóp. Na bladej twarzy Maeve nie było śladu strachu czy też bólu. W jej martwych oczach błyszczała jedynie fascynacja.

Chwilę później przepelniony nienawiścią chłopiec skoczył, by wbić nóż w szerokie plecy Dooma, jednakże jakiś Vanir rzucił się na niego, wgniótł w śnieżną zaspę i rozbroił.

Zmęczona kolumna skutych jeńców mozolnie brnęła przez nie kończące się połacie ocienionego sosnami śniegu. Starcy, kobiety i dzieci w poszarpanych strojach, ranni, przemoknięci i zubożeni, przedzierali się przez śnieg pokryty skorupą lodu i wystające spod niego skały.

Daleko za jeńcami w przedwieczorne niebo wciąż jeszcze były słupy dymu. Po splądrowaniu wioski, zrabowaniu broni, jedzenia, futer i skór, Vanirowie podpalili wszystkie chaty. Gorące węgle i popiół zostały rozrzucone przez końskie kopyta. Wiosną, kiedy słońce rozmrozi ziemię i pozwoli wyrosnąć świeżej trawie, nawet najmniejszy ślad nie poświadczy, że niegdyś mieszkali tu ludzie.

Conan słał się od uderzeń podmuchów górskiego wiatru oraz pod ciężarem łańcuchów i żelaznej obroży uciskającej mu gardło. Poruszał się powoli, a w jego głowie panował chaos. Budzące grozę wspomnienia przeplatały się z rzeczywistością, której nie rozumiał. Przeżył zbyt wiele, by jego młody umysł potrafił sobie z tym poradzić. Serce biło mu w przyspieszonym rytmie, ale poza tym nie czuł niczego. Jego emocje zostały stłumione przez koszmar na jawie, który dął się wokół niego.

Nie kończący się marsz do Vanaheimu nawet po wielu latach powracał do Conana w postaci posępnych snów. Widział zamazane, nakładające się na siebie obrazy: opatuleni w skóry jeźdźcy, krążący wzdłuż nierównego rzędu zgarbionych jeńców, budzący lęk sztandar, łopocący na tle nieba... splecione węże i czarne słońce... starzec niezdolny do dalszego marszu, rozkuty, przeszyty włócznią i porzucony w śniegu... drobne ślady krwawiących, bosych stóp dziecka... lodowaty wichur na górskich przełęczach... zmęczenie i rozpacz.

Conan nie zauważył, kiedy olbrzymi Rexor i jego tajemniczy pan rozstali się z Vanirami, ale w

pewnej chwili uświadomił sobie, że odjechali. Nagle powietrze stało się jakby świeższe, a słońce jaśniejsze. Chłopiec zastanowił się, dlaczego ci dwaj mroczni, wysocy mężczyźni, którzy bez wątpienia nie byli Vanirami, dowodzili atakiem na jego wioskę. Kiedy ośmielił się zapytać o to szeptem innego jeńca, ten wzruszył ramionami i odparł:

— Nie wiem, chłopcze. Być może Vaniorowie dobrze zapłacili im za usługi, ale nie widziałem, jak przekazywali złoto.

Jeńcy i ich panowie szli na północ krętą ścieżką, wijącą się wśród wzgórz północnej Cymmerii. Ponure nagie skały wychylały się spod opończy śniegu, a poszarpany grzbiet Eiglophians jawił się przed nimi na tle szafirowego nieba niczym rząd biało odzianych olbrzymów. Na przełęczy wokół nagich jeńców rozszalała się późna zamieć, szczypiąc ich ciała gorzkimi pocałunkami mrozu. Odrętwiałe stopy dzieci przestały wyczuwać leżące na drodze okruchy skał.

Sypał śnieg, gdy Cymmerianie wkroczyli do Vanaheimu, kraju ich wrogów. Zaczęli schodzić po drugiej stronie gór. Karłowate sosny niepewnie czepiały się kamienistego podłoża, ich powykręcane sylwetki przypominały gnomy kucające obok tuneli prowadzących do swych podziemnych siedzib. Połacie tundry nosiły rany zadane przez stada reniferów, które rozgrzebywały kopytami śnieg w poszukiwaniu wątlej trawy. Długie sznury bagiennego ptactwa ciągnęły na północ. Ich żałosny krzyk budził w sercu Conana tęsknotę i rozpacz.

Gdy mijali rozmarzające bagna, chłopiec zauważył przedzierające się między kawałkami lodu kępki trawy i pierwsze wiosenne kwiaty.

Wędrownka zdawała się nieskończona, a jednak wkrótce nadszedł jej kres.

Pewnego dnia o zmierzchu, gdy zachodzące słońce czerwonymi jak krew promieniami przeszywało mgłę osnuwającą ziemię, Conan i inni jeńcy zostali wpędzeni przez bramę w palisadzie do sporej osady, która, jak później się dowiedzieli, nazywała się Thrudvang.

Niewolników przepędzono pomiędzy kamiennymi domami niczym stado bydła. Zagnano ich do zagrody, w której stało kilka szop. Spędzili noc w jednej z nich, na twardej glinie, na której skąpo rozrzucono brudną słomę.

O świcie, po wydaniu skąpych racji chleba i zupy, wszyscy zdrowi mężczyźni zostali przykuci do masywnego kieratu, którego szprychy z grubych bali były wygładzone do połysku przez nacisk ludzkich rąk. Kierat obracał młyński kamień, który, tocząc się po granitowej płycie, swym ciężarem rozkruszał ziarno na mąkę. Więźniowie zwali go Kołem Bólu. Conan zajął miejsce obok ubranego w łachmany młodzieńca o obojętnych, martwych oczach i mężczyzny z krainy nie znanej w Cymmerii. Wszystkie uprowadzone kobiety i dziewczyny zostały zabrane na spotkanie innego przeznaczenia, może nawet bardziej okrutnego. Conan już nigdy o nich nie usłyszał.

Panem kieratu był krzepki, śniady mężczyzna o grubych rysach, który pracującym dzieciom przypominał ogra. Dzień w dzień, gdy pchali skrzypiący kierat, on stał nad płytkim dołem, w którym krążyli, i patrzył na nich z góry. Odziany w zatłuszczone futra, stał nieruchomo niczym kamienny posąg. Jedyne jego bystre, jastrzębie oczy wyszukiwały opiesziałych i leniwych.

Gdy tylko któryś z wyczerpanych niewolników padał na kolana, niezdolny do dalszej pracy, mężczyzna rzucał się ku niemu. Wkrótce potem bicz z niewyprawionej skóry śpiewał świszczącą pieśń, wypisując szkarłatne pręgi na ramionach nieszczęśnika tak długo, póki skowyczący niewolnik nie podniósł się, by raz jeszcze stanąć przy kieracie.

I tak Conan i jego towarzysze pracowali dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, dopóki dni nie zlały się w jedno. Twarze straciły wyraz, oczy zubożały, serca zostały wyprane z uczuć. Ich czas

skurczył się jedynie do obecnej chwili. Wczoraj było litościwie wymazywane ze świadomości, a jutro było nie wyśnionym jeszcze koszmarem. Kiedy jakiś niewolnik upadł i mimo razów bata nie mógł już stanąć do pracy, zarządca wzywał wszechobecnych strażników, którzy odkuwali nieszczęśnika i zabierali go nie wiadomo dokąd.

Conan bez zbytniego zainteresowania zastanawiał się czasami, czy Vanirowie karmią w ten sposób swoje psy.

Pory roku zmieniały się, a miesiące składały w lata. Niewolnicy kieratu umierali jeden po drugim. Zastępowali ich nowi, uprowadzeni przez rudobrodych wojowników. Jeden młody jeniec pochodził z Cymmerii, inni byli złotowłosymi chłopcami z Asgradu.

Kilku bardzo chudych pochodziło z Hyperborei — mieli jasne loki i mówiono, że znają czary, które nie na wiele im się zdały.

Ich życie składało się z posępnych dni wypełnionych pracą ponad siły i nocy, które przesypiali snem podobnym do śmierci. Nadzieja gasła w nich niczym świeca na wietrze. Rozpacz otępiła zmysły Conana do tego stopnia, że zobojętniał na wszystkie niewygody. Prawda, że otaczano ich pewną opieką, by nie padli zbyt szybko jak zaharowane zwierzęta. Mieli dobre jedzenie, niewielkie ognisko w szopie chroniącej przed burzą i wiatrem i w miarę ciepłe ubrania. Ale to było wszystko.

Raz tylko Conan zapłakał. Pojedynczą łzą, która spłynęła po brudnym policzku niczym diament i zamarzała na lodowatym wietrze. Chłopiec opadł bezwładnie na drąg kieratu i modlił się o uwolnienie od tej nie kończącej się tortury, nawet gdyby wybawieniem miała być śmierć. Jednak ta chwila minęła. Potem potrząsnął rozczochraną czarną grzywą i strzepnął łzę.

Jest w sercu człowieka taki próg, którego beznadzieja i rezygnacja nie mogą przekroczyć. Moment, w którym życie i śmierć mają jednakową wagę, a nowa odwaga rodzi się w sercu nawet najbardziej przerażonego niewolnika. Uczuciem, które przepęłniło serce Conana, gdy otrząsnął łzę z policzka, był gniew. Gorący, nie znający litości gniew.

Usta rozchyliły się w dzikim uśmiechu, odsłaniając mocne białe zęby. Bezgłośnie młody Cymmerianin złożył ślub swoim obojętnym bogom Północy. Przysięgał, że już nigdy żaden bóg ani człowiek, ani demon nie ujrzy łez wypływających z jego oczu.

W głębi serca złożył jeszcze jedną przysięgę. Zabójcy jego rodziców zapłacą za to własnym życiem!

Potem z całej siły pchnął pal kieratu, a młyńskie koło zazgrzytało w nie kończącym się tańcu.

Kształtowany przez płomień gniewu, nowo odnalezioną dumę i wytrwałość, Conan przemienił się w mężczyznę. Lata morderczej pracy zahartowały jego ścięgna i mięśnie, dały ciału siłę i giętkość, jaką zyskuje żelazo rozżarzone w palenisku i kute młotem kowala. Choć monotonia mozolnej harówki nadal zlewała i plątała mijające dni, a ciało było skute łańcuchami, Conan odkrył, że jego umysł jest wolny i może wznosić się jak bagienne ptaki na wietrze nadziei.

Ilekcroć zniwa były nieurodzajne, wśród Vanirów zaczynały się kłótnie. Niektórzy chcieli obniżyć racje żywności niewolnikom, inni dowodzili, że niedożywieni nie będą mieli siły pracować przy kole młyńskim i miasto może ucierpieć z braku chleba. Rozmowy takie prowadzili mieszczanie kupujący mąkę z ich młyna. Żaden nie szczędził niewolnikom swych kłótniowych argumentów, uważając, że są oni zbyt głupi, by rozumieć ich mowę. Jednakże Conan szybko nauczył się płynnie mówić w języku Vanirów, a od swoich towarzyszy niedoli wielu słów aquilońskich i nemedijskich.

Mógł nauczyć się więcej, ale był z natury milczącym młodzieńcem, którego niewiele obchodziło życie współtowarzyszy.

*Było to błędem z mojej strony — rzekł mi król Conan w pełni lat swoich. — Mogli nauczyć mnie pisać we własnych językach, gdybym ich tylko o to poprosił. Ale nie śmiałem marzyć, że przyjdzie dzień, w którym będę potrzebował tej sztuki. W Cymmerii nie znaliśmy liter. Teraz wiem, że wiedzę należy podnosić w miejscu, w którym leży, bowiem jest ona niczym bezcenny klejnot.*

Podczas kolejnego nieurodzaju na Thrudvang spadła zaraza. Wielu ludzi zmarło, a wszyscy mieszkańcy pod przewodnictwem szamana uderzyli w bębny i zawodzili monotonna, nie robiąc nic innego by powstrzymać nieszczęście. Zaraza nie oszczędziła również młyna. Wygłodzeni i przemęczeni niewolnicy najszybciej padli jej łupem. Jeden po drugim zaczęli kaszleć, cierpieli na krwawą biegunkę i umierali.

W końcu nadszedł dzień, w którym Conan został sam przy Kole Bólu. Kiedy zarządca zszedł na dół, by odciągnąć ciało ostatniego niewolnika, popatrzył na młodego barbarzyńcę i ze szczerym zakłopotaniem rzekł:

— Nie wiem, co z tobą zrobić, Cymmerianinie. Musimy mieć mąkę, bo inaczej zaczniemy głodować, jednak jeden człowiek nie da rady sam obracać młyńskie koło.

— Ha! — mruknął Conan. — Tak myślisz? Przekuj mnie na koniec drąga, a zobaczysz, że to możliwe.

— Dobrze, spróbuję. Może pomogą ci twoi cymmeriańscy bogowie.

Po przepięciu kajdanu na skraj pala, Conan wziął głęboki oddech, napiął mięśnie i pchnął. Młyńskie koło ruszyło.

Przez wiele dni, nim sprowadzono nowych niewolników, młody olbrzym sam obracał kierat. Vanirowie z okolicznych wiosek, przynoszący ziarno do zmielenia, zdumiewali się na ten widok. Podziwiali wspaniałe barki oraz potężne mięśnie rąk i nóg młodego niewolnika. A wieść o tym rozchodziła się szeroko i daleko...

Pewnego dnia przybył człowiek, który położył kres dotychczasowej harówce. Conan zobaczył zarządcę pochłoniętego rozmową z jakimś nieznanym. Pięciu towarzyszy przybysza siedziało na kudłatych kucach, zachowując pełen szacunku dystans. Podczas gdy zarządca był ciemnoskóry, obcy należał do rasy, której młody Cymmerianin nigdy wcześniej nie widział.

Jeździec wydawał się przysadzisty i miał krzywe nogi, jak gdyby całe życie spędził w siodle. Miał na sobie futra z jakiegoś nieznanego zwierza, a jego dziwna zbroja składała się z nachodzących na siebie kawałków lakierowanej skóry. Oczy miał wąskie i zmrużone, szerokie kości policzkowe, a czerwone, grube włosy i ruda broda przycięte były na obcą modłę. Na aksamitnej czapce migotały błękitne kamienie, jego szyję zaś otaczał ciężki złoty łańcuch.

Czarne jak okruchy obsydianu oczy przybysza obserwowały młodego Cymmerianina z zimnym zainteresowaniem handlarza koni. Gdy Conan, wciąż pchając kierat, spojrział nań obojętnie, mężczyzna skinął z widocznym zadowoleniem, pogrzebał dłonią za pasem i wyciągnął kilka płaskich kawałków złota. Podał je zarządcy, potem ścisnął kolanami wierzchowca, kierując go na skraj obracającego się koła. Zarządca pośpieszył w dół, by zatrzymać kierat. Conan stanął posłusznie i nie opierał się, gdy jego łańcuchy zostały odpięte, a na kark założono mu ciężką drewnianą obrozę.

Czekał cierpliwie, zaciskając i rozprostowując zgrubiałe dłonie, podczas gdy zarządca zapiął obrozę i podał koniec łańcucha siedzącemu na koniu człowiekowi.

Przybysz oblizał wargi koniuszkiem języka, po czym oznajmił kalecząc język Vanirów:

— Nazywam się Toghrul. Jestem twoim nowym właścicielem. Chodź tutaj.

By podkreślić swe słowa, szarpnął łańcuchem tak, jakby to była psia smycz. Conan poleciał do przodu. Gdy odzyskał równowagę i spojrzał w górę, zobaczył, że mężczyzna śmieje się z niego. Gniew zapłonął w posępnych oczach Cymmerianina, chrapliwy oddech zadudnił głęboko w jego piersi. Z wybuchem wściekłości złapał łańcuch i szarpnął, wyrrywając go z rąk Toghrula.

Przez moment stał wolny na szeroko rozstawionych nogach, z pochylonymi ramionami. Jego oczy rozżarzyły się, gdy gorący powiew wolności przebudził wspomnienia w jego barbarzyńskim sercu. Na chwilę wszyscy stanęli zaskoczeni. Potem rozległ się ostry zgrzyt stali dobywanej z pochew. Zarządca i wojownicy Toghrula okrążyli opornego niewolnika.

Oczy Conana błyszczały lodowatym błękitem, kiedy gapił się na otaczający go krąg nagich ostrz. Potem spojrzał na Koło Bólu, na drągi wypolerowane od nacisku spoconych dłoni i puste łańcuchy, które dotąd krępowały jego nadgarstki. Cokolwiek go czekało, teraz przynajmniej był wolny od kieratu.

Płomienie gniewu wygasły w jego oczach. Odetchnął głęboko, po czym podniósł łańcuch i podał koniec swemu nowemu panu. Jeździec wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

— Zwierzęca natura — mruknął. — Czeka nas niezwykły występ.



# III

## Arena

Poprzedzany przez strażników na kudłatych kucach, Toghrul szybko wyjechał z miasta. Łańcuch, owinięty wokół łąku jego siodła, co chwila szarpał obrozę na karku cymmeriańskiego niewolnika. Mięśnie nóg Conana były silne od lat pracy przy kieracie, a jego klatka piersiowa mocno rozwinięta. Jednakże mięśnie rychło wypełnił ból, a każdy oddech przemienił się w rżenie, gdy jego nowy pan spiał konia do galopu.

Kamienie kaleczyły nagie stopy Cymmerianina. Raz, kiedy się potknął, był wleczony, dopóki zmęczony kuc nie zwolnił kroku. Wtedy młodzieniec dźwignął swe potłuczone ciało i zmusił nogi do dalszego marszu.

W końcu jeźdźcy zsiadli z koni na południowy posiłek złożony z chleba i sera oraz cierpkiego czerwonego wina. Conan, przysłuchując się jedzącym, dowiedział się, że jego pan jest właścicielem gladiatorów z Hyrkanii, kraju leżącego daleko na wschodzie, za pustkowiami Hyperborei. Rudowłosy wędrował ze swą trupą po Asgardzie i Vanaheimie — krajach łącznie zwanych Nordheimem — i organizował walki ku uciechu tamtejszych wodzów i ich wojowników. Czasami obietnicą złota skłaniał miejscowych mistrzów, by walczyli z jego gladiatorami — niewolnikami, których ostatnim przeciwnikiem zawsze była śmierć. Zmrok przyciemnił północne niebo i rzucił na ziemię długie cienie, gdy jeźdźcy i idący pieszo Cymmerianin dotarli do siedziby Toghrula. Ostrokół z nie okorowanych pali otaczał kilka domów i szop oraz zagrody dla koni i gladiatorów, czyli niewolników wybranych ze względu na swą agresywność, wielką siłę i zręczność w walce.

Toghrul zatrzymał się przed jedną z zagród i krzyknął do odzianego w zbroję strażnika, który krążył wokół ogrodzenia. Chociaż Conan nie pojął wszystkich słów Hyrkańczyka, domyślił się, że jego właściciel woła kogoś zwanego Uldin. Ów Uldin okazał się krępy, długorekim mężczyzną z wygoloną głową, który po zamienieniu kilku słów z Toghrulem odwiązał łańcuch Cymmerianina od łąku i ujął żelazo w wielką żylastą dłoń.

— Ty, podejdz tu — powiedział w języku Vanirów, ale z obcym akcentem.

Gdy weszli do dusznego, śmierdzącego pomieszczenia, młodego barbarzyńcę ogarnął niepokój. Czuł obecność innych osób, ale one były jedynie cieniami w ciemnościach. Później Uldin zapalił ogarek. W migocącym świetle Conan zobaczył swoich towarzyszy. Obszarpani i brudni, leżeli na gołych deskach. Obserwowali go w milczeniu, nie poruszając się. W ich oczach było niewiele człowieczeństwa.

Uldin zdjął z Conana obrozę i stanął twarzą do zmęczonego młodzieńca.

— Jak się nazywasz?

— Conan.

— Skąd pochodzisz?

— Z Cymmerii. Po co tu jestem?

— By nauczyć się walczyć — powiedział Uldin. — Co wiesz o sztuce walki?

— Nic — mruknął Conan. — Zostałem porwany osiem lat temu i od tego czasu pchałem to przeklęte koło. Przedtem biłem się z innymi chłopakami.

— W takim razie zaczniemy naukę od walki na pięści. Rozbierz się!

Cymmerianin posłusznie zrzucił szorstką tunikę, uważając, by nie rozerwać kiepskiego materiału. Uldin, unosząc świecę, krytycznie obejrzał ciało Conana.

— Kierat dobrze wzmocnił ci barki — mruknął. — Spróbuj mnie powalić.

Conan pochylił się i ruszył w kierunku hyrkańskiego nauczyciela. Wyciągnął ręce, by go chwycić i... było po wszystkim. Nie pojął tego, co wydarzyło się później. Krępy mężczyzna wymknął się z jego uchwytu niczym słup dymu. Chwilę później podciął Cymmerianinowi nogi i przewalił go na ziemię.

— Jeszcze raz! — rozkazał Uldin, gdy zamroczony młodzieniec z mozołem podniósł się nogi.

Conan zbliżył się ostrożnie, zamierzając złapać Uldina za kark i rzucić przez biodro, tak jak robił to z chłopakami w wiosce. Przeciwnik zamiast próbować wymknąć się jak przedtem, pozwolił Cymmerianinowi uwięzić głowę w zgiętych ramionach, potem zwinnie jak pantera przewrócił się do tyłu, pociągając Conana za sobą. Upadł na plecy, podwinął nogi, oparł stopy o brzuch Conana i gwałtownie wyrzucił go w górę. Młodzieniec przeleciał nad głową Uldina i ciężko wylądował na plecach. Mężczyzna podniósł się i spojrzał na Cymmerianina z szyderczym uśmiechem.

Conan wstał, warcząc niczym osaczony wilk.

— Niech cię Crom porwie!

Splunął i raz jeszcze ruszył do walki. Tylko po to, by znów wylądować na ziemi.

Tym razem, gdy Conan wstał, Uldin wyszczerzył zęby niczym łysa małpa.

— Nienawidź mnie! — ryknął Hyrkańczyk. — Nienawidząc mnie, będziesz lepiej walczył. Musisz się wiele nauczyć. Jutro zaczynamy pierwszą lekcję.

Przez całe lato Conan uczył się walczyć o życie. Na arenie można tylko zwyciężyć lub umrzeć.

Conan nie przyjaźnił się ze swoimi towarzyszami. Jeden z nich zaraz na początku nauki zdradził mu, że nie ma sensu zawierać przyjaźni z ludźmi, których albo samemu się zabije, albo zostanie się przez nich zabitym.

Potem młody barbarzyńca po raz pierwszy stanął na arenie. Wraz z innymi gladiatorami z trupy Toghruła został pognany w łańcuchach do Skaun, miasta Vanirów. Tutaj walczących zgromadzono w wielkiej stodole, w której kosze tłącego się węgla łagodziły nieco kąśliwy chłód wczesnej jesieni.

Arena była długa na dziesięć kroków, szeroka na pięć, głęboka na wysokość człowieka. Jej boki osłaniały skórzane tarcze pomalowane na czerwono, niebiesko i szaro.

Patrząc w górę, Conan zobaczył krąg vanaheimskich wodzów, siedzących na nie wygładzonych ławach i pijących piwo z rogów. Nad górną krawędzią areny, w żelaznych uchwytach umieszczono pochodnie. Drżące światło błyszczało na rudych czuprynach i czerstwych twarzach mężczyzn, migotało na ich srebrnych i złotych bransoletach, rozszczepiało się na szlachetnych kamieniach pierścieni. Ciężki dym wisiał w powietrzu, mieszając się ze smrodem źle wygarbowanych skór oraz workowatych wełnianych strojów, sztywnych od zjełczałego tłuszczu i potu.

Naczelnicy śmiali się, gwizdali, pili i opowiadali sprośne historyjki, ale też uważnie

obserwowali zawodników i z namysłem robili zakłady stawiając klejnoty, sztabki złota i broń przedniej roboty.

Pod ścianą, w drugim końcu areny stało sześciu potężnych mężczyzn odzianych jedynie w brudne przepaski na biodrach. Ich potężne klatki piersiowe, szerokie barki i muskularne kończyny były natarte tłuszczem, by łatwiej mogli wymknąć się przeciwnikowi. Conan nie znał żadnego z nich. Wcześniej słyszał tylko rozmowy strażników dotyczące rywala Toghruła, mistrza gladiatorów z Asgardu imieniem Ivar.

Gdy Cymmerianin drugi raz zerknął w górę na wrzeszczących Vanirów, zobaczył stojącego z boku Toghruła. Jego właściciel rozmawiał z człowiekiem o upstrzonej siwizną brązowej brodzie. Conan nie słyszał ich słów, ale obaj gestykulowali gwałtownie i wskazywali na niewolników w dole. Niebawem Uldin i dwóch innych zeszli w dół po drabinie i wygnali z areny wszystkich oprócz wojownika, który miał być przeciwnikiem Conana. Wciągnęli drabinę, zostawiając barbarzyńcę sam na sam z olbrzymim Murzynem.

Conan przyglądał mu się ze zdziwieniem. Nigdy wcześniej nie widział człowieka o skórze barwy sadzy. Tacy ludzie, jak niegdyś mówił mu ojciec, żyli więcej niż tysiąc mil na południe, w kraju Kush. Głowa Murzyna była gładko wygolona, a jego błyszczące, głęboko osadzone oczy płonęły dziko. Szczęki poruszały się rytmicznie, kiedy przeżuwał liście, które przed chwilą wziął do ust. Gdy narkotyk dostał się do krwi, z oczu Murzyna znikło człowieczeństwo. Przemieniły się one w ślepie dzikiej bestii.

Udając przestraszonego i zdezorientowanego, młody barbarzyńca uważnie przyglądał się przeciwnikowi. Czarny był wspaniałym okazem dzikiej męskości, jego natarte tłuszczem ciało błyszczało w świetle płomieni niczym posąg wyrzeźbiony z obsydianu. Straszliwa moc drzemała w masywnych barkach i ramionach. Pod skórą torsu i nóg mięśnie naprężyły się i rozluźniały niczym niespokojne pytony.

Kiedy narkotyk w pełni zawładnął umysłem Murzyna, ten skoczył na Conana jak szarżujący tygrys. Natychmiast jego potężne ręce zacisnęły się mocno na szyi nowicjusza, dusząc ostrzegawcze warknięcie, które narosło w piersi Conana. Dłonie Cymmerianina zamknęły się na nadgarstkach czarnego i obaj zaczęli się zmagać w tańcu śmierci, kołysząc w przód i w tył, jakby w miłosnym uścisku. Zgromadzeni wodzowie ryczeli z podniecenia.

Conan desperacko walczył o oddech, naprężając mięśnie szyi. Płuca paliły go żywym ogniem, a przed oczami pojawiła się czerwona mgła. Murzyn pochylił się, jego grube wargi rozciągnęły się w upiornym grymasie, który ukazał żółte, spiłowane w szpic zęby. Gorący, słodkomdły od narkotyku oddech owionął czoło Conana.

Twarz czarnego wciąż się pochylała. Walczący zetknęli się policzkami, gdy Kushyta próbował sięgnąć zębami szyjnej tętnicy Conana.

Nagle Conan zwolnił uchwyt na nadgarstkach Murzyna, oparł dłonie o jego pierś i pchnął, jak wtedy, gdy bez niczyjej pomocy obracał Koło Bólu. Jego potężne mięśnie zagrały, uwydatniając się pod skórą masywnych ramion. Długie lata ciężkiej pracy przy kieracie zahartowały je tak, jak żelazo hartuje się pod młotem kowala.

Na twarzy czarnego odmalowało się zdumienie, gdy mimo swej ogromnej siły powoli odsuwał się od przeciwnika, aż jego czarne palce ześlizgnęły się z karku barbarzyńcy. Conan natychmiast złapał go za nadgarstki i przewracając się do tyłu, pociągnął mężczyznę za sobą. Murzyn przeleciał nad Conanem i ciężko rąbnął o ubitą ziemię.

Kushyta prawie od razu zerwał się na nogi. Jednak ta krótka przerwa wystarczyła, by Conan nabrał powietrza do obolałych płuc. Teraz okrążali się ostrożnie na ugiętych kolanach, szeroko rozstawionych nogach i z rozsuniętymi ramionami. Na pierś Cymmerianina spływała krew z ran na szyi zadanych paznokciami czarnego. Pot spływający z czoła zalewał oczy. Conan potrząsnął głową. Splątana grzywa rozwiła się, gdy próbował pozbyć się potu.

Krwawa żądza zapłonęła w oczach czarnego mężczyzny. Szczercząc kły, ponownie rzucił się na Conana. Jednak tym razem młodzieniec był przygotowany. Szybko uskoczył, a gdy przeciwnik przeleciał obok, wyprowadził potężny cios w kark Murzyna. Na wpół ogłuszony gladiator padł na kolana, a tłum zaryczał ochryple. Kilku krzychało ze złości, widząc, że przegrywają swoje zakłady. Pozostali wyli zachęcająco. Jeszcze nikt nigdy nie widział takiej walki pomiędzy nie wypróbowanym młodzieńcem a uznanym mistrzem.

Conan zignorował tłum. Dla niego świat zawęził się do areny i przeciwnika. Ogarnięty pragnieniem mordy, zaczął raz za razem walić w twarz oszołomionego Murzyna, miażdżąc mu nos na krwawą miazgę i podbijając oczy.

Kushyta rzucił się do tyłu, podciągnął nogi prawie pod brodę i wyskoczył. Jego głowa uderzyła w brzuch Conana z taką siłą, że młodzieniec poleciał na ścianę areny. Zwolennicy Murzyna zaczęli dziko krzyżeć: — Junga! Junga!

Gdy Junga zwarł się z Cymmerianinem, Conan złapał jedno hebanowe ramię. Nie zwracając uwagi na mdlący ból w brzuchu, wykręcił je i z całej siły szarpnął w górę. Czarny kwiknął niczym przebijany włócznią ogier, gdy ścięgna zerwały się, a kość wyskoczyła ze stawu. Upadł na kolana. Wywichnięte ramię zakołysało się bezwładnie.

Teraz Conan wepchnął rękę pod pachę czarnego i uderzył jego głową w ścianę areny. Widzowie zamarli w napiętej ciszy. Po chwili usłyszeli dźwięk podobny do trzasku łamanego kija. To Conan złamał Murzynowi kark. Cymmerianin, zataczając się z wyczerpania, upuścił bezwładne ciało Jungi na ziemię. Zachwiał się, oparł o ścianę i ciężko dysząc łapał powietrze.

Tłum szalał. Widzowie zdejmowali złote opaski i brosze i ciskali je na arenę, do stóp Conana. Ale Cymmerianin ignorował błyskające dary. Zachował życie, a to była wystarczająca nagroda dla gladiatora.

Toghrul zeskoczył na arenę i poklepał posiniaczone ramiona Conana. Śmiejąc się chwalił młodzieńca i jednocześnie zbierał złote podarunki.

— Chodź, chłopcze — powiedział w końcu, trzymając naręcz nagród. — Zawsze wiedziałem, że zostaniesz mistrzem! Pójdziemy przemyć twoje rany, a potem będziesz mógł wypić tyle piwa, ile zdołasz.

Na niepewnych nogach Conan ruszył po drabinie ze swoim właścicielem. Razem podążyli do przebieralni. Tam czekał Uldin z miednicą gorącej wody, ręcznikiem i dzbanem zimnego piwa.

W ten sposób młody Cymmerianin został gladiatorem, zabójcą walczącym o własne życie, by zaspokajać żądzę krwi Nordheimerów. Kiedy Toghrul spostrzegł, że dochody w Vanaheimie zmalały, zabrał swoich ludzi na wschód, do Asgardu, ojczyzny złotowłosych Aesirów. Vaniorowie i Aesiorowie, mimo iż nienawidzili się wzajemnie, mieli przynajmniej jedno wspólne zamiłowanie. Łączyła ich dzika namiętność do walk gladiatorów.

Conan z ponurym zadowoleniem odkrył, że życie gladiatora nie jest najgorsze. Stawianie czoła przeciwnikom i zabijanie ich było dość przyjemne i przynajmniej przez ulotną chwilę dawało iluzję wolności. Tak więc, osobliwym zbiegiem okoliczności, mordując, na powrót stawał się w pełni człowiekiem. Wyczerpująca praca przy żarnach odczłowieczała go, walki na arenie zaś przywracały mu część dumy i szacunku do samego siebie.

Toghrul nie traktował źle swoich niewolników. Jak właściciel rasowych koni czy psów, dostarczał im przedniego jedzenia i picia. Soczyste pieczenie, grube kromki żytniego chleba i kubki spienionego czarnego piwa były codziennością. Jednakże Toghrul dobrze pilnował, by jego gladiatorzy nie uciekli. Uzbrojeni strażnicy strzegli ich bez przerwy i skuwali, gdy tylko mogła nadarzyć się szansa ucieczki.

Lecz bardziej odurzające od mocnego piwa, szczodrych porcji jedzenia i pochwał pana było szaleństwo publiczności i owacje tłumy.

Conan pojął, że życie nabiera dodatkowego wymiaru i intensywności, gdy każdy wschód słońca może być ostatnim. Po każdej walce spał jak wyczerpane zwierzę. Jednakże od czasu do czasu jego sny przemieniały się w koszmary, w których widział siebie wypatroszonego, z wnętrznościami wypływającymi na ziemię śliską od jego krwi, podczas gdy zebrany tłum śmiał się szyderczo i pluł na jego ciało. Wtedy budził się o świcie zlanym zimnym potem i cieszył się, że wciąż żyje i jest pełen sił.

Nie, to nie było najgorsze życie, ale ono przytępiało zmysły. Zadając śmierć tyle razy, zobojętniał na nią i niewiele dbał o to, czy sam żyje, dopóki tłum nie powitał go rykiem żądzy i furii.

Zimą, gdy biały całun okrył Asgard, zaprzestawano walk. Inni niewolnicy mieli wolne, ale nie Conan. Uldin uczył Cymmerianina posługiwać się bronią inną niż pięści, zęby i nogi. Zaznajomił go najpierw z prostym kijem z twardego drewna, długim na sześć stóp, takim jakie Conan widywał w rodzinnej wiosce. Potem młodzieniec zaczął ćwiczyć z włócznią.

Od włóczni Cymmerianin przeszedł do oszczepu, topora i w końcu do miecza. Gdy pierwszy raz Uldin włożył miecz w ręce Conana, ten uważnie obejrzał ostrze. Był to miecz nie posiadający ostrych krawędzi, ze stalową głowicą i prostą drewnianą rękojeścią.

— To nie jest dobry miecz — mruknął Conan. — Nie taki, jak ten zrobiony przez mego ojca.

— Twój ojciec był kowalem?

— Tak. Znał sekret stali. Dla niego stal była darem bogów. Rzekł mi, że ostrze z dobrze wykutej stali jest jedyną rzeczą na świecie, na którą może liczyć mężczyzna.

— Tak naprawdę miara mężczyzny leży nie w stali, którą włada, ale w nim samym — powiedział Uldin.

— Co przez to rozumiesz? — zapytał Conan.

— Że to człowiek jest wykuwany, nie ostrze. Wiem, bo sam wykuwam ludzi. Chodź, przyjmij pierwszą pozycję obronną! Unieś ostrze nad głowę, dobrze!

Do wiosny, gdy Toghrul zwinął obóz i ruszył w inną część kraju, młody Cymmerianin poznał wszystkie podstawowe rodzaje broni. Robił takie postępy, że już nie rzucał się każdej nocy na siennik z ciałem posiniaczonym i obolałym od uderzeń Uldina.

Mimo dobrych zamiarów mistrza, los Conana wcale się nie polepszył. By zaspokoić swą żądzę mordu, mieszkańcy Północy wymyślili wiele pomysłowych sposobów przerywania ludzkiego życia. Czasami Conan i jego przeciwnik walczyli związani skórzanym pasem, a każdy z nich miał jedynie

krótki sztylet i osłonę nadgarstka. Dla zabawy Toghrul i inni właściciele gladiatorów przebierali swoich wojowników za zwierzęta, odziewając ich w skóry, dając rogate hełmy oraz stalowe szpony na ręce i stopy.

Nie zawsze przeciwnikami byli mężczyźni. Któregoś dnia Uldin powiedział Conanowi:

— Tej nocy będziesz bił się z wojownikiem z Hyperborei.

— Jacy oni są? — zapytał Conan przypominając sobie, że Hyperborea jest krainą leżącą na zachód od Asgardu. — Widziałem jednego, kiedy obracałem kierat, ale nie rozmawialiśmy ze sobą.

— Wszyscy szczupli, jasnowłosi, przynajmniej większość z nich — powiedział Uldin. — To niebezpieczni wrogowie. Cieszą się sławą czarnoksiężników.

Tym razem Conan i jego przeciwnik zostali wysłani na arenę w przepaskach biodrowych i sandałach, z krótkimi mieczami i małymi tarczami.

Conan ze zdziwieniem stwierdził, że stoi twarzą w twarz z kobietą. Była szczupła i długonoga, prawie tak wysoka jak on, który osiągnąwszy wiek męski przerósł o głowę najwyższych Vanirów i Aesirów. Srebrzyste niczym światło księżycy włosy kobiety były splecione w gruby warkocz. Chociaż jej smukłe ciało emanowało zmysłowością, zielone oczy pozostawały śmiertelnie zimne. Z tego, w jaki sposób trzymała broń, Conan odgadł, że jest doświadczoną wojowniczką.

Rozległ się gwizd i walka się zaczęła. Najpierw krążyli ostrożnie wokół areny, a potem skoczyli na siebie. Stał załomotała głucho o tarcze. Za moment szczęk głowni zagłuszał krzyki widzów. Pomimo zręczności wojowniczką, siła i doświadczenie Conana okazały się rozstrzygające. Cymmerianin spokojnie, raz za razem odbijał jej miecz w bok.

Gdy szczególnie silne uderzenie wybiło rękójesc z kobiecej dłoni, z ław rozległy się okrzyki:

— *Drep! Zabij!*

Przez moment dziewczyna wyglądała bezbronne. Stała nieruchomo, jakby oczekując na śmierć.

Conan zawahał się. Odwieczny cymmeriański obyczaj nakazywał bronić kobiet i dzieci. I chociaż cymmeriańscy wojownicy z różnych klanów z upodobaniem mordowali się nawzajem, rozmyślnie zamordowanie kobiety, nad której głową nie wisiała zbrodnia, było czymś nieprawdopodobnym i niegodnym.

Wahanie Conana nie trwało dłużej niż dwa uderzenia serca. Potem Hyperborejka odskoczyła, podniosła upuszczony miecz i z nową furią runęła na Conana. Kiedy jedno z jej cięć drasnęło czoło młodzieńca i krew zaczęła zalewać mu oczy, Cymmerianin przeszedł do obrony.

W końcu zmęczenie spowolniło atak wojowniczką. Uderzając na przemian mieczem i tarczą, Conan zepchnął ją na ścianę areny. Potężny cios na odlew rozrąbał tarczę i wrył się w bok dziewczyny. Krew zalała jej białe udo. Dziewczyna krzyknęła i padła na klepisko, przyciskając rękę do ziejącej rany.

Conan cofnął się i popatrzył w górę. Toghrul pokazał mu zaciśniętą pięść z kciukiem skierowanym w dół. Gdy Conan wciąż się wahał, właściciel gladiatorów z naciskiem powtórzył ten gest.

Młody barbarzyńca pochylił się nad skuloną kobietą. Jego miecz opadł. Potem wciąż pochylony Conan wbił ostrze w ziemię, chwycił w garść jasny warkocz i uniósł odciętą głowę ku uciesze aesirskich wojowników. Tłum ryknął z zadowoleniem.

*W tym momencie — rzekł mi Król — znenawidziłem samego siebie. Nigdy wcześniej nie opowiadałem tej historii. To jeden z kilku czynków, których się wstydzę. Prawda, iż ta kobieta*

*była umierająca, i śmierć, którą jej zadałem, była zapewne bardziej litościwa niż powolne umieranie. Był to jednak postępek podły i niegodny Cymmerianina. Potem wspomniałem Toghrula, który sprawił, że gardziłem samym sobą. Cała moja nienawiść skupiła się na nim i przyrzekłem sobie, że pewnego dnia odplacę mu za swój wstyd.*

Blizna nad brwią, wyryta przez miecz hyperborejskiej wojowniczką, była zaledwie jedną z kilku, które poznały twarz i ciało Conana podczas walk na arenie. Młody barbarzyńca stał się sprawnym i szybkim wojownikiem, siłą i zasięgiem ramion nadrabiając nieznajomość subtelniej szych arkanów sztuki walki. A jednak te braki martwiły Toghrula. Bał się, że któregoś dnia jego młody mistrz mógłby stanąć przeciwko szermierzowi o porównywalnej sile, lecz o większej zręczności. Wtedy mogłoby się zdarzyć, że Conan zostałby ciężko ranny lub zabity, co pozbawiłoby Toghrula wielkich zysków.

Tak więc, gdy jesień raz jeszcze pomalowała lasy na czerwono i złoto, Toghrul zabrał swoją trupę daleko na wschód, przez ponure równiny Hyperborei do miasta zwanego Valamo, leżącego w najdalszej części tego kraju. Tutaj mieszkał mistrz miecza, którego Toghrul zamierzał wynająć, by ten nauczył Conana wyszukanej szermierki. Tutaj również miał nadzieję kupić na targu niewolników, młodych gladiatorów, bowiem dotychczasowe walki znacznie zmniejszyły ich liczbę.

Odbyli zatem dwumiesięczną podróż w dobrze strzeżonej karawanie. Na każdym postoju, najpierw Aesirowie, a potem Hyperborejczycy zbierali się, by podziwiać toghrulowego mistrza, którego przybycie poprzedzała sława jego zwycięstw i olbrzymiej siły. Z tego powodu właściciel gladiatorów nakazywał rozbierać młodego barbarzyńcę i pokazywał go nagiego na obracanej platformie, do której przykuwały go cztery łańcuchy. Mężczyźni z Nordheimu i ich kobiety chętnie dawali miedziane monety, by do syta napatrzeć się na Conana. Cymmerianin znosił ich szacujące spojrzenia z doskonałą obojętnością. Domyślał się, że z wielką uciechą zobaczyliby jego męskość przeżącą się pod wpływem uśmiechów oraz powłóczyстых spojrzeń kobiet, jednak nie zamierzał dać im tej niewielkiej przyjemności. Nienawidził ich wszystkich.

W Valamo, leżącym na granicy z Hyrkanią, khitajski mistrz miecza zwany Oktarem podzielił się z Cymmerianinem swoimi sekretami. Przez całą zimę młodzieniec pilnie ćwiczył pod jego okiem. Gdy wiosna stopiła zimową pokrywę śniegu, Toghrul był zadowolony; jego mistrz umiał już wszystko.

Conan w czasie pobytu w Valamo dowiedział się wiele o ziemiach leżących na wschodzie. Był ulubionym gladiatorem Toghrula i dzięki temu często pozwalano mu przebywać w namiocie właściciela, podczas gdy jego pan zabawiał swych gości. Czasami Toghrul bywał zaszczycony wizytami wysoko postawionych Turańczyków, hyrkańskich książąt oraz wielkich wodzów.

Przez większość czasu Conan siedział cicho, ze skrzyżowanymi nogami na wyłożonej dywanami podłodze. Ale kiedy nadarzała się sposobność, rozpytywał przybyszów o dawne bitwy i sposoby prowadzenia wojen. Jego pytania rozbawiały wodzów i oficerów. Byli przekonani, że zasady strategii i taktyki na niewiele się zdadzą zwykłemu gladiatorowi, którego przeznaczeniem była walka z jednym przeciwnikiem naraz, do czasu aż śmierć weźmie go w swe ramiona.

Jednakże Conan rozumiał, że wiedząc więcej na ten temat, będzie miał lepsze szanse przeżycia. Wybiegał myślami w przyszłość. Postanowił, że nie będzie zawsze gladiatorem. Od kiedy zrozumiał, że świat jest miejscem nieustannych wojen, gdzie silny bierze tyle, na ile pozwala mu jego potęga, postanowił nauczyć się postępować podobnie.

Przy jednej okazji, po przyniesieniu wielkiej pergaminowej mapy i rozwinięciu jej na podłodze, pewien nemedyjski generał wznosił puchar starego wina.

— Co jest najważniejsze w życiu? — zapytał turańskiego księcia, ubranego w błyszczące jedwabne spodnie i buty ze szkarłatnej skóry, ozdobione srebrnymi kłamrami.

Klejnoty sypnęły iskrami, gdy Turańczyk rozłożył ręce w szerokim geście.

— Najlepsze jest gnać po stepie, pod czystym niebem, z dzielnym koniem między kolanami, dobrze wytresowanym sokołem na nadgarstku i świeżym wiatrem we włosach.

Generał potrząsnął głową i uśmiechnął się.

— Źle, Highnessie! A co ty powiesz, Khitajczyku?

Skierował pytanie do drobnego, starszego mężczyzny, który dotychczas niewiele mówił. Ten mały człowiek miał pomarszczoną żółtą skórę naciągniętą na płaską skośnooką twarz. Ubrany był w pikowane szaty, które dobrze chroniły go przed zimnem. W odpowiedzi wymruczał powoli, że życie jest najwspanialsze, gdy mężczyzna może szczyścić się miłością nauki, rozkoszować zgłębianiem wiedzy i czytać znakomitą poezję.

Generał znowu potrząsnął głową i spojrzał na Conana, siedzącego ze skrzyżowanymi nogami na niskim, kolistym podwyższeniu pod ścianą namiotu. Cymmerianin miał na sobie ciepłą tunikę, ale też obrożę z łańcuchem. Ze źle skrywanym rozbawieniem Nemedyjczyk zapytał:

— A co ty powiesz, młody barbarzyński olbrzymie? Przez usta Conana przewinał się cień uśmiechu, potem rzekł:

— Najważniejsze w życiu jest stanąć twarzą w twarz ze swoim wrogiem, ujrzeć jego krew wsiąkającą w ziemię i usłyszeć lament jego kobiety!

W oczach generała zabłysło uznanie.

— Widmo śmierci nie złamało ducha twojego mistrza, Toghrulu. Wystrzegaj się, żeby ten młody tygrys nie zerwał się z łańcucha i nie rozdarł cię na strzępy.

— Łańcuchy są mocne — zacmokał Toghrul.

Conan nie powiedział ani słowa więcej, jednak w jego oczach na chwilę wybuchł wulkaniczny ogień.

Z nadejściem wiosny Toghrul zabrał swoich ludzi i konie na następną wędrowkę. Tym razem ruszyli na zachód, z powrotem przez Hyperboreę do krajów Aesirów i Vanirów. Raz jeszcze Toghrul zebrał komplet gladiatorów i wybiegając myślą naprzód, planował zyskowny sezon.

W końcu karawana zatrzymała się w wiosce Kolari. W tutejszej karczmie podróżnicy z bliska i z daleka wypoczywali przed dalszą wędrowką przez stepy i tundry. Kolari leżała wśród pofałdowanych wzgórz podziurawionych licznymi jaskiniami. Toghrul znalazł miejsce, w którym mógł pokazywać swego mistrza podczas postoju. Jedna z jaskiń była kiedyś zamieszkaana przez świętego pustelnika, który w celu powstrzymania natrętnych gości wyposażył wejście w kratę. Toghrul dodał jeszcze dywany z własnego namiotu i zamknął tam Conana. Codziennie przez kilka godzin Cymmerianin wystawał przy kracie, a Toghrul zbierał opłaty od ludzi pragnących pogapić się na osławionego gladiatora.

Drugiego dnia po zachodzie słońca Conan siedział oparty plecami o ścianę jaskini i w świetle świecy próbował odcyfrować słowa na zwitku pergaminu. Niedawno posiadał znajomość pisma turańskiego, a teraz ze zmarszczonym czołem, powoli poruszając ustami, odcyfrowywał każde słowo napisane węzłowymi literami. Tekst na zwitku był miłosnym poematem, który wielce zdumiał



młodzieńca, nawet wtedy, gdy udało mu się zrozumieć większość słów. Nigdy wcześniej nie widział czegoś równie sentymentalnego.

Naraz jego uwagę przyciągnął podniesiony głos Toghrula. Właściciel niewolników rozmawiał ze smukłą, młodą kobietą odzianą we wspaniałe sobolowe futra. Jej ubranie, klejnoty i pewność siebie sugerowały, że jest damą wysokiego rodu, być może nawet królewskiego. Conan przysłuchując się im wywnioskował, że kobieta pragnie zapewnić sobie jego usługi jako kochanka. Z furją wciągnął powietrze. Coś takiego było nie do pomyślenia wśród cymmeriańskich klanów. Potem stężyły z wściekłości pomyślał, że jego właściciel zarabia wykorzystując w ten sposób ciało swego niewolnika.

Toghrul wziął pieniądze i otworzył jaskinię na tyle, by kobieta mogła precyzyjnie swoje szczupłe ciało. Po jej wejściu pośpiesznie zamknął kratę. Gdy dziewczyna zrzuciła futrzany płaszcz, oczy Conana powędrowały w górę i dół jej prześwitującego spod ubrania ciała. Czuł, że krew zaczyna mu wrzeć w żyłach. Potem przeniósł wzrok na stojącego przy kracie Toghrula, który uśmiechał się lubieżnie.

— Na co czekasz? — warknął Conan.

— Chcę zobaczyć twój wyczyn, Cymmerianinie — parsknął właściciel gladiatorów.

— Niechaj pochłonie cię dziewięć piekieł! Nie będzie żadnego przedstawienia, póki będziesz tu stał i wytrzeszczał oczy.

Dziewczyna przemówiła dziewczęcym głosem:

— Człowieku, zapłaciłam ci dobrze. Teraz odejdz, rozkazuję ci.

Rozczarowany Toghrul wzruszył ramionami i oddalił się.

— Teraz, pani, musisz pokazać mi jedną lub dwie rzeczy — powiedział wolno Conan. — Mam doświadczenie w zabijaniu, ale ten rodzaj walki jest dla mnie czymś nowym...

Pełny księżyc chylił się już ku zachodowi, gdy nikły dźwięk przerwał sen Conana. Młodzieniec uniósł się na łokciu, wbijając oczy w mrok. Rzadka chmura zasłoniła księżyc i okolice załala połyskująca purpura. Świat zamilkł, jakby natura wstrzymała oddech i czekała. Śpiąca obok Conana kobieta poruszyła się niespokojnie.

Cymmerianin nie wiedział, co go zbudziło, jednak instynkt ostrzegał go przed zbliżającym się niebezpieczeństwem. Chwycił swoje ubranie i odział się spieszenie.

Gdzieś zaczął ujadać pies, potem następny. Wkrótce rozszczeły się wszystkie psy w okolicy. Potem Conan usłyszał dobiegający z pobliskich pastwisk głuchy ryk bydła. Zdawało się, że wszystkie zwierzęta całego królestwa krzyczą, ostrzegając przed nadciągającym nieszczęściem.

Nagle jaskinia zadrżała. Stłumiony jęk dochodzący z głębi ziemi narósł do dudniącego ryku. Obok wejścia do jaskini przetoczył się strumień kamieni.

Dziewczyna przebudziła się, przestraszona zaczęła wzywać kochanka. Conan kucnął i przycisnął się do kamiennej ściany. Ziemia dygotała pod jego stopami. Skulony Cymmerianin wspomniał legendę o gigantach strąconych do wnętrza ziemi i zastanawiał się, czy to jeden z nich nie zbudził się teraz.

Grzmot przybierał na sile, Conan krzyknął do kobiety, by dołączyła do niego. Od strony Kolari dobiegły wrzaski przerażonych ludzi, uciekających z walących się domów. Za Conanem i dziewczyną z grzmiącym rykiem zapadł się kawał stropu, wypełniając jaskinię kamiennym pyłem.

Conan klnąc złapał kraty więżące ich w tej pułapce i wtedy ziemia pod jego stopami otworzyła

się z hukiem. Szczelina niczym czarna błyskawica przebiegła zygzakiem wzdłuż skały, w której osadzone były zawiasy. Krata zadygotała pod naciskiem Cymmerianina, a dolny zawias wyskoczył ze swego gniazda. Conan desperacko pchnął raz jeszcze i krata zwiła na ostatnim zawiasie. — Wyłaź, dziewczyno! — krzyknął Conan wyważając furkę. Kobieta przecisnęła się obok niego i ze szlochaniem, przyciskając lekki przyodziewek do piersi, uciekła w noc.

Następnym potężnym szarpnięciem Conan wyłamał bramę i cisnął ją w dół zbocza. Ziemia nadal kołysała się i drżała, gdy wyskoczył na zewnątrz i szybkim spojrzeniem ogarnął scenę zniszczenia. Ujrzał ruiny domów Kolari i ich mieszkańców biegnących w panice jak mrówki po zniszczeniu mrowiska.

— Conanie! — dobiegł go głos Toghrula. — Pomóż mi!

Poniżej, u stóp niewielkiego pagórka Cymmerianin zauważył głowę właściciela gladiatorów wystającą z szerokiej szczeliny. Ziemia otworzyła się pod stopami Hyrkańczyka i pochłonęła go po ramiona. Zaklinowany mężczyzna nie potrafił sam się wydostać.

— Wyciągnij mnie! — błagał.

— Dlaczego miałbym to zrobić?

— Zapłacę ci złotem! Dam ci wolność! Tylko uratuj mnie!

— Dasz mi wolność, co? — Conan odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się po raz pierwszy od czasu porwania przez Vanirów przed dziesięciu laty, pełnym, radosnym śmiechem. — Ja już jestem wolny. Zostań tutaj, łajdaku! Jeśli ziemia połknie cię całego, świat wiele na tym zyska.

Conan odwrócił się i odszedł. Prowadzony przez światło księżyca, ruszył w stronę kępy drzew na pobliskim pagórku. Nie miał ani broni, ani pojęcia, dokąd ma się udać. Wiedział tylko tyle, że idąc na południe dotrze do cieplejszych krajów. Głos oszalałego Toghrula wzniósł się do straszliwego, urwanego skrzeku, gdy w ostatnim spazmie ziemia zamknęła się na nim, by nie otworzyć się nigdy więcej.

Wokół nie było nikogo. Dopiero po pewnym czasie Conan zobaczył hyrkańskiego wojownika leżącego pod wywróconym drzewem. Padający pień złamał mężczyźnie kręgosłup. Cymmerianin przystanął i ograbił zwłoki ze wszystkich rzeczy, które mogły mu się przydać. Zabrał buty, krzesiwo, sztylet, futrzany płaszcz i sakwę z monetami. Wziął też kołczan i łuk.

— Nie będą ci potrzebne w tym czerwonym piekle, Hyrkańczyku — powiedział — a mnie mogą przysłużyć się dobrze, nim do ciebie dołączę.

Później, gdy pierwszy nieśmiały blask zajaśniał na wschodnim nieboskłonie, Conan przyspieszył kroku i pobiegł na południe.

# IV

## Wiedźma

Pod zasnutym chmurami ołowianym niebem rozciągała się biała równina, na której gdzieniegdzie widniały czarne plamy miejsc, skąd wiatr wywiał śnieg i odsłonił nagą ziemię.

Conan przystanął po raz kolejny i obejrzał się, by popatrzeć na ścieżkę, którą właśnie przebył. Wyteżając słuch usłyszał ponure wycie. Wilki nadal szły jego tropem. Ponownie dobiegał ich niesamowity śpiew. Młodzieniec zacisnął szczęki i owinął się szczelniej płaszczem z niedźwiedziej skóry. Gdyby tylko w tym ponurym, płaskim kraju mógł znaleźć jakąś skałę albo cokolwiek, o co mógłby oprzeć plecy, byłby gotów ze sztyletem w dłoni stanąć twarzą w twarzą z całym stadem.

Ponury Cymmerianin ciężko ruszył do przodu. W otaczającej go oślepiającej bieli nie mógł dokładnie przyjrzeć się otoczeniu. Mimo to szedł dalej, a jego bystre barbarzyńskie oczy szukały jakiegoś schronienia. W końcu wypatrzył niskie wzniesienie, którego szczyt był zavalony kamieniami. Miał nadzieję, że znajdzie tam kryjówkę, a w każdym razie bestie nie mogły zaatakować go tu wszystkie naraz.

Zaczął wchodzić na kamienny stos. Stopy ślizgały mu się na lodzie pokrywającym głazy. Zimny wiatr targał i szarpał jego płaszczem, jakby chciał go ściągnąć w dół. Conan nie ustępował i wspinał się, aż dotarł do szczytu. Wtedy odwrócił się i zobaczył w dole tuzin ciemnych, kudłatych sylwetek. Ślepie wilków błyszczały niczym żarzące się węgle.

Widząc, że ofiara ucieka, stado zawyłło ponuro. W tym momencie Conan natrafił na gładką, równą płytę i szarpnął ją w bok. Płyta miała osobliwie regularny kształt, jakby wyciosał ją jakiś artysta. Conan nie zastanawiał się nad tym. Płyta była czymś, co mógł ustawić tak, by chroniło jego plecy.

Warcząc i wyjąc, wilki krążyły wokół pagórka. Co chwila próbowały się wspinać, drapiąc pazurami śliskie głazy. Jeden wyskoczył wysoko i upadł u nóg Conana, jednak szybkie cięcie noża powstrzymało atak bestii. Ze skowyttem wilk osunął się w dół.

Stąpając ostrożnie wzdłuż wąskiej półki i szukając bezpiecznego uchwytu, Conan namacał jakąś szczelinę. Był to ciemny otwór, dostatecznie szeroki, by Cymmerianin mógł się przezeń przecisnąć.

Gibko jak pantera młodzieniec wślizgnął się w głąb szczeliny. Płaszcz zaczepił się o poszarpaną skałę i zsunął mu z ramion. Conan dostrzegł jeszcze rzucające się na futro wilki. Ich kły rozszarpały skórę w okamgnieniu.

Z powodu, którego nie mógł pojąć, zwierzęta nie próbowały wcisnąć się za nim do otworu. Ich trwożliwe zawrozczenie świadczyło, iż pomimo wielkiego głodu boją się przejść przez ten tajemniczy kamienny portal.

Conan obrócił się i stwierdził, że znalazł się w znacznie większym pomieszczeniu, niż oczekiwał. Równe ściany, podłoga wybrukowana kamiennymi płytami, gładki sufit świadczyły, że komnata ta

została zbudowana przez istoty rozumne, ludzkie lub inne. Wyczuwając drogę w mroku i sunąc wzdłuż ściany, Cymmerianin dotarł do otworu, za którym znajdowały się wycięte w kamieniu stopnie opadające głęboko w ciemność. Podążył nimi na sam dół.

Tu posadzka zaśmiecona była rumoszem i zbutwiałymi ubraniami, zmieszanymi z twardymi bryłami, których Conan początkowo nie mógł rozpoznać. Uniósł garść śmieci zastanawiając się, czy nadawałyby się na opał. W sakwie wciąż czuł ciężar krzemia i krzesiwa, które zabrał martwemu Hyrkańczykowi. Śmieci okazały się suche i łatwopalne, i wkrótce zapłonął mały płomień.

W słabym pomarańczowym blasku zobaczył, że ścianę pokrywają kamienne reliefy, tworzące skomplikowaną mieszaninę dziwacznych figur i osobliwych postaci. Przyglądając się podłodze dostrzegł, że jest zasłana szczątkami co najmniej dwudziestu ludzi. Zauważył, że kości są czyste i suche, a pokrywające je ciało już dawno zmieniło się w pył.

Pod ścianą stał wielki tron, wyrzeźbiony z jednego bloku błyszczącego kamienia przypominającego marmur lub alabaster. Siedział na nim szkielet wojownika, odziany w miedzianą, pozieleniałą ze starości zbroję. Mężczyzna ów należał do jakiejś dawno zapomnianej rasy, gdyż wysokość szkieletu przewyższała wzrost Conana o połowę.

Przyświecając sobie pochodnią zrobioną z kości udowej owiniętej kawałkiem zbutwiałej szmaty, Conan zbliżył się do tronu. Zdawało się, że ukryta w cieniu hełmu czaszka trwa w bezgłośnym krzyku. Na kolanach szkieletu leżał wielki miecz, pokryty szczątkami skórzanej pochwy. Jelec i głowica z brązu pokryte były tajemniczymi znakami, których nie zdołała zatrzeć warstwa patyny.

Conan podniósł miecz. Zetlała pochwa rozpadła się w pył, a okucia z głuchym brzękiem upadły na posadzkę. Ostrze było długie i wykonane z matowej stali. Tu i ówdzie pokrywały je rude plamki, ale w tak suchym pomieszczeniu rdza nie wgrzyła się dość głęboko, by osłabić klingę. Krawędzie, gdy Conan przeciągnął po nich kciukiem, wciąż były ostre.

Oczy młodzieńca gładzącego wybornie ukształtowaną, kościaną rękojeść, zasnuła bolesna mgła wspomnień. Przypomnił sobie wielki stalowy miecz, arcydzieło swego ojca. Odpychając wspomnienia, zamachnął się starożytną bronią. Była ciężka, ale też idealnie wyważona i zdawała się wręcz stworzona do jego ramienia. Conan wzniósł miecz nad głowę i poczuł, jak jego mięśnie przenika moc, a serce wypełnia duma. Teraz, gdy zdobył taką broń, żadne przeznaczenie nie mogło stanąć mu na przeszkodzie! Takim ostrzem nawet barbarzyński niewolnik, przeznaczony śmierci gladiator, mógł wyrębać sobie miejsce pośród władców tego świata.

Ożywiony marzeniami, które ta wspaniała broń obudziła w jego barbarzyńskim umyśle, młodzieniec przyjął szermierczą postawę i ciął dziko. Gdy ostra stal zaświstała w nieruchomym powietrzu grobowca, Conan wykrzyczał starodawne zawołanie wojenne Cymmerianów. Głośny krzyk odbił się echem, naruszając spokój starożytnych cieni i wzbijając wiekowy kurz. Ogarniętemu uniesieniem młodemu barbarzyńcy nawet przez myśl nie przeszło, że takie wyzwanie może zbudzić myśli i uczucia, od niezliczonych stuleci drzemiące wśród nagich kości.

I nagle Conan usłyszał odpowiedź na swój okrzyk bojowy. Nadeszła jakby z wielkiej dali, niesiona przez wiatr. Ale tutaj nie było wiatru. Conan znieruchomiał z uniesionym mieczem. Może to wyły wilki? Szaleńczy krzyk rozbrzmiał tuż obok, uderzając w uszy Cymmerianina niczym młot i ogłuszając go. Conan zawirował w błyskawicznym obrocie. Włosy zjeżyły mu się na głowie, a krew ścięła się w żyłach.

Szkielet wstał powoli z marmurowego tronu, kierując na młodzieńca puste oczodoły, które teraz

wypełniał demoniczny ogień. Kość tarła o kość niczym gałęzie drzewa uderzające o siebie w podmuchach burzy. Straszliwie wyszczerzona czaszka zbliżyła się do twarzy Conana. Cymmerianin stał sparaliżowany strachem, z ramieniem wciąż uniesionym w górę.

Wtem do przodu wystrzeliły kościane szpony, wyszarpując miecz z ręki Conana. Zdrętwiały z przerażenia młodzieniec cofnął się kilka kroków. Jedyne jego przerażony oddech i klekot kości mąciły ciszę grobowej krypty.

Kościotrup przyparł Conana do ściany. Cymmerianin był gladiatorem, zaprawionym w walkach z ludźmi i bestiami. Nie bał się śmiertelnych wrogów ani bólu, ale w dalszym ciągu pozostawał barbarzyńcą, i jak wszyscy barbarzyńcy, żywił lęk przed grobami i monstrami zamieszkującymi czeluście piekieł. Pochodnia rzucała coraz mniej światła, a Conan wciąż stał, wlepiając przerażone oczy w ożywiony szkielet. Raptem zawył wilk. Znajomy dźwięk pchnął młodzieńca do działania. Strach stopniał niczym śnieg na wiosnę. Wykorzystując fakt, że kościste palce wciąż trzymały miecz za ostrze, szarpnął za rękojeść, odepchnął szkielet i odwrócił się szukając schodów. Martwy wojownik w hełmie i miedzianej zbroi nieustępliwie kroczył naprzód. Conan trzymał go na dystans zadając szybkie, koliste ciosy. Wreszcie dostrzegł wąskie schody, których poprzednio nie mógł znaleźć. Stając plecami do nich, wstąpił na pierwszy stopień i pchnął potężnie. Ostrze przebiło przeżartą patyną zbroję oraz nagie żebra, docierając do miejsca, gdzie niegdyś biło serce.

Z westchnieniem przypominającym szum trawy gładzonej jesiennym wiatrem, szkielet stanął w pół kroku.

Ogromna postać odwróciła się, zrobiła dwa chwiejne kroki w kierunku tronu i padła na stertę kurzu i kości. Hełm zadzwonił niczym pęknięty dzwon, tocząc się po kamiennych płytach. Potem zgasła pochodnia.

Przez długą chwilę Conan stał patrząc w ciemność, niezdolny uwierzyć, że jego nadnaturalny przeciwnik naprawdę nie żyje, i że ten wielki miecz należy do niego. Później, trzymając broń w gotowości, wspiął się na schody.

Gdy wyszedł na zalany księżycowym światłem szczyt kurhanu, zastał czekające na niego wilki. Zwierzęta, rozdziawiając najeżone kłami pyski, z wyciem rzuciły się ku niemu. Conan z uśmiechem stanął na szeroko rozstawionych nogach i uniósł długie ostrze nad głowę. Gdy skoczyła pierwsza bestia, wyprowadził zamaszty poziomy cios. Trafiony w połowie skoku wilk wyleciał wysoko w powietrze i skowycząc padł na kamień, gdzie zdechł po chwili.

Zanim Cymmerianin zdołał unieść miecz do następnego cięcia, skoczył na niego drugi wilk. Młodzieniec wepchnął ostrze między otwarte szczęki i wbił je głęboko w gardło bestii. Próżno drapiąc pazurami skałę, wilk próbował uwolnić się od żelaza rozrywającego mu pysk.

W tym samym momencie przypadł trzeci drapieżca. Cymmerianin, z mieczem unieruchomionym przez przebite zwierzę, kopnął bestię w nozdrza. Zwierz potoczył się do tyłu, lecz zaraz przypuścił kolejny atak. Jednak do tego czasu Conan uwolnił miecz i jednym cięciem rozplątał mu czaszkę.

Pozostałe wilki wycofały się. Wyjął, ze zwieszonymi ogonami zniknęły w leżącej nisko mgle.

Conan spędził noc wśród kamieni na szczycie kurhanu. W każdej chwili był gotów odeprzeć nowy atak wygłodniałych bestii lub martwego wojownika z głębi grobowca. O świcie obdarł ze skóry trzy martwe wilki i wykorzystując ich jelita uszył sobie prymitywny płaszcz do ochrony przed

zimnem. Część wilczego mięsa upiekł nad małym ogniskiem i zjadł z wielkim apetytem. Resztę zawinał w kawałek skóry jako zapas na drogę.

Miecz zawiesił Conan przy pasie na pętli ze zwierzęcych ścięgien. Wreszcie zszedł z kamiennego pagórka i zerkając na blednące słońce poszedł na południe.

Trzy dni później płaska tundra przeszła w łagodnie pofałdowane wzgórza, porośnięte na szczytach kępami drzew. Ziemię pod stopami wędrowca rozmiękczał topniejący śnieg. W oddali zaś na spotkanie zachmurzonego nieba wznosił się słup dymu.

Conan skierował się tam i niebawem znalazł chatę o kamiennych ścianach i dachu pokrytym torfem. Kunsztownie rzeźbione drewniane pale, wystające z ziemi pod szalonymi kątami, tworzyły dziwaczną palisadę. Za nią stało kilka kamieni topornie obłupanych na kształt ludzkich głów, krzyczących bezgłośnie na wiatr. Barbarzyński instynkt ostrzegł młodzieńca przed nadnaturalnymi mocami. Conan wyraźnie wyczuwał mroczną moc, emanującą z tych tajemniczych pali i rzeźb.

Drzwi do chałupy były otwarte. Barbarzyńca zbliżył się, poruszając z lekkością skradającego się lamparta. Nagle stanął, sztywniejąc ze zdumienia. Obok chaty, przykuta do ciężkiego kamiennego słupa siedziała skulona postać, odziana w poszarpane futra. Był to na wpół nagi, przysadzisty, krzywonogi mężczyzna o wejrzeniu skrzywdzonego zwierzęcia. Milczący i nieruchomy jak kamień, do którego był przywiązany, patrzył na Cymmerianina zmrużonymi, czarnymi jak heban oczami.

Nagle ciszę przerwał głos czysty jak dźwięk srebrnego dzwoneczka:

— Tu przy ogniu jest cieplej — głos był miękki i pociągający.

Conan podniósł głowę i na tle blasku paleniska zobaczył zarys kobiecej sylwetki. Zmysłowe ciało promieniowało złowieszczą, ale i pociągającą tajemniczością. Rozmarzone, śmiejące się oczy śmiało spoglądały na młodego Cymmerianina.

— Nie chcesz ogrzać się przy mym ognisku? — twarz okolona długimi czarnymi włosami miała za sobą pierwszą, kwitnącą młodość, ale w dalszym ciągu była nieodparcie piękna.

Conan wahając się z powodu zła, które wyczuwał, przeczekał uderzenie serca. Kobieta ze zmysłowym uśmiechem odwróciła się od drzwi i podeszła do paleniska. Uderzony wdzięcznymi ruchami i jaśniejącym owalem jej twarzy, Conan schylił się i wszedł do chaty.

Ogień niespodziewanie skoczył w górę i w jego różowym blasku Conan przyjrzał się izbie. Kamienne ściany były ozdobione skórami, podłogę zaś przykrywały gęste i miękkie futra nie znanych Cymmerianinowi zwierząt. Dziwne czaszki wisiały na dwóch słupach podtrzymujących pokryty torfem dach. Jedna z nich należała do niedźwiedzia z nienaturalnie wielkimi zębami, druga do szablozębego kota, a trzecia do jakiegoś jednorogiego konia.

Na stojącym za ogniem niskim stole kobieta postawiła drewniany talerz z jęczmiennym chlebem i kozim serem, miskę suszonych owoców oraz kubek świeżego mleka. Skinęła na Conana, on zaś usiadł z wdzięcznością i zajął się posiłkiem. Zaspokoiwszy głód, spojrział w górę i zobaczył, że kobieta opiera się o najbliższy słupek, przyglądając mu się badawczo. Na jej pełnych wargach igrał szyderycy uśmiech.

— Przybyłeś z północy, jak sądzę — rzekła gardłowo.

Nagle w pełni świadom jej spojrzenia, Conan niespokojnie spuścił oczy. Jego dłoń chwyciła rękojęć miecza.

— Jestem Cymmerianinem.

Kobieta, widząc jego płonące oczy i zakłopotanie, roześmiała się szorstko.

— Jesteś niewolnikiem! Sądziłeś, że nie zdołam wyczytać tego w twoich oczach, barbarzyński

niewolniku?

Zapadła niespokojna cisza. Kobieta wężowym ruchem odrzuciła w tył długie czarne włosy i przemierzyła izbę z niepokojącą, zmysłową gracją. Coś w cieniu, który znajdował się nie całkiem tam, gdzie powinien, niepokoiło młodego barbarzyńcę.

— Dokąd idziesz, Cymmerianinie? — zapytała.

Conan wzruszył ramionami.

— Na południe.

— Dlaczego? — nalegała.

W jej uśmiechu czaił się ślad okrucieństwa.

Conan rzucił jej szybkie spojrzenie.

— Mówili, że tam jest cieplej, a przybyszom nie zadaje się zbyt wielu pytań. Poza tym, na ludzi, którzy potrafią posługiwać się mieczem, czeka tam złoto do zdobycia.

Kobieta pochyliła się nad ogniem i cisnęła w węgle jakiś proszek. Płomienie wybuchły wysoko w górę. Kobieta przez chwilę przyglądała się falującym płomieniom. Jej usta poruszyły się bezgłośnie, nim powiedziała:

— Złoto, kobiety, złodziejstwo, oto cywilizacja! Co taki barbarzyńca może wiedzieć o cywilizacji? Ale to nie ma znaczenia. Niebawem twój kręgosłup będzie przybity do drzewa.

Kobieta podała barbarzyńcy kubek wina, potem stała patrząc na niego z rosnącym pożądaniem. Pod miękką szatą jej lubieżne piersi wznosiły się i opadały w rytm przyśpieszonego oddechu. Dziwne światło igrało w głębi jej ciemnych oczu, a żar ognia błyszczał na silnych, nasmarowanych olejem ramionach, gdy kusząco pocierała dłońmi biodra.

Zdając sobie sprawę z podniecenia kobiety, Conan wbił oczy w kubek wina. Powierzchnia napoju lśniła jak wypolerowane srebro. Pociągnął długi łyk i jego męskość odpowiedziała na zachęty gospodyni. Nadal jej nie dowierzał. Nie potrafił powiedzieć dlaczego, wiedział tylko, że w niej i w miejscu, w którym żyła, jest coś dziwnego. Zauważył uśmiech, który nagle zmienił jej twarz w lodowatą maskę, pozbawioną krzty ciepła. Z ciemnych oczu na chwilę zniknęły wszelkie ludzkie uczucia.

— Powiedzili, że przyjdiesz... — wyszeptwała sycząco, a jej oczy fosforyzujące w świetle ognia wpijały się w Cymmerianina. — Z północy, powiedzieli... męczyzna wielkiej siły. Zdobywca, poniżający królów, który pewnego dnia zdobędzie tron i utrzyma go mimo zrad i krwawych wojen. Który zmiażdży węże ziemi obutą w sandał stopą...

— Węże? Powiedziałaś: węże? — głos Conana był ostry jak brzytwa, a jego oczy zabłysły niczym sztylety.

Odpowiedziała mu podobnym spojrzeniem.

— Czego szukasz na południu, barbarzyńco? Powiedz prawdę, teraz.

— Znak... na tarczy, może być i na sztandarze. Dwa węże, zwrócone ku sobie... Są jak jeden, splecione ogonami... — ponure wspomnienie sprawiło, że zacisnął pięści.

— I podtrzymują czarne słońce o hebanowych promieniach — dodała kobieta, przytakując ruchem głowy.

— Wiesz, o czym mówię?

Conan rzucił się do przodu, chwytając kobietę za ramię... Wyślizgnęła się z jego uchwytu, jej cień znów nie do końca podążył za nią.

— Wiem. Ale to ma swoją cenę, barbarzyńco.

— Mów — warknął Cymmerianin.

Uśmiech wykrzywił jej pełne usta, ramiona rozpostarły się szeroko, gdy ruszyła w jego kierunku. Krew w Conanie zawrzała, gdy wziął ją w objęcia i poczuł jej piersi i uda przyciśnięte do swego ciała. Kobieta w szaleńczym pośpiechu zdierała swoje i jego ubranie. Wszystkie myśli o oporze uległy wobec jej namiętności.

Ich nagie ciała błyszcząły w świetle ognia, gdy ocierała się o niego lubieżnie. Jej oddech był gorący z pożądania; siła tych emocji wymazała wszystkie inne myśli. Conan zareagował nieopanowanym wybuchem pragnienia i bólu. Palce kobiety darły mu skórę na plecach i szarpały niesforne włosy, jednak on nie czuł tego, całkowicie pochłonięty przez namiętność. Gdy zbliżał się do szczytu, słaby jęk wyrwał się z gardła kobiety. Jej szept był równie dziki jak jej miłość:

— W Shadizar, stolicy Zamory, gdzie krzyżują się wszystkie drogi świata, znajdziesz tych, których szukasz. Jednak nie idź tam... Tylko głupiec szuka własnej śmierci...

Później, wstrząsana dzikimi dreszczami spełnienia, po raz ostatni nasyciła się nim, a on nią.

Coś, nie wiedział co, kazało Conanowi otworzyć oczy. W tej samej chwili jego miłosne uniesienie zastąpiło wstrząsające przerażenie.

— Na Croma! — wydyszał.

Na jego oczach kobieta uległa niesamowitej przemianie. Jej białe zęby zmieniały się w wilcze kły, palce kurczowo zaciśnięte na jego ramionach — w szpony drapieżnego ptaka, a skóra na policzkach i piersiach nabrała opalizująco błękitnej barwy.

Ciemny dym wijącymi wstęgami wydobył się z nozdrzy umieszczonych w tworzącym się pysku, a język błyskawicznie rozdzielił się jak język węża.

Conan, jeszcze przed chwilą w miłosnym uścisku, teraz znalazł się w nieubłaganych objęciach śmierci. Usiłował uwolnić się od tej ohydnej maski, która ścisnęła go silnymi jak stal kończynami. Kiedy jej powieki uniosły się, zobaczył ślepią demona o rozszczepionych źrenicach. Nie mógł się uwolnić, choć wyteżył wszystkie siły.

Potem przypomniał sobie walki na arenie i zapaśnicze sztuczki, których nauczył go Uldin. Gdy kobieta-demon przycisnęła go bliżej, przestał walczyć i rozluźnił mięśnie. Nieoczekiwanie przekreślił się i przetoczył w kierunku ognia, wpychając jej pokryte łuskami plecy w płonące węgle. Długie włosy, które zdawały się żyć własnym życiem, zasyczały ogarnięte ogniem.

Skrzeczający potwór usiłował wydostać się z ognia, lecz chwilę później jego ciało skurczyło się i poczerniało, płomienie zaś strzeliły kolorowymi iskrami. Od płonącego ciała oderwała się ognista kula i zaczęła miotać się po całej izbie, oświetlając upiorną poświatą czaszki wiszące na ścianach. Drzwi stanęły otworem, jak odrzucone niewidzialną ręką, i płonąca kula niczym spadająca gwiazda pomknęła w dal. Z krzykiem agonii zniknęła w ciemnościach.

Zlany zimnym potem, oszołomiony Conan padł na kolana i zaczął zbierać swoje ubranie.

— Na Croma! — wydyszał, po czym zaczął kląć.

Odór spalonego ciała wywiął wkrótce nocny wiatr wpadający przez otwarte drzwi. Ogień w palenisku przygasł. Gdy Conan podszedł, by zamknąć drzwi, jego spojrzenie padło na skuloną istotę, w której czujnych oczach odbijał się czerwony blask żaru. Zajęty wiedźmą, Conan zupełnie zapomniał o nędznej kreaturze, która teraz przyglądała się mu z mroku.

— Jeść! — wycharczał więzień. — Zdycham z głodu, barbarzyńco! Nie jadłem od wielu dni.

— A kto powiedział, że będziesz jadł teraz? — zapytał zimno Conan. — Co tu robisz?



— Mam być żerem dla wilków, ulubieńców wiedźmy. Rzuciła na mnie czar i sprowadziła tutaj. Zostaw mi tylko jedzenie, wtedy nabiorę sił i gdy nadejdą wilki, zginę walcząc jak mężczyzna.

— Kim jesteś? — mruknął Conan.

Mały człowieczek wstał i spojrzał na Conana z godnością, która przeczyła jego nędzy.

— Jestem Subotai, Hyrkańczyk ze szczepu Kerlait. W szczęśliwszych czasach byłem łucznikiem, zabójcą i złodziejem.

Conan przyjrzał się Hyrkańczykowi. Był mały i chudy jak fretka. Jego sylwetka i ruchy świadczyły o dużej zwinności, odwaga zaś i szczerść spodobały się Conanowi. Oto człowiek, uznał, który z miną niewiniątka mógłby łącać w żywe oczy, ale który nie pchnąłby nikogo nożem w plecy.

Czarne oczy przyglądały się barbarzyńcy z rosnącą nadzieją. Conan poszedł do chaty, znalazł klucze i w świetle wschodzącego księżyca rozpiął kajdany. Mały mężczyzna, uśmiechając się i zarazem krzywiąc z bólu, roztarł miejsca po kajdanach, po czym chwiejnie ruszył do chaty.

Conan machnął zapraszająco w kierunku stołu.

— Jedz i pij — mruknął.

Podczas gdy Subotai pożerał resztki posiłku Conana, Cymmerianin myszkował po chacie, dzieląc rzeczy na potrzebne i te, które mu się spodobały. Znalazł nabijany srebrem pas, wysadzaną klejnotami rzemienną bransoletę usztywniającą nadgarstek oraz futrzany płaszcz z kapturem, który zastąpił cuchnące już, nie wygarbowane skóry wilków.

Wschód kładł się bladą poświatą na rozległą bezdrzewną równinę. Conan stanął w otwartych drzwiach i popatrzył na wstający poranek. Srebrne światło błyszczało w ciężkiej pokrywie świeżo spadłego śniegu, który wkrótce miał stopnieć w ciepłe słońca, ale teraz okrywał nagą ziemię niczym królewski płaszcz z soboli. Młodzieniec oddychał czystym powietrzem, szczęśliwy, że odchodzi z tego przeklętego miejsca. Potem odwrócił się do swego towarzystwa, który siedział w kącie obejmując kolana.

— Teraz, gdy jesteś wolny, dokąd się udasz? — zapytał.

— Do Zamory — odpowiedział z uśmiechem Hyrkańczyk. — Do stolicy Shadizar, miasta złodziei, bo kradzież jest moim fachim.

— Mówiłeś, że byłeś wojownikiem — powiedział Conan, patrząc przenikliwie na małego mężczyznę.

— Pochodzę z książęcego rodu, a że istotą wojny jest podstęp, studiowałem go więc praktykując w złodziejskim rzemiośle — czarne oczy Subotai zaskrzyły się, gdy spojrzał na Conana.

— Mawiają, że to niezdrowa profesja.

— A co ty robisz, Cymmerianinie?

— Jestem zabójcą.

Śmiech Subotai odbił się echem od ścian chaty.

— To bardziej męskie zajęcie niż kradzież, ale też bardziej skracające życie. Złodziej rzadko kiedy zostaje złapany, a jeśli już, to najwyżej dostaje baty. Morderca kończy na krzyżu.

— W takim razie jak to się stało, że zostałeś tu przywiązany jako żarcie dla wilków?

— Nie wiedziałem, że to wiedźma. Gdy próbowałem ją okraść, złapała mnie w sieć czarów.

Conan zaczekał przy drzwiach, aż Subotai przejrzy rzeczy wiedźmy. Hyrkańczyk wyciągnął futro ze skrzyni, wybrał łuk i kołczan strzał, a do pasa przywiązał zakrzywiony miecz. Conan z zadowoleniem patrzył, jak Subotai zgarnia pozostałe jedzenie do sakwy i przewiesza ją sobie przez

ramię.

Wyszli z chałupy razem. Przed nimi leżały pofałdowane wzgórza, których białe szczyty oblewało już złoto poranka. Gdzieś tam ciemniały kępy czarnych, przyprószonych śniegiem sosen.

— Ja również idę na południe, do Zamory — rzucił Conan.

— Więc może pójdziemy razem — odparł Subotai. — Dobrze jest mieć przyjaciela za plecami, gdy nadejdą kłopoty.

Conan spojrział w dół na małego człowieczka, potem odwrócił wzrok i wzruszył ramionami.

— Znasz drogę do Zamory?

Subotai skinął głową.

Conan zarzucił bagaż na ramiona.

— W takim razie ruszajmy.

# V

## Kapłanka

Podróż do Shadizar, stolicy Zamory, była długa i męcząca. W dzień nad wędrowcami rozciągała się rozległa pustka błękitnego i bezchmurnego firmamentu, nocą zaś sklepienie z czarnego aksamitu, na które rozrzutni bogowie cisnęli pełne garście diamentów.

Cymmerianin i Hyrkańczyk biegli miarowym truchtem przemierzając niskie wzgórza i płytkie doliny. Gdziekolwiek rozmiękła po roztopach ziemia pyszniła się wytartym dywanem zszarzałych traw, jak smagła ulicznica dawno przejrzałymi wdziękami. Conan i Subotai byli jedynymi ludźmi w tym pustym kraju. Ziemia i niebo wydawały się nieskończenie rozległe wobec małych ludzkich kroków, lecz było to tylko złudzenie.

Raz, gdy przystanęli, Cymmerianin mruknął:

— Masz silne nogi, jak na kogoś tak młodego, a twoje płuca są jak kowalskie miechy.

Subotai roześmiał się.

— Umiejętność szybkiego biegania to najważniejsza cnota złodzieja.

Po dwóch tygodniach wędrówki dotarli do bardziej żyznych ziem, gdzie wokół jezior wyłobionych przed eonami cielskimi lodowców, rosły wysokie lasy. Przebyli wysoką skarpe i zeszli nad rzekę Nezwayę, która w swym dolnym biegu płynęła wzdłuż zamorańskiej granicy. Conan i Subotai podążyli teraz jej brzegiem.

Kiedy zapasy zabrane z domu wiedźmy skończyły się, część każdego dnia spędzali poszukując żywności. Conan łowił ryby za pomocą prymitywnego harpuna z pnia młodego drzewka, Subotai zaś polował w lesie. Jednego dnia ustrzelił zająca, innego borsuka, lecz czasami musieli iść spać o pustych brzuchach.

Po jakimś czasie lasy przerzedziły się i skurczyły do pasa drzew wzdłuż Nezvayi. Przed nimi pojawiły się rozległe łąki usiane bursztynowymi, cynobrowymi i chabrowymi kwiatami wczesnej wiosny. Roziskrzzone słonecznymi promieniami niebo oznajmiało odejście mroźnej zimy.

Gdy strzała Subotai powaliła dzikiego osła, spędzili dzień na wędzeniu mięsa, dzięki czemu mogli iść przez kilka następnych dni bez konieczności urządzania łowów. Kiedy leniuchowali przy dymiącym ognisku, nad którym wisiały kawałki mięsa, Conan przełamał swą wrodzoną małomówność.

— Do jakich bogów modlą się twoi bracia? — zapytał.

Hyrkańczyk wzruszył ramionami.

— Ja modlę się do czterech wiatrów, które władają ziemią. Do wiatrów niosących z nieba śnieg i deszcz, zapach zwierząt, gdy polujemy, i głosy zbliżających się wrogów. Powiedz mi, Cymmerianinie, jacy bogowie wzywani są w modlitwach twego ludu?

— Tylko Crom, ojciec gwiazd, król bogów i ludzi — odpowiedział burzliwie Conan. — Ale Cymmerianie rzadko modlą się do niego. Ja nigdy. Crom jest daleko, w wysokim niebie i nie obchodzą go pragnienia i modły śmiertelników.

— A karze za grzechy?

Conan zachichotał.

— On nie dba o grzechy ludzi.

— Zatem co to za bóg, który nie słucha modłów i nie karze za błędy?

— Kiedy wyruszę w długą drogę wiodącą do tronu Cromy, on zada mi jedno pytanie: Czy rozwiązałem zagadkę mego życia? I jeśli nie zdołam mu odpowiedzieć, skarze mnie na wieczną wędrówkę po pustym niebie, siedzibie upiorów.

— Moi bogowie służą ludziom — powiedział zdumiony Subotai. — Pomagają nam w godzinie potrzeby.

— Crom jest panem twoich czterech wiatrów — mruknął Conan. — Kieruje nimi jak człowiek rydwanem.

Mały mężczyzna wzruszył ramionami. Był zbyt śpiący lub może zbyt mądry, by kontynuować dyskusję.

Kilka dni później, o zachodzie słońca, Conan i Subotai dotarli do granicy Zamory. W tym mrocznym kraju sekretów, tajemniczych szpiegów, mądrych filozofów, zdesperowanych królów i kobiet o wymalowanych oczach, każdy z wędrowców miał nadzieję znaleźć to, czego szukał. Conan splecione węże podtrzymujące czarne słońce, Subotai bogactwa, które mógłby zdobyć.

— Zamora! — Subotai zamaszystym gestem wskazał leżącą przed nimi krainę. — Oto ona przed nami. Kraj na zachodzie to Brythunia, a gdybyś towarzyszył rzece jeszcze przez kilka tygodni, wszedłbyś na ziemie Turanu. W Zamorze krzyżują się szlaki karawan przewożących dobra z całego świata. Wspaniałe kobierce z Iranistanu, korzenie z Turanu, sławne perły z Kosali, klejnoty z żelaznych wzgórz Vendhii i uderzające do głowy wino z Shem.

Ach, mój barbarzyński przyjacielu, tutaj jest też cywilizacja! Starożytna, mądra, pogrążona w pociągających grzechach. Kosztowałaś przyjemności cywilizacji, Conanie z Cymmerii, albo widziałaś wyniosłe wieże i tłoczne bazyry?

— Jeszcze nie — rzekł krótko Conan. — Pośpieszmy się, by zdążyć do miasta przed zmrokiem i nie traćmy czasu na słowa.

Subotai wzruszył ramionami.

— Retoryka, jak widzę, jest sztuką nie znaną w Cymmerii.

Nadgraniczne miasto Yazdir przywitało ich rzędami krytych strzechami, kamiennych domów. Otaczał je mur dwukrotnie wyższy niż człowiek. Po drugiej stronie beładnie tłoczyły się stodoły, chlewy i zagrody dla różnorodnych zwierząt domowych. Dwóch ubranych w kolczugi strażników przy bramie było zbyt zajętych grą w kości, by spojrzeć na przechodzących obok wędrowców.

Chociaż ulice były ledwie śmierdzącymi, zabłoconymi zaułkami, to jednak młodemu barbarzyńcy zdawały się dużo bardziej imponujące od ulic małych miasteczek Nordheimu i Hyperborei. Centralny plac Yazdiru był wybrukowany kamiennymi płytami, a wokół niego wyrastało kilka wielkich budynków. Gdy Conan stał i ze zdumieniem wytrzeszczał oczy, Subotai pokazywał mu świątynię, koszary, gmach sądu, gospodę i okazałe domy, które były rezydencjami miejscowych magnatów.

Na rynku dziesiątki kupców różnych krajów zachwalały egzotyczne towary. Kilku zamykało już kramy na noc. Inni wciąż stali, krzycząc natarczywie. Conan kupił okrągły bochenek chleba i pęto kielbasy, które jadł nie spuszczać oczu z olśniewających towarów: broni, ubrań, klejnotów. Gdziekolwiek spojrzał, widział cuda, krzykliwych szarlatanów z wytresowanymi małpkami i tańczącymi niedźwiedziami, wymalowane kurtyzany, męskie i żeńskie, popisujące się trupy skośnookich akrobatów z nieznanymi wschodnimi krajów; księgarzy, którzy wrzeszczeli, że ich księgi zawierają mądrość wieków. Magików w drewnianych butach pokazujących cuda za grosze. Poważnych astrologów oferujących horoskopy i przewidujących rzeczy przyszłe. Grubych kupców zachwalających wełniane kilimy, lśniące tkaniny oraz tace z pierścieniami i bransoletami. Okaleczeni żebracy podsuwali przechodniom pod nos drewniane miseczki, a niedożywieni chłopcy bili się i biegali we wszystkie strony.

Conan i jego towarzysz przez chwilę kluczyli między zagrodami i klatkami z jakami, wielbłędami i śnieżną panterą. Przeszli na inną ulicę, na której rozlegały się dźwięczne uderzenia młotów kowalów pracujących w miedzi, brązie, srebrze i żelazie. Za następnym rogiem znaleźli rzemieślników obrabiających skórę i oferujących ciżmy, wysokie buty, pasy, pochwy do mieczy i sztyletów, siodła, uprzęż i skórzane sakwy.

Od czasu do czasu Conan przystawał przed tym czy innym kramem, by pytać:

— Wiesz coś o znaku, który przedstawia dwa splecione węże podtrzymujące czarne słońce?

Często kupiec, do którego kierował pytanie, nie znał hyrkańskiego, a że Cymmerianin jeszcze nie nauczył się zamoryjskiego, więc padała usłużna odpowiedź:

— Nie, młody panie. Nie znam. Ale mam puchary z prawdziwego shemickiego szkła, wytopione z czystego piasku rzeki Sulk...

Wkrótce opuścili mury Yazdiru, by ruszyć do innych miast Zamory. Conan i Subotai utrzymywali równe, niezmiernie tempo: raz szli szybkim krokiem, na godzinę przechodzili do truchtu i znowu szli. Jednak Conanowi ten marsz zdawał się zbyt wolny. Ze swoimi długimi nogami z łatwością mógłby zostawić w tyle krzywonożego towarzysza. Mały mężczyzna bez przerwy narzekał, że musi iść niczym zwykły chłop, zamiast jechać konno, jak przystało hyrkańskiemu wojownikowi. Gdy przechodzili obok stada koni pasących się na polanie, Subotai zaproponował, by porwać parę, ale Conan, który nigdy nie jeździł na żadnym zwierzęciu, odrzucił ten pomysł.

W końcu dotarli do stolicy — Shadizar Przekłętego, miasta złodziei, schronienia łajdaków. Tutaj gnieździł się wszyscy banicy zachodniego świata; zbiegli niewolnicy, wygnańcy i ludzie, za których głowy wyznaczono nagrody. Tu mogli czuć się względnie bezpiecznie, jeżeli tylko mieli pieniądze i wiedzieli, jak ich użyć.

Conan znalazł się w środku kolorowego tłumu. Zderzał się z kupcami w bogatych strojach oraz rzemieślnikami oferującymi inkrustowane naczynia z brązu, klejnoty i broń. Brodaci wieśniacy w surowych samodziłach powozili wozami załadowanymi workami pszenicy i jęczmienia, połciami mięsa, wiązkami siana, chrząkającymi świniami. Wokół tłoczyli się wyniosli żołnierze, kręcące biodrami ładacznicę, żebracy, ulicznicy i kapłani. Dostrzegł kilku rozmawiających Shemitów z kręconymi brodami, szczupłych Zuagirczyków z odkrytymi głowami, Brythuńczyków w spódniczkach, Koryntian w wysokich butach i Turańczyków w turbanach.

Conan był zdumiony. Shadizar przewyższał Yazdir pod względem wielkości i bogactwa, tak jak Yazdir przewyższał miasta, które poznał w czasie, gdy walczył jako gladiator. Nigdy nie widział

ludzi tak oszalałymi różnorodnych. Miał wrażenie, że zgromadzili się tutaj przedstawiciele wszystkich ludzkich ras Ziemi. Nigdy nie widział niczego, co dorównywałoby tym szerokim miejskim bulwarom, świątyniom o tysiącach kolumn, kopułom pałaców oraz bujnym, otoczonym murami ogrodami. Dziwił się, że tak wielu mieszkańców stłoczonych w jednym miejscu może żyć spokojnie, nie skacząc sobie do gardeł jak dzikie zwierzęta.

Nie wszystkie dzielnice miasta były jednak tak piękne jak ta, w której mieściły się siedziby wielkich panów i książąt — pałace z marmurowymi kolumnami, parkami i ogrodami. Cymmerianin odkrył też kręte zaułki, w których tłoczyli się żebracy i rajfurzy, oferujący bogatym degeneratom wymalowane dziewczynki. Tutaj można było kupić lub wynająć każde ciało i za określoną sumę zaspokoić każdą potrzebę, nieważne jak plugawą.

W tych bocznych uliczkach czaiła się przemoc i śmierć. Gdy Conan i Subotai szli wśród tłumu, nagle rozległ się krzyk kobiety. Ludzie rozbiegli się przeklinając. W mgnieniu oka obaj wędrowcy znaleźli się sami w wąskim zaułku. U stóp wił się mężczyzna przyciskający dłonie do brzucha. Z rany, pomiędzy jego palcami spływał na ziemię strumień krwi.

— Co?... — zaczął niepewnie Conan.

— Nie pytaj — wyszeptał Subotai. — Znikamy stąd, zanim pojawi się straż miejska.

Conan wzruszył ramionami, a Hyrkańczyk pchnął go w obskurne przejście między budynkami. Tędy dotarli do szerokiego brukowanego bulwaru, wzdłuż którego stały wytworne kramy i majestatyczne drzewa. Środkiem ulicy ciągnęła procesja i dwaj cudzoziemcy przystanęli, by się jej przyjrzeć.

Procesję poprzedzała grupa młodych kobiet i dziewcząt — niektóre były prawie dziećmi, tańczących i śpiewających w rytm niezliczonych tamburynów. Wszystkie były odziane w poplamione białe szaty i wieńce z przywiedłych kwiatów na głowach o rozpuszczonych włosach. Za nimi maszerowały szeregi młodzieńców wybijających rytm na bębenkach oraz wydobywających kocią muzykę z cymbałów, lir i płaczliwych fletów.

Oczy uczestników procesji były szkliste i nieświadome jak oczy ludzi chodzących we śnie. Między nimi krążyli odziani w długie szaty mężczyźni z gładko ogolonymi głowami, niosącymi dzbany z brązu, z których unosił się błękitny dym przeszywający powietrze kuszącą słodyczą.

Conan zmarszczył nos, gdy dotarli do niego te omdlewająco słodkie opary. Dziwna muzyka była dlań odrażająca, a zachowanie maszerujących budziło jego nieufność.

Muzyka wzmogła się, gdy pojawili się nadzy młodzieńcy niosący węże zawinięte na karkach lub ramionach. Ci zdawali się nie dostrzegać innych uczestników procesji. Słoneczne światło odbijało się od połyskujących łusek gadów, szarych, brązowych i czarnych, a w niektórych przypadkach plamistych lub ozdobionych zygzakami i prążkami.

— Są jadowite? — zapytał Conan swego towarzysza.

— Niektóre tak. Ten brązowy, o ile się nie mylę, to śmiertelnie groźna kobra z Vendhii. A te wielkie, grubsze niż twoje ramię, pochodzą z dżungli dalekiego Południa. Te nie są jadowite, ale jeśli się je przestraszy lub zdenerwuje, mogą otoczyć człowiekowi szyję swoimi zwojami i złamać mu kręgosłup lub zdławić na śmierć.

— Ugh! — wzdrygnął się Conan. Węże budziły w nim odrazę i przywoływały mroczne wspomnienia. Odwrócił się, by powiedzieć coś do Subotai, ale ten zagapił się na młodą dziewczynę idącą w następnej grupie. Dziewczyna ta, pomimo potarganych i brudnych włosów, korony z uschniętych kwiatów i rozszerzonych nieobecnych oczu, była niezwykle piękna. Jej zwiewna,

rozdzarta suknią przy każdym kroku odsłaniała nagie uda.

Gapiący się na nią głodnym wzrokiem złodziej potrząsnął głową.

— Cóż za marnotrawstwo! Takie ciało powinno ogrzewać nocą łoże wojownika, zamiast być zabawką kapłanów i oślizłych węży.

— Co masz na myśli? — zapytał Conan.

Subotai popatrzył podejrzliwie na swego wielkiego towarzysza i stwierdził, że ten nie żartuje.

— To, że ta dziewczka, jak i pozostałe, oddaje się kultowi Starego Węża — Seta. Nienawidzę węży i większości kapłanów, ale ponad wszystko gardzę czcicielami Seta.

— Bóg wąż! — zawołał Conan. — Czy on ma coś wspólnego z symbolem, o którym ci mówiłem?

Subotai rozpostarł szeroko ręce. W tej samej chwili posypał się deszcz płatków kwiatów i otoczyła ich roześmiana grupa dziewcząt. Jasnookie i wesołe, zdawały się mniej zatopione w transie niż te, które szły dotąd.

— Chodź z nami! — krzyknęła jedna z nich do Subotai.

— Nie, dziewczyno — powiedział cokolwiek tęsknie mały złodziej. — Nie lubię waszego węzowego boga.

— W ramionach boga-węża poznasz miłość nie dorównującą niczemu, czego kiedykolwiek zaznałeś — wymruczała dziewczyna, kołysząc się zmysłowo. — Miłość, którą człowiek może dzielić...

— A od kiedy to węże mają ramiona? — warknął Subotai.

Gdy dziewczyna odeszła, by wypróbować swoje uwodzicielskie umiejętności na bardziej podatnych widzach, inna przysunęła się do Conana i poklepała go po ramieniu.

— Raj czeka na ciebie, wojowniku — wyszeptwała. — Musisz tylko pójść za mną...

— Dokąd? — mruknął zaintrygowany Conan.

Zbliżył się kupiec, który dotychczas stał w otwartych drzwiach sklepu.

— Strzeż się, cudzoziemcze — rzekł cicho do Cymmerianina. — Ci, którzy służą Setowi, to łajdacy. Są wyznawcami śmierci.

— Naprawdę? — ta wiadomość wstrząsnęła Conanem. Dla niego śmierć zawsze była wrogiem.

Kupiec potaknął.

— Zabiliby własnych rodziców, przekonani, że robią im łaskę, zdejmując z ich barków brzemię życia.

Conan podziękował i patrzył, jak dziewczyna roztapia się w tłumie.

Między nim a słońcem nagle przeleciał cień. Conan spojrzął w górę i ujrzał palankin niesiony na ramionach ośmiu młodych kobiet. Już samo krzesło udrapowane jedwabiem z królewskiej purpury, związanym z tyłu złotym sznurem, mogło wzbudzić zachwyt. Lecz to nie na jego widok Conan raptownie wciągnął oddech, oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia. W książęcej lektyce siedziała istota absolutnie niewiarygodnie piękna. Nigdy nie przypuszczał, że śmiertelniczka może mieć taką urodę. Jak promienie słońca przyćmiewają blask księżyca, tak ona przyćmiewała wszystkie inne kobiety i przemieniała je w blade duchy.

Kaskada czarnych włosów opadała do jej kibici. Szafirowe oczy błyszczały w nieskazitelnym owalu twarzy, a pełne usta były wilgotne jak poranna rosa. Jej figurę, gibką i mocną, okrywała wyszywana złotem szata kapłanki. Kiedy dziewczyna poruszyła się, błogosławiąc tłum, szata

rozchyliła się odsłaniając jasne, śliczne ramię.

Widząc pożądanie w oczach Conana, Subotai syknął:

— Nie gap się tak! To księżniczka królewskiego rodu!

Stojąc jak zaczarowany, barbarzyńca zignorował słowa Hyrkańczyka. I w tym momencie kapłanka spojrzała na Conana. Światło zapłonęło w jej błyszczących jak klejnoty oczach, a usta rozchyliły się w gwałtownym oddechu. Podniesieniem dłoni zatrzymała kobiety niosące lektykę.

— Hej, wojowniku! — zawołała miękkim, lekko ochrypłym głosem, który wzburzył krew w Cymmerianinie.

— Tak, pani?

Głos kobiety zalał młodzieńca, tak jak łamiąca się fala przykrywa pływaka na rozkołysanym morzu.

— Ciśnij swój miecz i chodź z nami. Zejdz z czerwonego szlaku wojny. Wróc do prostego życia, do odwiecznego cyklu pór roku. Oczyszczający czas już czeka na skraju świata. To czas odnowy po upadku wszystkich starych i przebrzmiałych rzeczy. Przyłącz się do nas, a odrodzisz się jak wąż w trawie, który zrzuca skórę, by raz jeszcze stać się młodym i szybkim, zwinnym i pięknym.

Conan potrząsnął głową, by uspokoić oszalały wir myśli i lepiej pojąć znaczenie słów wypowiedzianych z takim żarem. Ale kobieta zrozumiała jego gest jako odmowę. Kiedy Cymmerianin znowu spojrzał w górę, zasłony palankinu były zaciągnięte, a niosące go kobiety ruszyły w dalszą drogę.

Conan patrzył otumaniony. Nigdy żadna kobieta nie wydawała się tak pociągająca. Kiedy Subotai pociągnął go za rękaw; Conan strząsnął jego dłoń i szybkim krokiem ruszył za znikającą lektyką. Mały złodziej popędził za nim.

Aleja wychodziła na olbrzymi, kwadratowy plac, na którym zbierały się karawany. Obok wyrastało miniaturowe miasto namiotów z samodziału, jedwabiu i sukna z wielbłądziego włosia. Rzędy osłów, mułów i wielbłądów stały uwiązane w centrum placu, wokół zaś zgromadzone były szeregi wozów karawanowych.

Za zatłoczonym placem Conan dostrzegł wysoką wieżę rysującą się ponuro na tle nieba. Świeciło słońce, ale posępna budowla zdawała się spowita cieniem. To w jej stronę zdążyła procesja.

Conan, rozpychając przechodniów, gonił znikającą lektykę i jej piękną pasażerkę. Odległość zmalała do kilku kroków i wtedy stało się coś, co sprawiło, że Cymmerianin zamarł w biegu. Kiedy procesja przygotowała się do wejścia w bramę wieży, chór głosów, przekrzykując zgiełk ulicy, wyskandował:

— Doom... Doom... Doom...

Nagły skurcz wykrzywił twarz Conana. Złowieszczy chór obudził obrazy uśpione w jego pamięci. Gorzkie wspomnienia ogarnęły go z taką siłą, że ledwie dostrzegł ostatnią grupę maszerujących, którzy mijali go w odległości wyciągniętego ramienia. Byli to młodzieńcy, niemalże dzieci, biczujący swoje nagie ciała. Ich twarze były wyprane z wszystkich uczuć i blade jak kreda. Bicze, którymi chłostali się po plecach i ramionach, były wykonane ze skóry węży i zakończone haczykowatymi kłami, tak wymyślnie, że po każdym uderzeniu pozostawiały na skórze krwawe punkty. Młodzieńcy, najwyraźniej nie czując bólu, skandowali:

— Doom... Doom... Thulsa Doom... Thulsa Doom...

Conan ponuro przyglądał się, jak ostatni uczestnicy procesji nikną w posępnej wieży. „W Shadizar, w Zamorze — przepowiedziała wiedźma — znajdziesz tych, których szukasz”. I oto znalazł



wyznawców człowieka, boga czy też diabła, który nosił imię Doom...

— Głupcy! — warknął Subotai, spluwając na ziemię. — Głupcy i szaleńcy, kochankowie węża, czciciele śmierci! Wszędzie wokół wznoszą swe mroczne wieże, twierdze Seta. Zawsze to samo; wabią młodych i niewinnych, którzy porzucają mężów, ukochane, rodzinę, by w plugawych orgiach tarzać się z wężami i szalonymi kapłanami.

— Kim jest ta kobieta, którą nazwałeś księżniczką? — zapytał Conan. Przepęnlony pożądaniem i wstrętem wspomniął wyhaftowane na jej szacie wijące się węże.

— Ta kobieta, jak ją nazywasz — powiedział Subotai — to księżniczka Yasimina, córka króla Osrica i dziedziczka Rubinowego Tronu. Musiałeś widzieć królewską pieczęć na jej wisiorze, kiedy tak zachłannie się na nią gapileś!

— Co robi królewska córka wśród tych ogłupiałych czcicieli węży?

Subotai skrzywił się.

— Jest jedną z nich, najwyższą kapłanką Seta. Dawno temu kapłani otumanili ją swoimi kłamstwami i narkotykami. To łotry, wszyscy co do jednego, jak mówił ten kupiec. Ludzie szepczą, że napadają na cudzoziemców na drogach i duszą ich we śnie lub sztyletują w ciemnościach. Wszystko to dla ich oślizgłego boga. Śmierć czai się za śpiącymi oczami tych ludzi, barbarzyńco.

— Czy król Osric jest wyznawcą tej dziwnej religii? Jest jednym z nich?

— Nie. I wielce boleje nad losem swej córki.

— W takim razie, skoro ci wyznawcy węża tak bardzo zależli mu za skórę, dlaczego nie wyśle żołnierzy, by ich wybili?

— Kapłani Seta są potężni — wyjaśnił Hyrkańczyk. — Osric nie odważy się wystąpić przeciw nim otwarcie. Na dodatek wielu w Zamorze uważa go za obcego i nieprawowitego króla. Jego ojciec był awanturnikiem z Koryntii, który dosłużył się w zamorańskiej armii stopnia generała, a później objął tron. Ale skąd to nagłe zainteresowanie tym upadającym rodem? Losy królów nie dotyczą osób takich jak ty czy ja.

— To dziwne kraje — mruknął Conan — a ludzie, którzy je zamieszkują, są jeszcze dziwniejsi.

# VI

## Złodziej

Dwaj młodzieńcy przemierzali kręte ulice Shadizar poszukując rozrywki. Na chybił trafił wybierali szerokie ulice i wstrętne zaułki, chłonąc niezwykle widoki, dźwięki i zapachy. Gdy tak szli, Conan rozmyślał o swoich poszukiwaniach. Przypuszczał, być może błędnie, że wiedźma posłała go tutaj z jakiegoś powodu. Jak na razie, poza słowem „Doom”, nie znalazł niczego, co przypominałoby mu dawnych jeźdźców czy złowieszczą chorągiew ich przywódcy. Nic oprócz wyznawców węża oddanych swemu okrutnemu bogowi. Wężę w obu przypadkach mogły być jedynie zbiegiem okoliczności.

Pomarańczowoczerwona kula słońca schowała się za postrzępione dachy wysokich budynków i ostrą iglicę zdobiącą wieżę Seta. W namiotach na wielkim placu zapaliły się światła. Psy wyruszyły w mrok na poszukiwanie odpadków. Podstępne twarze o drapieźnych oczach zerkały pożądliwie z bram domów na zakratowane okna. Gdy ruch zmalął, na ulicach zapłonęły ogniska, przy których gromadzili się żebracy szukający ciepła i towarzystwa.

Wędrowcy znaleźli kram z jedzeniem i wydali nieco srebra z sakwy ukradzonej przez Subotai. Conan gryzł kawał pieczonej świni, podczas gdy jego towarzysz wypytywał właściciela.

— Jestem Kerlaitczykiem — rzucił od niechcienia Hyrkańczyk. — Znakiem mojego klanu jest dziewięć ogonów jaków i czaszka konia. Może przypadkiem widziałeś chorągiew z takim znakiem?

Kramarz ze znudzoną miną stwierdził, że nie zna się na takich rzeczach, ale przyznał, że słyszał, jak podróżni o nich rozmawiają.

— Ciekawią mnie chorągwie — paplał Subotai. — Może powinienem mieć swój własny herb, jak sądzisz? — Po chwili dodał z rozbijającym uśmiechem.: — Natknąłem się na taki, który być może widziałeś: dwa zwrócone ku sobie wężę podtrzymujące słońce, ze splecionymi ogonami... — Subotai zawiesił pytająco głos.

Sprzedawca ziewnął obojętnie.

— Rzadko zwracam uwagę na takie rzeczy. Nie interesuje mnie to. Jedyne wężę w okolicy jakie widziałem to te Seta, czczone w wieżach równie przeklętych jak ta tutaj.

— Zatem jest ich więcej? — zapytał szybko Conan. Kramarz skinął.

— W Zamorze jest ich sporo. Przynajmniej po jednej w każdym mieście, tak słyszałem. Wszystkie świeżo wymurowane, pojmujesz cudzoziemcze, w ostatnich latach kult Seta wielce się rozprzestrzenił.

— Tak — mruknął Conan. Jego zainteresowanie sprowokowało sprzedawcę do dalszych

wynurzeń.

— Jeszcze nie tak dawno kult Seta skupiał niewielu wyznawców, a teraz są oni wszędzie.

— Naprawdę? — zdziwił się Subotai, mrugając porozumiewawczo do młodego barbarzyńcy.

— Tak! Ale ta tutaj jest matką wszystkich. Nazywają ją Wieżą Czarnego Węża, i pod taką nazwą znana jest blisko i daleko.

Błysk rozbawienia zapalił się w oczach Hyrkańczyka. Otworzył usta, by zadać następne pytanie, ale Conan uprzedził go:

— Ludzie z procesji dziś przed południem wykrzykiwali imię, coś jakby „Doom”. Czy to imię człowieka?

Kupiec wzruszył ramionami.

— Ja daję im spokój, więc i oni zostawiają mnie w spokoju.

Nie wiem nic o tym zakonie. Niektórzy mówią, że są mordercami, bardziej kochającymi śmierć niż życie i że częściej zażywają rozkoszy w objęciach jadowitych węży niż w ludzkich ramionach. Ale ja nic do nich nie mam... — niespodziewanie zniżył głos: — Słuchajcie, młodzi panowie, ledwie dzisiejszego ranka od easterlingskiego kupca otrzymałem coś specjalnego... — wyciągnął jedwabny woreczek wypełniony czarnymi, wyschniętymi płatkami.

— Czarny Lotos. Z Khitai — wyszeptał. — Bardzo dobry!

Subotai oblizwał wargi. Srebro zmieniło właściciela i kiedy wyszli na zewnątrz, mały złodziej otworzył woreczek. Wyciągnął dwa płatki. Jeden wsunął pod język, a drugi zaproponował Conanowi. Cymmerianin potrząsnął głową.

Przez kilka następnych dni Conan próbował wynająć się jako strażnik lub żołnierz. Jednak gdy tylko zaczynał mówić swym łamanym zamoryjskim, jego propozycja była natychmiast odrzucana. Pewnego dnia po kupieniu jedzenia oznajmił:

— To były nasze ostatnie pieniądze. Dzisiejszy nocleg mamy opłacony, ale co zrobimy jutro?

Siedząc przy stole w karczmie, w której stracili ostatnie miedziaki, Subotai zastanawiał się na głos:

— Mógłbyś sprzedać wisior, który masz na szyi. Ma dziwny wzór i jest dobrze zrobiony.

— Znalazłem go w chacie wiedźmy i nie wątpię, że służy do odwracania zła. Poza tym, to zabawka bogatych, kupiec mógłby pomyśleć, że go ukradłem.

— Żebracy nie mają wyboru. — Hyrkańczyk wzruszył ramionami. — Chyba że wolisz sprzedać swój starożytny miecz. Powinien pójść za godziwą cenę...

— Nigdy! — warknął Conan. — Uratował mnie przed wilkami i będzie mi jeszcze dobrze służył w czasach, które nadejdą. To broń, jaką mógłby zrobić mój ojciec.

— W takim razie jutro możemy głodowe — stwierdził mały złodziej. — A jestem do tego przyzwyczajony, Cymmerianinie.

— Gdybyś nie wydał tyle na ten przeklęty Czarny Lotos, nadal mielibyśmy pieniądze.

Subotai zdławił złośliwą odpowiedź i skończył posiłek w milczeniu. Szybko stali się przyjaciółmi i żaden z nich nie miał ochoty na rozstanie po błahej sprzeczce. W końcu Conan mruknął:

— Zabierz mnie do handlarza, który kupiłby talizman z odległych stron.

Subotai, kryjąc uśmiech za wzniesioną dłońią, zaprowadził Cymmerianina do złodziejskiej dzielnicy znanej jako *maul*. Gdy mijali Wieżę Seta, Conan przyjrzał się jej majestatycznym murom.

— Czy wiesz, co jest w środku, dobrze strzeżone przez wyznawców węża? — zapytał Subotai zerkając chytrze na swego towarzysza.

— Nie.

— Szlachetne kamienie, złoto... Nieskończone bogactwo. I największy klejnot, zwany Okiem Seta... Mówi się, że posiada moc, o której nikomu się nie śniło... I wiesz, co jeszcze tam jest? — zawiesił głos. — Węże! To dom wszystkich węży, które widziałeś w czasie procesji. Chciałbyś mieć węża, jak ci wszyscy wyznawcy Seta?

— Wystarczy. Mamy coś do roboty — uciał Conan. Ale jego oczy mierzyły wieżę tak, jakby była to kamienna ściana w jego rodzinnej Cymmerii. Tak, to byłoby możliwe, pomyślał. Gdyby miało się odpowiednią linę, odwagę i mocny miecz...

Subotai przeprowadził go przez kilka bocznych uliczek. Na jednej zbliżała się do nich przygarbiona, siwa jędrza obwieszona religijnymi amuletami.

— Daj miedziaka za ochronę przeciw złu — zaskomlała.

— Potrzebuję ich tak samo jak ty, stara kobieto — powiedział Subotai. — I sam jestem złem! — zaśmiał się.

— Pewnie twoja matka miała kwaśne mleko! — starucha splunęła i odeszła utykając.

Gdy dwaj towarzysze skręcili w kolejną ulicę, osaczyły ich brudne ladacznice.

— Oto brama niebios — oznajmiła jedna unosząc wysoko suknię.

— Szkoda, że nie mamy pieniędzy — westchnął ciężko Subotai. — Obawiam się, że nie zechcą kochać nas dla nas samych.

Wspomniawszy noc w chacie kobiety–demonia, Conan popatrzył na Hyrkańczyka z lekką odrazą.

Na ulicy ze zwierzętami owa lekka odraza Conana zamieniła się we wstręt. Wszędzie widział zwierzęta wszelkiego rodzaju, większość z krain nie znanych w Cymmerii. Zwierzęta chrząkały, warczały, szczekały i beczały, a ziemia była zanieczyszczona ich odchodami. Kupcy zachwalali ich zalety i wyklócali się o ceny tak namiętnie, że ledwo zauważyli przechodzących obok cudzoziemców.

— Czy tu zawsze tak śmierdzi? — zapytał Conan. — Czy wiatr kiedykolwiek wydmuchuje te smród?

Subotai nie odpowiedział, albowiem nie było odpowiedzi na pytanie Cymmerianina. Chwilę później Conan zerknął w otwarte drzwi jakiegoś domu. Ujrzał dziwny rytuał, w którym brało udział kilku nagich chłopców i śnieżnobiała krowa.

— Czy te plugastwa czynione w imię cywilizacji nie mają końca? — zapytał towarzysza.

— Nie w Shadizar — odparł Hyrkańczyk ze znudzeniem zrodzonym przez dogłębną znajomość sprawy. Conan bez słowa zapatrzył się na zdeformowaną postać, która czmychnęła na jego widok. Pomyślał, że ten odmieniec jest symbolem całego zła, jakie stworzył człowiek budując tak wielkie miasta.

*Maul* było kryjówką gwałcicieli, morderców i zbrojców. Tutaj także zbierali się złodzieje, którzy sprzedawali skradzione dobra kupcom mniej wybrednym od innych.

Dwaj towarzysze znaleźli kram kupca klejnotów — zupełną ruderę, którą, gdyby straż chciała zamknąć właściciela, ten mógłby porzucić bez żalu. Conan ściągnął wisior z grubego karku i podał go mężczyźnie, podstarzałemu Shemicie, sądząc po turbanie i szarej skręconej brodzie. Bystre oczy oceniły sprzedającego dużo bardziej dokładnie niż rzecz, która miała zostać sprzedana.

— Jest stary, bardzo stary — mruknął kupiec po pobieżnym obejrzeniu wisiora. — Przywędrował z jakiegoś egzotycznego kraju na wschodzie, odległego o tysiąc lub więcej mil. Ząb

czasu mocno go już napoczął.

— Co mówią znaki wyryte między rubinami? — zapytał Conan. — Według mnie dotyczą magii...

Shemita spojrział przenikliwie na młodego Cymmerianina. Chociaż w paciorkowatych oczach kupca zabłysła chciwość, odpowiedział z wystudiowaną obojętnością:

— Ta rzecz jest bardzo stara i zniszczona. Nie jest wiele warta. A co do magii, jak można wiedzieć, co ma magiczne właściwości, jeśli się nie jest magiem? Mogę ci dać dwie i pół korony, a to jest wielce wspaniałomyślna oferta. — Shemita odwrócił się i zaczął odkurzać półki.

— Zgoda — powiedział Conan ignorując lekkie szarpanie za rękaw.

Mężczyzna odwrócił się i wrzucił dwie małe złote monety i jedną srebrną do wyciągniętej dłoni Conana. Gdy przyjaciele wyszli, Subotai wybuchnął:

— Głupiec! Ciamajda! Każdy dureń wie, że nie przyjmuje się pierwszej oferty. Mógłbyś dostać dwa lub trzy razy więcej, gdybyś się trochę potargował.

Conan groźnie spojrział na swojego towarzysza.

— Dlaczego nie powiedziałeś mi tego wcześniej?

— Nie mówiłeś, co zamierzasz zrobić, a nikt nie ciągnie łuczника za ramię, gdy ten naciąga cięciwę.

Gniew Conana szybko minął.

— Obawiam się, że masz rację — przyznał. — Nigdy nie miałem okazji nauczyć się sztuki handlowania. Następnym razem, gdy będziemy musieli się targować, zostawię to tobie.

— Przyznanie się do niewiedzy — powiedział Hyrkańczyk — jest wstępem do wiedzy, jak mawia pewien khitajski filozof. Nie patrz na mnie z takim przygnębieniem. Wystarczy nam najedzenie i nocleg przez dwa tygodnie, a w tym czasie musi się coś zmienić. Jestem tego pewien.

— A jeśli nie, co zrobimy? — mruknął Conan. — Ja muszę znaleźć chorągiew z tym symbolem i człowieka, który zabił moich rodziców. Żąda tego mój cymmeriański honor!

— Niech Dziewięć Piekieł pochłonie twój węzowy symbol i cymmeriańską zemstę! — Subotai machnął w kierunku ciemnej wieży, która, cicha i ponura, była widoczna z każdego placu miasta. — Mam plan, który uczyni nas bogatymi...

— Masz więcej planów niż osioł nóg! — warknął Conan. — Jaki to plan?

— Jeśli to naprawdę jest Wieża Czarnego Węża, jak ją nazwał ten kupiec, to czasami o niej słyszałem... W moim zawodzie, rozumiesz, od moich braci złodziei.

— Co słyszałeś?

— Że w środku są niewiarygodne skarby — wyszeptał Subotai, oblizując wyschnięte usta. — Tutaj przybywają daniny od wiernych z całego królestwa: złoto, narkotyki, kamienie, wino i kobiety! Ale najwięcej klejnotów. Wyznawcy Seta cenią szlachetne kamienie, błyszczące jak oczy ich ukochanych węży.

Conan chrząknął. Nigdy w życiu nie ukradł nic poza paroma owocami z drzew cymmeriańskich sąsiadów. I dopóki nie spotkał Subotai, pogardzał złodziejami. Cymmerianie nie okradali siebie nawzajem, chociaż urządzali najazdy na klany, z którymi byli skłócenii.

Teraz, w mieście, z niewielką ilością pieniędzy i małymi szansami otrzymania zajęcia bez lepszej znajomości zamoryjskiego, Conan wiedział, że musi znaleźć sposób na zaspokojenie swego lwiego apetytu. Widząc jego wahanie, Subotai kontynuował:

— Mówi się, że w tutejszej wieży znajduje się największy klejnot. Oko Seta, tak go nazywają, to klejnot takiej wartości, że można by kupić za niego księstwo. Mówią, że ma też potężną moc, ale ja

nie zważam na takie gadanie. Wystarczy mi jego wartość w złocie.

— Taki skarb jest bez wątpienia dobrze strzeżony — rzekł z powątpiewaniem Conan.

— Tak, ale nie przez ludzi! Mówi się, że robią to węże, które wędrują swobodnie po wieży niczym psy pilnujące domu.

— Więc? — zapytał Conan.

Subotai rozłożył szeroko ręce.

— Ty szukasz węży, ja szukam skarbu. Być może znajdziemy w tej wieży jedno i drugie...

W końcu postanowili włamać się do wieży Seta, chociaż Conanowi mało podobał się ten pomysł. Następnego dnia rano, zgarbieni nad skromnym śniadaniem omawiali plany. Ich szepty zagłuszał trzask płonącego ognia. Postanowili podjąć ryzyko tej nocy, o ile chmury przysłonią księżyc w pełni.

Zmrok otulił ich aksamitnym płaszczem ciemności, gdy skradali się w stronę wzniesienia, z którego w zachmurzone niebo pięła się mroczna wieża.

U stóp pagórka wznosił się mur szczelnie pokryty winoroślą. Żadna linowa drabina nie nadałaby się lepiej do pokonania tej ściany od porastających ją pędów. Subotai, jako lżejszy, pierwszy wspiał się na mur i cichym ptasim zaśpiewem dał znak Conanowi, który szybko dołączył do niego.

Ukrywając się za rzędem niskich krzaków, złodzieje uważnie obejrzeliby z boku wznoszące się między nimi a podstawą wieży. Poskręcane drzewa wznosiły groźnie gałęzie, jakby w milczącym ostrzeżeniu. Ostre skały przebijały cienką warstwę gleby niczym kły olbrzyma. Wieża, czarna na tle chmur, dumnie sięgała w niebo. Między nią a ich schronieniem błyszczała sadzawka, wyglądająca jak usta rozwarte w niemym krzyku. Conan i Subotai wyszli zza krzaków i ruszyli do wieży. Wtem rozległ się suchy trzask gałązki pękającej pod czyjąś stopą i jakiś kształt wyłonił się z głębokiego cienia u stóp budowli.

W tej samej chwili promień srebrnego światła przebił się przez szparę w chmurach i oświetlił intruza. Była to kobieta, młoda i piękna. Światło księżycy spłynęło na jej szczupłe ramiona, zagrało na muskularnym udzie i długiej, zgrabnej nodze tancerki bądź akrobatki. Conan wstrzymał oddech. Na ile mógł zauważyć, kobieta była niewiarygodnie pociągająca.

Na obcisłej tunice z czarnego jedwabiu nosiła skąpy strój z czarnej skóry, który odsłaniał jej ramiona i nagie nogi. Cymmerianin stwierdził, że ręce i nogi kobiety są opalone i bez wątpienia obdarzone wielką siłą. Dopasowane ciżemki obejmowały jej drobne stopy, a długie jasne włosy były utrzymywane w ryzach przez hebanowe pierścienie.

Obręcz z ciemnej stali chroniła jej czoło, a u pasa miała zwój liny zakończony trójszponiastym hakiem. Zakrzywiony nóż, prawie tak długi jak szabla, krył się w pochwie na udzie.

Conan przesunął ciężar z nogi na nogę i szelest suchych liści zdradził jego obecność. Kobieta spojrzała w jego stronę, a zakrzywione ostrze zasyczało, wyskakując z pochwy, i zamarło wycelowane bezbłędnie w pierś Conana, jakby oczy kobiety mogły przeniknąć ciemność niczym ślepiec kota. Dalsze ukrywanie się było bez sensu. Conan podniósł się powoli i pokazał puste dłonie na znak pokojowych zamiarów. Zauważył, że broń dziewczyny jest tak wyważona, że może służyć również do miotania.

Conan i kobieta przyglądali się sobie bez słowa do chwili, gdy promień światła zbladł i zniknął.

— Nie jesteś strażniczką — mruknął Conan.

— Nie bardziej niż ty — odparła dziewczyna — A kto tam obok ciebie próbuje nie hałasować, a sapie ciężko jak słoń?

— Jeszcze jeden złodziej — odparł Subotai, prostując się. — Obawiam się, że złodziej o nieco zardzewiałych umiejętnościach.

— Kim jesteście i skąd? — dziewczyna zwróciła się do Conana.

— Jestem Conan Cymmerianin, zabójca z zawodu, a złodziej z konieczności. To Subotai, Hyrkańczyk...

— Złodziej z wyboru i zamiłowania — odpowiedział z dumą jego kamrat. — Przyszliśmy splądrować bogactwa kochanków węży.

Dziewczyna uśmiechnęła się szeroko i w mroku zabłyśły jej białe zęby.

— Jesteście dwoma głupcami, którzy rzucają się na pewną śmierć! Nie macie nawet liny. Jak w takim razie zamierzaliście wejść do wieży? Wlecieć na grzbiecie smoka? Na dolnych piętrach nie ma okien.

— Mam swoje sposoby — powiedział Subotai. — A mój przyjaciel ma swoje. A kim, dobra dziewczko, ty jesteś?

— Jestem Valeria — odpowiedziała krótko.

Subotai jęknął.

— Ta Valeria?

Dziewczyna skinęła, a Conan spojrzał pytająco na swego towarzysza.

— To słynna dama, Conanie. Królowa złodziei, jak się mówi. Ale powiedz mi, pani, gdzie są twoi ludzie? Niemożliwe, żebyś wybrała się sama do tej wężowej wieży.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

— To głupcy i tchórze, wszyscy! Kilku przestraszyło się ukąszeń żmij, inni demonów Seta, a wszyscy drżą przed człowiekiem zwanym Doom.

Conan drgnął na wzmiankę tego imienia, a spostrzegawcza Valeria zauważyła reakcję barbarzyńcy.

— Nie boisz się tego imienia, Cymmerianinie. Ale myślę, że ma ono dla ciebie jakieś znaczenie. Ci z wieży oprócz Seta czczą wielu pomniejszych bogów. Czy któryś z nich jest twoim?

— To nie są moi bogowie! — warknął Conan.

Wzruszyła ramionami i przeniosła uwagę na wieżę.

— Groza czai się za tymi ciemnymi ścianami — mruknęła.

— I wspaniałe bogactwa — dodał Subotai.

Valeria uśmiechnęła się.

— W takim razie idź pierwszy, mały człowieku.

W końcu to jednak Conan pierwszy wspiał się na Wieżę Czarnej Węża. Dopiero za trzecim razem hak pewnie zaczepił się o jej skraj. Conan wypróbował jedwabny sznur i przekonał się, że utrzyma jego ciężar. Subotai nie zwracał uwagi na te przygotowania. Był zajęty mocowaniem do butów i do nadgarstków stalowych haków wyglądających jak szpony. Wcisnął ich ostrze w szczeliny pomiędzy kamieniami i wyszczerzył zęby.

— Nie ufam sznurom — powiedział. — Wejdę na swój sposób.

— Twoja sprawa — powiedział Conan wzruszając ramionami.

— Zamknijcie się! — sapnęła Valeria. — Bogactwa połowy świata są w zasięgu naszych dłoni, a wy marnujecie czas na niepotrzebne gadanie.

Conan chrząknął i zaczął się wspinać. Valeria ruszyła zaraz za nim, jej zgrabne ciało poruszało

się po ścianie z gracją osy. Zerknęła przez ramię na gramolącego się Hyrkańczyka i roześmiała się cicho.

— Zamierzasz spędzić tu całe życie?

— Wchodzę tak szybko, jak mogę — wysapał Subotai. Kołczan i łuk tworzyły garb na jego plecach. — Ta kobieta wspina się jak kot i ma taki sam charakter — mruknął do siebie.

Poniżej wspinaczy, u podstawy wieży zawarły się głębokie ciemności. Nad nimi świeżo przebudzony wiatr ze wschodu rozpedził zasnuwający dotąd niebo całun chmur. Księżyc spojrział na nich jak wielkie białe oko i oświetlił tak, jakby chciał, by zobaczyli ich wszyscy mieszkańcy ziemi. Conan zaklął i zerknął na śpiące miasto. Światła ognisk na ulicach wyglądały jak naszyjnik z topazów, złota i błyszczących pereł. Cymmerianin znajdował się na wysokości wież pobliskiego królewskiego pałacu i czuwających na nich straży. Ta myśl sprawiła, że zwiększył tempo wspinaczki.

Wreszcie dotarł do wąskiego okna, w którym migotało blade światło. Usłyszał dobiegającą z wnętrza nieharmonijną muzykę i przytłumione uderzenia bębnow. Po chwili do jego uszu dobiegł chór nieludzkich syczących głosów, a jego nos zaatakował omdlewająco słodki dym z kadzideł. Nagle w oknie pojawiła się wielka głowa. Zimne ślepia o wąskich źrenicach wpatrzyły się w Conana, a rozwidlony język wysuwał się raz po raz, smakując nocne powietrze. Conan odsunął się gwałtownie, niemalże puszczając sznur. Moment później zorientował się, że od olbrzymiego gada oddziela go szklana tafla.

Podjął wspinaczkę i po pewnym czasie dotarł do szczytu. Blanki wieńczyły wieżę niczym korona, a w tynk wmurowano tysiące klejnotów, które rozszczepiały promienie księżyca na miliony małych tęcz.

Conan z westchnieniem wywindował się na parapet otaczający zwieńczenie. Gdy przechodził przez blanki, skoczyła na niego potężna postać, tylko z grubsza przypominająca człowieka. Kreatura ta — człowiek, demon czy małpa, Cymmerianin nie wiedział dokładnie — zadała niespodziewany cios, który rzucił Conana na podłogę.

Barbarzyńca zerwał się na nogi i wyciągnął sztylet. Zauważył, że jego przeciwnik odziany jest w płaszcz z kapturem, a długie ręce ma pokryte łuskami. Zamiast dobić intruza, stwór pochylił się nad hakiem, by cisnąć w dół sznur, po którym wspinała się Valeria.

Conan skoczył na plecy strażnika i uderzył nożem. Rwąc jego odzienie na strzępy, odsłonił grzybiastą narośl sterczącą u podstawy karku, pomiędzy odstającymi łopatkami. Zaraz potem narośl rozdzieliła się i wyjrzało z niej czerwone ślepie. Ogarnięty przerażeniem i odrazą, Conan uderzył, wykluwając je sztyletem. Z rany trysnął obrzydliwy płyn, który obryzgał piersi barbarzyńcy. Gdy wyszarpnął broń, by uderzyć raz jeszcze, potwór obrócił się i potężne, łuskowate dłonie zamknęły się na jego szyi.

Młodzieniec trzasnął łbem dziwoląga o blanki i zatopił sztylet w jego brzuchu. Kaszląc krwią, bestia zwisała na murze, rozluźniając pazury. Cymmerianin odetchnął głęboko i obejrzał tę istotę rodem z nocnego koszmaru. Ślepe, ociekające śluzem oczy obróciły się w głębokich oczodołach. Szeroki, pozbawiony warg pysk rozdziawił się, naprężając fałdy guzkowatej skóry. Conan przykucnęła niczym prężący się do skoku lampart, schwycił bezwładną postać, dźwignął ją i przerzucił nad blankami. Zduszony skowyt zakończył głuchy łomot, gdy potwór legł u stóp wieży.

Tuż za plecami Conana rozległ się kobiecy śmiech. Cymmerianin obejrzał się i zobaczył, że Valeria wspięła się już na parapet i teraz z niedbałą gracją przechodzi przez blanki.

— Jak na złodzieja, jesteś niezłym zabójcą — zachichotała.



— Jak na złodziejkę, wspinasz się jak góral — odpowiedział, wycierając sztylet.

# VII

## Klejnot

— Hej! — dobiegł cichy okrzyk znad krawędzi wieży. Conan i Valeria zobaczyli zadyszanego Subotai, który próbował przejść przez blanki.

— Zauważyłem, że byłeś zajęty — powiedział, gdy pomogli mu dostać się do środka. — Co to było za ścierwo, które spadając omal nie zrzuciło mnie ze ściany?

— Crom jeden wie — mruknął Conan. — Jakieś piekielne nasienie sprowadzone tutaj przez czarnoksiężników. Nic ci nie jest?

— Nic, tylko daj mi odetchnąć.

Valeria położyła dłonie na szlachetnych kamieniach, którymi były wysadzone blanki.

— Tu jest fortuna! — wydyszała. — I wszystko nasze! Wyjęła sztylet z pochwy i spróbowała podważyć olbrzymi szafir. Subotai wyciągnął łuk z kołczanu, oparł jeden koniec o kamienną podłogę i nałożył cięciwę. Potem spojrzał pobłażliwie na Valerię.

— Zostaw te drobiazgi, moja pani. Są niewiele warte w porównaniu z tymi, które leżą niżej. Poza tym stępisz ostrze, a możesz go wkrótce potrzebować.

— Ruszamy — warknął Conan. — Bo znajdzie nas inny strażnik czy kapłan.

Valeria cisnęła garść klejnotów do sakwy przy pasie.

— Zatem do roboty — powiedziała podchodząc do wąskich drzwi. Schwyciła rzeźbioną klamkę i spodziewając się oporu szarpnęła z całej siły, ale drzwi otworzyły się tak lekko, że impet szarpnięcia niemalże ją przewrócił. Conan zajrzał do wnętrza i zmarszczył się na widok przyćmionego, zielonego blasku. Valeria nie czekając ruszyła w mrok. Conan dołączył do niej. Ostrożnie macał stopą podłogę przysłoniętą sięgającymi mu do kolan, wirującymi kłębamii mgły. Po chwili spostrzegł krąg kamiennych kolumn podtrzymujących strop i widoczne pomiędzy nimi ozdobione fryzami ściany. Niesamowite światło, przenikające od dołu przez mgłę, ujawniło odrażające szczegóły ozdób.

Gdy mgła ulotniła się z pomieszczenia przez otwarte drzwi, Conan zobaczył, że w podłodze znajduje się podobny do studni otwór, z którego wydobywa się szmaragdowy blask i przyciszony, rytmiczny śpiew. Z niego też wraz z mgłą wypływał cuchnący odór. Valeria przyłożyła rękę do twarzy, a Subotai zacisnął nos.

— Jakaż roślina lub zwierzę może tak cuchnąć? — zapytał mały złodziej.

— Pole bitwy po trzech dniach — mruknął Conan. — To padlina, albo jestem Hyrkańczykiem.

— Spójrz na to — wydyszała Valeria, wskazując na skraj studni, na żelazne szczeble tworzące wąską drabinę. Nad studnią sterczał olbrzymi hak z zawieszonym na nim krążkiem, przez który przecięnięty był gruby sznur o końcach niknących w mroku.

Conan spojrzał w dół.

— Bestia, którą zabiłem, prawdopodobnie wspięła się po żelaznej drabinie. Ale jeśli ktoś się śpieszy, może szybko pojechać w górę na tym sznurze. Zdaje się, że poniżej jest przeciwwaga. My skorzystamy z drabiny, bo nie wiemy nic o tym urządzeniu — zdecydował.

— Mogę spuścić mój własny sznur — mruknęła niezadowolona Valeria. — Ta drabina wygląda na kiepsko przymocowaną do ściany.

— Ruszaj, dziewczyno! — syknął Conan i zszedł na wąską platformę na skraju studni. — Jeśli te szczelby wytrzymały ciężar tej bestii, to wytrzymają i nasz.

Maskując strach, Valeria odnalazła stopą pierwszy szczebel i zaczęła schodzić. Subotai, trzymając w jednej ręce łuk i strzałę, ruszył ostatni.

W milczeniu opuszczali się w nieznaną głębię. Wypolerowane ciemne kamienie wysadzone jasnymi klejnotami w szyderczy sposób naśladowały usiany gwiazdami firmament. Schodzący mieli wrażenie, że same niebiosy groźnie zaciskają się wokół nich. Z każdym krokiem odległe zawodzenie przybierało na sile, podobnie jak smród padliny.

W końcu poczuli pod stopami kamienną posadzkę i dostrzegli źródło mętnego blasku. Znajdowali się w okrągłej kamiennej komnacie, z której wychodziły dwa ciemne otwory. Trzeci, wielkości olbrzymich drzwi, przegrodzony był żelazną kratą z szeroko rozstawionych sztab, przez którą wpadło to demoniczne światło. Conan zauważył, że kilka kroków dalej szczyrzy się gardziel następnego, opadającego w dół, wypełnionego ciemnością szybu.

Cała trójka ostrożnie zbliżyła się do kraty. Po drugiej stronie zobaczyli olbrzymią salę z kolumnami, oświetloną pulsującym, szmaragdowym światłem. Posadzka wielkiej komnaty żarzyła się zieloną luminescencją niczym gładka powierzchnia stawu.

— Jak zdołali zmieścić taką komnatę w tej wieży? Ta sala jest zbyt wielka! — wyszeptała Valeria.

— Musieliśmy zejść dużo poniżej poziomu ulicy — mruknął Conan.

On i Valeria wymienili spojrzenia, w których widać było bezgraniczną ciekawość zaprawioną odrobiną strachu. Potem dziewczyna precyzyjnie przycisnęła swe zgrabne ciało między prętami kraty. Conan miał z tym kłopot. Musiał obrócić się bokiem, wypuścić powietrze i siłą przepychać masywny tors między sztabami. Subotai poradził sobie niczym węgorz.

Przystanęli w cieniu pomiędzy dwoma rzędami kolumn. Kilkanaście kroków dalej plecami do intruzów stała grupa postaci odzianych w długie szaty. W odległym końcu wyciosanej w skale komnaty na jakimś występie czy balkonie stał mężczyzna, doskonale widoczny ponad głowami zgromadzonych. Na nim skupiało się jasne światło. Conan zauważył, że mężczyzna jest bez mała olbrzymem i ma czarną skórę. Na wpół nagi, stał z rozłożonymi rękami i zamkniętymi oczami. Jego dźwięczny śpiew wypełniał ciszę sali.

Valeria trąciła łokciem Conana.

— To Yaro, drugi w hierarchii — wyszeptała. — Jedyne człowiek zwany Doomem zajmuje wyższe miejsce niż on.

Conan na wzmiankę tego imienia drgnął, jednak nic nie powiedział. Subotai mruknął:

— Słyszałem, że tacy czarni pochodzą z kraju leżącego daleko na południu. Ten Yaro jest Kushytą?

Valeria wzruszyła ramionami.

— Mówią, że ma tysiąc lat, więc tylko Bel i Ishtar wiedzą, skąd pochodzi.

— Ci wyznawcy zagrażają nam drogę — rzekł cicho Conan — jak zdołamy przejść obok nich,

nie zdradzając się?

— Obejdziemy ich — odparła Valeria. — Myślę, że jest tu inny, niższy poziom...

Prześlizgując się od kolumny do kolumny, trzy milczące cienie dotarły prawie do miejsca, w którym stali wierni. Valeria wskazała czarną jak loch klatkę schodową.

— Idźcie w dół — wyszeptała. — Zobaczcie, co tam jest. Ja będę pilnować tyłów.

Dwaj mężczyźni ostrożnie ruszyli krętymi schodami. Nieruchome powietrze wypełniał wszechobecny odór. Wreszcie dotarli do niższej komnaty, rozjaśnionej nikłym światłem wpadającym przez wielką, okrągłą dziurę w suficie. Sala, w której odbywała się ceremonia, była dokładnie nad nimi.

Gdy oczy przywykły do mroku, Subotai drgnął i syknął:

— Na krew Erlika! Conanie, spójrz na to!

Podłoga pod kolistym otworem była usłana zwłokami kobiecymi i męskimi. Jedne wydawały się świeże, inne daleko posunięte w rozkładzie, a jeszcze inne już całkiem zeszkieletoweane. Gdy złodzieje zbliżyli się do trupów, w piskiem rozbiegły się uczujące szczury. Po chwili w ciemnościach zabłysły ich czerwone ślepia.

Conan ukryty w mroku spojrział w górę. Zobaczył Yaro klęczącego na balkonie. Po chwili czarny mężczyzna wstał i jego śpiew przycichł do szeptu. Idąc cicho jak skradająca się pantera, Cymmerianin okrążył stos trupów i stanął dokładnie pod kapłanem, w miejscu skąd nie będąc widoczny, mógł obserwować postacie z pierwszego szeregu. Wyznawcami kultu węża byli młodzi ludzie obojga płci.

W czasie gdy Conan patrzył, jedna z postaci zrzuciła płaszcz i wysunęła się do przodu. W szmaragdowym świetle stanęła piękna młoda kobieta, której szczupłe ciało ledwo przysłaniała wstęga przejrzystego materiału. Stanowczym krokiem weszła na kamienny wspornik, który jak kładka wystawał z boku otworu. Uroczysty śpiew znów zabrzmiał głośniejsz i przybierał na sile.

Subotai klepnął Conana w ramię i wskazał na niskie łukowate przejście w drugim końcu sali. Conan oderwał wzrok od kobiety stojącej nad otworem i dołączył do Hyrkańczyka. Przepisnęli się przez wysoki, wąski otwór, znaleźli się w okrągłym pomieszczeniu o średnicy dwunastu kroków. Dwie małe lampki, podtrzymywane przez uchwyty osadzone w ścianie pokrytej drewnianą boazerią, rzucały nierówne światło. Środek sali zajmowała ścięta kolumna pokryta wyrzeźbionymi postaciami i hieroglifami.

— Oko Seta! — syknął Subotai. — O bogowie, patrz!

Wzrok Conana posłusznie powędrował za gestem Hyrkańczyka, ku ogromnemu czerwonemu klejnotowi w kształcie łzy, spoczywającemu na kamiennej kolumnie. Chwilę później lekki ruch u podstawy ołtarza przyciągnął uwagę Conana. Wokół kolumnienki leżał zwinięty kolosalny wąż. Cymmerianin nigdy nie słyszał ani nawet nie wyobrażał sobie, iż wąż może osiągnąć takie rozmiary. Światło lamp skrzyło się na błyszczących łuskach, które okrywały falujące leniwie cielsko.

— Na Mitrę! To największy i najcenniejszy klejnot na ziemi! — wysapał Subotai bez tchu. — Moglibyśmy kupić za niego emirat w Turanie.

— Pod warunkiem, że zdołamy położyć na nim rękę. Czy widzisz strażnika?

Subotai popatrzył w dół i drżąc wciągnął powietrze. Conan zrobił krok do przodu. Łeb węża ani drgnął.

— Śpi czy czuwa? — wyszeptał. — Oczy ma otwarte.

— Z węzami nigdy nie wiadomo — odparł Subotai. — Nie mają powiek.

Conan zrobił dwa kroki więcej. Wąż nadal pozostawał w bezruchu.

— Mógłbym odciąć mu łeb jednym cięciem... — wymruczał Conan.

— Och, nie! — syknął niespokojnie Subotai. — Nawet nie przypuszczasz, jak długo zdycha taka gadzina. W przedśmiertnych drgawkach mogłaby skruszyć cię na miazgę.

— Zatem — warknął Conan — musimy zabrać klejnot bez budzenia tego bydlaka. Trzymaj!

Poruszając się najciszej jak potrafił, Conan ściągnął przez głowę pas i podał miecz w pochwie przyjacielowi. Potem pochylił się nad łuskowatym strażnikiem w kierunku ściętej kolumny. Za moment jedynie szerokość dłoni dzieliła go od nabrzmiątych zwoi węża. Conan wyciągnął rękę, jednak rubinowy klejnot niczym zakazany owoc był wciąż poza jego zasięgiem.

Conan cofnął się, marszcząc brwi. Stwierdził, iż gdyby padł do przodu, piersiami opierając się o kolumnę, mógłby schwycić klejnot nie dotykając leżącej pod nią kreatury. Jeżeli jednak mu się nie uda, chwilę później będzie martwy. Nabrał powietrza w płuca, usztywnił plecy, i stojąc na palcach, pochylił się, aż wyciągnięte ręce złapały skraj ołtarza.

Oparł pewnie prawą dłoń, wyciągnął lewą i wyszarpnął klejnot z rzeźbionej podstawy. Kamień był zimny jak lód, lecz Conan nie zważając na to wrzucił go za tunikę. Próbował odzyskać równowagę, gdy jego uwagę przyciągnął inny przedmiot leżący na ołtarzu.

Obok podstawki klejnotu znajdowała się wnęka, a w niej spoczywał niewielki medalion z brązu. Jego wzór mimo słabego światła przebudził w umyśle barbarzyńcy ponure wspomnienia. Widok dwóch wijących się węży ze splecionymi ogonami przywołał ów straszliwy poranek, kiedy na zasypaną śniegiem wioskę napadli Vanirowie ze swymi bezlitosnymi psami. Przypomniawszy sobie błysk miecza Dooma — miecza jego ojca, i odciętą głowę matki...

Młodzieniec, krzywiąc twarz z gniewu i bólu, chwycił medalion w zęby i odbił się od ołtarza. Odwrócił się i ruszył do niskiego wyjścia, gdy na twarzy Hyrkańczyka pojawiło się przerażenie.

— Za tobą! — zakrakał Subotai. Jego krtań musiała być na wpół sparaliżowana ze strachu.

Conan zawirował i zobaczył unoszącego się węża. Trójkątny łeb, wielki jak u konia, był już na wysokości głowy mężczyzny. Oślinione szczęki otworzyły się na całą szerokość, odsłaniając rzędy ostrych niczym noże kłów.

Conan wyrwał sztylet i gdy głowa węża opadła ku niemu, uderzył z szybkością wytrawnego zabójcy. Ostrze sztyletu przebiło dolną szczękę węża i wbiło się w podniebienie gada, spinając potworną paszczę.

Zraniony wąż z sykiem owinał się wokół człowieka, unieruchamiając jedno ramię Conana. Potrząsając łbem, wyrwał rękojeść sztyletu z dłoni Cymmerianina. Bezskutecznie walczący o uwolnienie się z mocarnych zwojów, Conan zatoczył się na ścianę komnaty. Wąż owinał go drugim zwojem.

Twarc barbarzyńcy spurpurowiała, gdy nieustępliwe cielsko wycisnęło mu z płuc resztki powietrza. Wolnym ramieniem Conan próbował chwycić głowę węża i uderzyć nią o ścianę, jednak gad był tak wielki i silny, że wysiłki człowieka nie dały żadnych efektów.

Śmiertelnie przerażony Subotai biegał dookoła, usiłując strzelić do węża tak, by nie zranić przyjaciela. W końcu napiął łuk i zwolnił cięciwę. Pocisk wbił się po brzechwę w łuskowaty kark, jednak zdawało się, że gad niczego nie poczuł. Owinał się teraz wokół nóg Conana, niemalże przewracając go na ziemię.

Desperackim wysiłkiem Cymmerianin pchnął łeb węża na ścianę, tak że czubek sztyletu, który wystawał z jego czaszki, wbił się w hebanową boazerię.

W tym czasie Subotai wystrzelił drugą i trzecią strzałę. Pociski przeszły kark węża i utknęły w twardym drewnie, unieruchamiając go. Potwór zaczął się szamotać i mimowolnie rozluźnił zwoje. Cymmerianin wyrwał się i uskoczył w bok.

— Conanie, łap! — syknął Subotai, rzucając mu miecz rękojeścią do przodu. Conan chwycił broń i obrócił się w tej samej chwili, w której wąż wyrwał ze ściany groty strzał. Gdy gad rzucił się na Cymmerianina, ten uniósł miecz oburącz i ciął potężnie, odrąbując mu głowę.

— Uważaj! — zawołał Subotai. Bezgłowe cielsko uderzyło jak gigantyczny bicz, przewalając Conana i trafiając Hyrkańczyka, który wyleciał w powietrze i wpadł na pusty ołtarz. Stopniowo, wraz z krwią wypływającą z gada, ustały jego śmiertelne drgawki. Poobijani awanturnicy zebrali swe porozrzucane rzeczy i cofnęli się do komnaty ze stosem zwłok.

Ceremonia w sali ponad nimi zbliżała się do końca. Czarny kapłan, Yaro wyrzucił w górę ramiona. Na ten gest zahipnotyzowana dziewczyna stojąca nad stertą trupów pochyliła się i rzuciła w dół.

Szmer niepokoju wypełnił mroczną komnatę, gdy nikt nie usłyszał spodziewanego, głuchego łomotu padającego ciała ani krzyku umierającej ofiary. Yaro pochylił się, spoglądając w mroczną głębię. Zamiast ciała dziewczyny ze złamanym kręgosłupem zobaczył, że nietknięta ofiara spoczywa w ramionach olbrzyma, który złapał ją w locie.

— Nasz bóg jest martwy! — krzyknęła przeraźliwie dziewczyna usiłując wydrapać oczy swojemu wybawcy.

Yaro zobaczył jeszcze, jak olbrzym odpycha niedoszłą ofiarę, podnosi zakrwawiony miecz i razem z niewielkim mężczyzną znika w ciemności.

Gdy Conan i Subotai dopadli schodów, pełną konsternacji ciszę przerwał ryk wściekłości i nienawiści. Wybiegając pomiędzy kolumny dostrzegli kilka postaci pochylających się nad potarganą kobietą. Valerii nigdzie nie było. Dziewczyna, leżąca na podłodze, miała krucze włosy, nie mogła więc być złodziejką.

— Do szybu! — krzyknął Subotai.

Rzucili się pędem w stronę kraty zamykającej wielką salę.

— Intruzi! — skowyczał za nimi Yaro. — Niewierni! Zabić ich!

Tłum rzucił się do przodu. Na czele gnał Yaro, dwóch łuczników o wygolonych głowach oraz umięśniony mężczyzna uzbrojony w topór. Conan i Subotai przecisnęli się przez kratę.

— Gdzież, do diabła, podziewa się ta dziewczucha? — warknął Conan.

— Hej, wy, chodźcie! — dobiegł nie wiadomo skąd znajomy głos. — Oślonię wasz odwrót!

— Idziemy! — odkrzyknął Subotai, stawiając stopę na najniższym szczeblu drabiny. Conan niechętnie schował miecz i podążył za przyjacielem.

Dwaj łucznicy dotarli do szybu. Przyklęknęli, nałożyli strzały i naciągnęli cięciwy.

Wtem jeden ze ścigających płynnym ruchem szabli przeciął napięte cięciwy. W chwilę później obaj łucznicy leżeli rozpostarci w kałuży krwi. Valeria w biegu zdarła z siebie skradzioną szatę i skoczyła do sznura.

— Łapcie ją!!! — zawył Yaro.

Uzbrojony w topór osilek dopadł uciekającej dziewczyny i zamachnął się swoją bronią. Złodziejka zrobiła błyskawiczny unik, a gdy siła bezwładu obróciła napastnika wokół osi, Valeria chwyciła szablę w zęby i zarzuciła sznur na gardło przeciwnika.

Zanim mężczyzna zdążył zerwać duszącą go pętlę, złodziejka zaciągnęła supeł i zepchnęła strażnika do otworu w podłodze. Kiedy ten runął w mroczną otchłań, Valeria złapała drugi koniec przeciągniętego przez bloczek sznura. Ciężar spadającego ciała uniósł Valerię poza zasięg ludzi Yaro, którzy wyjąc z wściekłości stłoczyli się na dnie szybu.

Wjeżdżając na górę, złodziejka minęła Conana i Subotai, którzy szczebel po szczeblu zmagali się z drabiną. Trzymając się oburącz liny i zaciskając szablę w zębach, dziewczyna roześmiała się chrapliwie.

Chwilę później mężczyźni dysząc z wysiłku stanęli na szczycie wieży i znaleźli Valerię ocierającą ostrze z krwi.

— I co, macie go? — zapytała.

Conan bez słowa wyciągnął skrzący się kamień zza tuniki i uniósł go w górę. Ich radość była krótka. Spłoszyły ją dochodzące z dołu głosy pogoni.

— Wspinają się po drabinie! — stwierdziła dziewczyna patrząc w dół szybu. — Wydaje mi się, że jest wśród nich jakaś bestia. Schowaj Oko Seta.

— Idźcie tędy — powiedział Conan, wskazując otwarte drzwi, przez które zaglądały gwiazdy. — Ja będę im ścinał głowy, jedną po drugiej, gdy zaczną tu wchodzić.

— Nie! — zaprotestowała Valeria. — Zejdziemy na dół, zanim przetną mój sznur. Ale musimy się pośpieszyć!

Wkrótce trzymając się liny zsuwali się po fasadzie wieży. Na szczęście zachodzący księżyc już nie ujawnił ich pośpiesznej ucieczki.

Zanim jednak Cymmerianin stanął bezpiecznie na ziemi, nad blankami pojawiła się wykrzywiona twarz, a nóż dzierzony w owłosionej dłoni zaczął piłować cienki sznur. Czując, że lina zaczyna pękać, Conan spojrział w dół na czarne lustro stawu. Rozluźnił się, mocno oparł obie nogi o ścianę wieży i odbił się w tym samym momencie, w którym sznur został przecięty. Obracając się w powietrzu jak spadający kot, z pluskiem wpadł do czarnej wody.

Valeria zaśmiała się na widok przemoczonego Conana, a jej śmiechowi odpowiedziały gniewne wrzaski licznych postaci na blankach.

— Głupcy! — krzyknęła. — Pomogli nam w ucieczce! Teraz nikt nie może zejść na tyle szybko, by przeszkodzić nam w opuszczeniu tej cuchnącej trupiarni.

Chichocząc, Subotai zwinął sznur i zarzucił go na ramię. Potem wraz z Conanem i Valerią przeszedł przez mur i wszyscy troje roztopili się w anonimowej ciemności ulic.

# VIII

## Misja

Ogień trzaskał w kamiennym palenisku obskurnej tawerny w złodziejskiej dzielnicy Shadizar. Gryzący dym, snujący się niczym leniwy kot pod poczerniałymi sadzą krokwiemi, nie zaciemniał purpurowych błysków światła załamywanego przez setki płaszczyzn i krawędzi Oka Seta. Trzy odziane w płaszcze postacie pochylały się nad klejnotem leżącym na dębowym stole, zasłaniając go swymi ciałami przed przypadkowymi spojrzeniami obcych.

— Na Nergala, jaki piękny! — westchnął Subotai, gdy jego zachłanne oczy spoczęły na błyszczącym klejnocie.

— Tak — mruknęła przeciągle Valeria. Podniosła do ust puchar z winem, nie odrywając oczu od obiektu jej podziwu.

— Lepiej, żeby rzeczywiście był dużo wart — warknął Conan. — Niemal kosztował nas życie.

Subotai wykrzywił się boleśnie.

— Musisz budzić śpiące wspomnienia? — zapytał. — Niebezpieczeństwo, które minęło, najlepiej zapomnieć, jak mawiamy w Hyrkani. — Subotai westchnął i potrząsnął głową, by odpędzić przykre wspomnienia. Po chwili zmrużył oczy rozkoszując się cudownym klejnotem.

— Jest wart ryzyka — wymruczał. — Myślisz, Conanie, że dostaniemy za niego tyle, by kupić dwa księstwa w Aqilonii, dwa emiraty w Turanie lub parę graniczących ze sobą satrapii w Iranistanie? A ty, Valerio, co zamierzasz zrobić ze swoją częścią fortuny?

— Najpierw musimy znaleźć kogoś, kto kupi coś tak cennego — wymruczała złodziejka, rozglądając się czujnie. W tawernie tłoczyli się mężczyźni o czerwonych twarzach, ryczący ochryple pieśni i wybijający rytm kubkami o nieheblowane blaty stołów. Naga tancerka, której natarta oliwą skóra połyskiwała w świetle łuczyw, kołysała się w rytm tej barbarzyńskiej muzyki.

— Nie miałaś kłopotów z pozbyciem się klejnotów, które wydlubałaś z dachu wieży — zauważył mały złodziej, kiwając znacząco w kierunku sakiewki Valerii, wypchanej obecnie złotymi monetami z brodatym profilem króla Osrica. Dziewczyna przycisnęła miśzek do boku i nieufnie zmierzyła wzrokiem miejscowych wesołków, ladacznice, włóczęgów, rajfurów, najemników i żołnierzy.

— Ciszej, durniu, bo przyciągniesz uwagę! — szczerknęła, a jej źrenice zabłyśły niczym sztylety.

Subotai wzruszył ramionami. Obok przeciskał się chudy służący, który zbierał ze stołów puste dzbany. Hyrkańczyk trącił Conana w kolano i złapał chłopca za ramię.

— Znajdź nam dziewczyny, chłopcze, gładkie dziewczki z krągłymi biodrami i sterczącymi cymbkami. Zbadawszy granice świata, zamierzam teraz zbadać granice zmysłów. Długo na to czekałem. Zbyt długo!

Młokos łypnął okiem i pochylił się, by wyszeptać coś do ucha Hyrkańczyka. Conan i Valeria



wymienili długie spojrzenia.

— Zatem, przyjaciele — rzekł po chwili mały złodziej — wychodzę do domu niejakej ligi, na noc dobrze zasłużonej hulanki. A jakie są wasze plany?

— Mamy inne zamiary — rzekł burkliwie Conan. Subotai popatrzył na nich spod przymrużonych powiek.

— Więc to tak? Tak myślałem! Dobrze, cieszcie się sobą, moi przyjaciele. Ja teraz pożegnam was, życząc dobrej nocy. Każdy ma swoje słabostki. Ja mam zamiar pilnie przeciwiczyć swoje. Opuścę was, byście mogli popracować nad swoimi.

Gdy Hyrkańczyk wstał, chwiejnie gotując się do odejścia, Valeria złapała go za rękaw i podała mu część pieniędzy ze swej sakiewki.

— Bądź ostrożny, mały złodzieju! Pamiętaj: człowiek majątny ma wielu wesołych kompanów, ale tylko kilku prawdziwych przyjaciół.

Subotai zachnął się na te słowa.

— Nie dam się zabić — prychnął. — Mam oczy z tyłu głowy, jak to monstrum na szczycie wieży, Conanie! Poza tym zdobycie tego złota zbyt wiele mnie kosztowało, bym teraz wydawał je ku uciesze innych. Zamierzam je wydać wyłącznie na siebie!

Krzywonogi złodziej niedbale machnął ręką, przecisnął się przez tłum i wyszedł w noc. Błękitne oczy Conana, w których zapłonął teraz wulkaniczny żar, napotkały zadumane spojrzenie Valerii.

— Chodź, poszukamy wygodnego pokoju, dziewczyno.

Valeria uśmiechnęła się, wyczuwając siłę pożądania barbarzyńcy. Było ono równie wielkie jak jej własne. Przez długą chwilę gładziła zmysłowo wielki rubin, po czym zdecydowanym ruchem schowała go do woreczka na piersiach i wyszła z Conanem z gospody.

Kaleka wiedźma zabrała Conana i Valerię do oświetlonej świecami izby, patrząc na nich z bezzębnym uśmiechem. Conan rzucił jej małą monetę i jęzga nisko się kłaniając, umknęła z pokoju. Gdy złodziejka odpięła pas i zbroję, barbarzyńca ściągnął tunikę.

Valeria uklękła na łożu i przeciągnęła dłońmi po nagim ciele Conana.

— Powiedz mi... — wydyszała. — Jedną rzecz, tylko jedną.

Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam cię w mroku, poruszałeś się z taką zwinnością i siłą. Gdzie się tego nauczyłeś?

Conan dotknął jej piersi, po czym opuścił dłonie na jędrny brzuch i drżące biodra.

Valeria westchnęła gardłowo, prężąc się, gdy jego zachłanne ręce wędrowały po jej gładkiej skórze.

— Gdzie nauczyłeś poruszać się w ten sposób? — powtórzyła.

Przez chwilę Conan chłodno przyglądał się roznamiętnionej dziewczynie. Jego twarz była całkowicie niewzruszona, potem, unosząc włosy z karku, pokazał jej blizny po obroży, którą niegdyś nosił. Valeria przypadła do nich ustami. Po chwili, wijąc się w jego objęciach, odrzuciła do przodu długie włosy i pokazała mu identyczne znaki. Ona również walczyła na arenie... Potem świeca zamigotała i zgasła, a ciemność przesycały ciche okrzyki szczęścia.

Świt zastał kochanków w głównej izbie tawerny. Jedli śniadanie. Conan odciął kawał parującego mięsa z rożna i podał go Valerii na czubku noża. Dziewczyna rzuciła się na pieczeń z takim zapalem, że tłuszcz trysnął jej na policzki. Conan odciął większy kawał dla siebie i wgrzyzł się weń z apetytem.

*Mój król nigdy nie zapomniał tego czulego spotkania. Gdy spisywałem jego słowa, powiedział do mnie:*

*— Jeśli bogowie uprawiają miłość, to ich przeżycia nie mogą być doskonalsze. Żadna kobieta przed nią ani żadna po niej nie mogła dorównać Valerii. Ale wtedy jeszcze tego nie wiedziałem.*

Popijali mięso starym winem, schłodzonym w śniegu przyniesionym ze szczytów gór. Valeria, tyleż oszołomiona mocnym napojem, co miłością, pochyliła się na stołku i obserwowała jedzącego Conana, podziwiając mięśnie poruszające się pod skórą niczym muskulatura wspaniałego zwierzęcia.

On, ze swej strony, zachwycał się zmysłową urodą kobiety, siedzącej na tle płonących głowni, w niedbale zapiętym kaftanie, który odsłaniał jej szyję i ramiona. Wcześniej Conan znalazł maleńką dziurkę przechodzącą na wylot przez wielki klejnot i przeciągnął przezeń wąski rzemień. Dziewczyna nosiła teraz Oko Seta na szyi. Nieziemski ogień sypał iskrami na jej krągłe piersi, zdwajając ich piękno.

Subotai, który godzinę wcześniej został przyniesiony do gospody przez szczerzących radośnie zęby niewolników Ingi, ocknął się dopiero w południe, błagając o wodę i przyrzekając poprawę. Przed zachodem słońca trójka złodziei ponownie wyruszyła na poszukiwanie rozrywek... Ich zniszczone ubrania zostały zastąpione przez kaftany z miękkiej skóry. Surowe, żelazne ozdoby ustąpiły miejsca pierścieniom i naramiennikom z polerowanego brązu i srebra. Zniszczone ciżmy zamienili na porządne, wysokie buty. Conan dodatkowo wybrał dla nich sztylety i miecze z kramu mistrza kowalskiego.

Za te ubiory, broń oraz wieczorne hulanki płacili pieniędzmi, jakie uzyskali ze sprzedaży wydłubanych przez Valerię szlachetnych kamieni. Przewornie nie próbowali jeszcze upłynnić skradzionego węzowego kamienia. Wiedzieli, że szpiedzy Yaro z pewnością przeczesują bazyry Shadizar poszukując świętego talizmanu. Conan, Valeria i Subotai mieli nadzieję, że dopiero w Turanie lub Vendhii znajdą kupca dostatecznie bogatego, by zapłacił im za klejnot, i dostatecznie roztropnego, by nie zapytał o jego pochodzenie.

Trójkę kompanów wkrótce zmęczyło lenistwo. Zapaśnicy, tancerki i uczy — wszystko to staje się puste i wyprane z przyjemności, jeśli zabraknie w tym szczypty niebezpieczeństwa. Lecz mimo wszystko coś, co uwolniło ich od nudy, nadeszło zbyt szybko i zastało ich całkowicie nieprzygotowanych.

Pewnego wieczora, gdy mocno pijani kiwali się nad kubkami wina, Valerię wyrwał z odrętwienia błysk ostrza włóczni. Jej zduszony okrzyk poderwał pozostałych. Chwilę później ich stół otoczyli ponurzy żołnierze odziani w napierśniki z połączanego brązu i błyszczące hełmy.

Conan natychmiast wytrzeźwiał i poderwał się z ławy. Myśląc, że to strażnicy ze świątyni węża, zaczął gotować się do morderczej walki. Ale nie. Żołnierze nosili na pancerzach znaki królestwa Zamory i z pewnością należeli do gwardii królewskiej.

— Czego chcecie? — mruknął Conan, patrząc podejrzliwie na strażników. — Pohulaliśmy trochę, prawda, ale to nie sprzeczne z królewskim prawem...

— Wstańcie i chodźcie z nami, cała trójka! — rozkazał oficer. — Na wszystkie pytania odpowie wam ten, który wysłał nas, byśmy was znaleźli. Nie stawiajcie oporu.

Subotai, wciąż jeszcze pogrążony w pijackim oszołomieniu, popatrzył przenikliwie na ostrza włóczni.

— Tak, żadnych kłopotów... — wymruczał z uśmiechem — nawet najmniejszych... — czepiając się stołu, stanął na niepewnych nogach.

Wszyscy troje poszli ze zbrojnymi, bo mimo ich zręczności wyciągnięcie mieczy byłoby samobójstwem. Conan być może miałby szansę w walce nawet przeciwko dwunastu, ale miłość do Valerii rozbroiła go. Nie chciał ryzykować, że stanie się jej coś złego.

Pod bezksiężycowym niebem przemierzali ciche ulice, o tej porze opuszczone nawet przez bandytów i ulicznice. W końcu dotarli do szerokiej alei, na końcu której, na tle rozgwieżdżonego nieba, wznosiły się strzeliste wieże królewskiego pałacu. Na rozkaz oficera brama stanęła otworem. Oddział żołnierzy poprowadził trójkę awanturników pod arkadami i wzdłuż wysypanych żwirem ścieżek, wijących się między trawnikami i marmurowymi fontannami, które wypełniały noc muzyką tryskającej wody.

Gdy dotarli do głównego portalu pałacu, Subotai, jako człowiek światowy, zaczął podziwiać architekturę. Pałac króla Zamory służył jako jedna z najbardziej egzotycznych budowli w krajach rdzennie hyboryjskich. Wzniesiono go z zysków z handlu z Dalekim Wschodem. Jednak kiedy minęli strażników stojących sztywno przed drzwiami, przenikliwe oczy Hyrkańczyka dostrzegły oznaki upadku; szczeliny w zaprawie i zawilgocenie murów. Trafnie domyślił się, że wszystkie bogactwa zamoryjskiego monarchy nie mogą zwalczyć rozpełzającej się, wewnętrznej zgnilizny — raka toczonego wnętrzości państwa w miarę jak podstępne macki kultu węża podkopywały odwagę i zdecydowanie Zamoryjczyków.

Conan, który nie miał umysłu filozofa, zerkał czujnie na prawo i lewo. Próbował zorientować się w tym labiryncie korytarzy i kręconych marmurowych schodów, na wypadek gdyby przyszło im wyrąbywać mieczami drogę ucieczki. Niewiele uwagi poświęcał rzeźbionym balustradom z kości słoniowej i alabastru, obwieszonym arrasami ścianom, obitym jedwabiem ławom i kunsztownie rzeźbionym uchwytem do pochodni, choć ich bogactwo przerastało jego najśmielsze wyobrażenia. Jednak w końcu także do niego dotarło to, że te wspaniałości są w nie najlepszym stanie. W gobelinach były rozdarcia, na kobiercach plamy, a pozłota złuszczała się z kosztownych mebli, tak jakby już dawno przestano o nie dbać.

Wielka, mroczna sala tronowa, mimo licznych rzeźb i ozdób, odbijała ich kroki niczym pusty grobowiec. Posadzkę pokrywała gruba warstwa kurzu. Gdy złodzieje i ich eskorta zbliżyli się do tronu Zamory, dostrzegli na nim zamyślonego człowieka, z brodą podpartą rękami. Jego oczy mówiły, że był to wojownik, który już dawno zatracił się w winie i gnuśności. Obok stał nieruchomy służący. Conan zauważył, że król Osric jest człowiekiem pozbawionym przede wszystkim nadziei. Wiek ciężko spoczął na jego zgarbionych ramionach, a pobrużdżona twarz świadczyła o życiu pełnym trosk i rozczarowań.

Żołnierz położył u stóp króla broń pojmanych i przyklękając na jedno kolano powiedział:

— Oto złodzieje, których chciałeś widzieć, panie.

Subotai i Valeria wiedząc, jak należy zachować się w przytomności majestatu, nisko pochylili głowy. Conan niewzruszenie patrzył w twarz monarchy.

Strażnik trącił barbarzyńcę w żebra i syknął:

— Ukłoń się, głupcze!

Conan zmrużył oczy i spojrzął na niego groźnie, lecz zdobył się na krótkie skinienie.

Monarcha patrzył na więźniów nieobecny wzrokiem, jego umysł również był nieobecny. W końcu ocknął się i strzelając palcami dał znać, że oficer może powstać. Żołnierz przerwał narastającą

ciszę, usiłując pobudzić królewską pamięć:

— To złodzieje, którzy okradli Wieżę Węża.

Osric drgnął gwałtownie i ochryłym, drżącym z emocji głosem wykrzyknął:

— Czy wiecie, coście zrobili, złodzieje?! Sprawiliście, że przyszedł do mnie Yaro, czarny kapłan, by straszyć mnie, nie, by grozić mnie, Osricowi, władcy Zamory! Co za buta! Ci kapłani Czarnego Węża wynoszą się już ponad monarchów świata! I to wy, troje złodziei, szumowiny z najgorszych rynsztoków, wyście do tego doprowadzili!

Conan zerknął zezem na swoich kompanów. Valeria nerwowo oblizywała usta. Oczy Subotai przeszywały mrok niczym ślepiea zapędzonego w pułapkę szczura, szukając drogi ucieczki. Barbarzyńca spał się, zbierając całą swą siłę. Nie mając broni nie łudził się co do wyniku walki, ale wolał drogo sprzedać życie, niż położyć głowę pod topór czy dać sobie zawiązać sznur na karku. Mógł zabrać z sobą w czarną otchłań jednego czy dwóch strażników.

Król w dalszym ciągu wpatrywał się w złodziei, ale teraz kąciki przysłoniętych wąsami ust podniosły się w uśmiechu. Odrzucając na bok aksamitny płaszcz, podniósł się i zawołał:

— Złodzieje, chwała wam! Wasz czyn jest godzien podziwu! — parsknął krótkim śmiechem. — Gdybyście widzieli twarz tego czarnego łajdaka! Wpadł w taką furję, że piana tryskała mu z ust! Był to najwspanialszy widok, jaki oglądałem od czasu mej nocy poślubnej!

Odwracając się do strażników dodał:

— Kapitanie Kobadesie, stołki dla mych złodziejskich przyjaciół. Ty możesz zostać, ale reszta niech się wynosi. I niech przyniosą trochę przedniego wina.

Służący podał im srebrne puchary i nalał świetnego czerwonego wina. Wszyscy stojący przed tronem Zamory wypili zdrowie króla, a Osric uniósł swój puchar razem z nimi. Subotai, oszołomiony nagłą zmianą losu, łapczywie przełknął swoją porcję. Valeria i Conan, bardziej przyzwyczajeni do pochlebstw po zwycięskich walkach gladiatorów, zareagowali z większym wdziękiem.

— Możecie usiąść — powiedział w końcu król, po czym zapatrzył się w swój kielich. Kiedy znów przemówił, jego słowa były chaotyczne, a głos drżący i słaby:

— Ten człowiek, Thulsa Doom... Już od dawna drażni mnie obecność tego półboga w moim biednym królestwie. Węże w mojej pięknej stolicy! Na zachodzie i południu. W Brythunii i w Koryntii, wszędzie węże! Wszędzie te Czarne Węże z kapłanami o czarnych sercach! Oni porywają nasze dzieci i zamieniają je w potwory, w gady takie same jak węże, które czczą. Nasza młodzież wznosi zatrute kły przeciwko swym rodzicom...

Osric rzucił kielich i ukrył twarz w dłoniach. Trójka złodziei popatrzyła po sobie, potem przenieśli spojrzenie na kapitana Kobadesa.

— Moim własnym gwardzistom brakuje śmiałości, by stanąć przeciwko nim — podjął król. — Moi najodważniejsi wojownicy wzbraniają się wypełniać rozkazy łamiąc przysięgę na wierność. Jedyne wy, zdawałoby się męty z rynsztoka, stawiliście czoło kapłanowi Yarze w jego własnym domu. Nikt inny, bo każdy, kto przeciwstawia się kapłanom węża, zostaje zamordowany. Śmierć w nocy... Widzieliście już coś takiego?

Na znak monarchy sługa podał mu cienki sztylet o brązowej rękojeści i ostrzu uformowanym na kształt węża. Kładąc go na wyciągniętej dłoni, król kontynuował:

— Oto kiel węża, wbity w serce mego ojca przez młodszego syna mego brata, który został opętany przez ich czary. I moja własna córka, perła królestwa, radość mej starości, również padła

ofiara czarów Thulsa Dooma. Odwróciła się ode mnie i od starych bogów. Czy teraz nosi taki sam sztylet, by wbić go w moje serce? Czy czeka mnie takie samo przeznaczenie?

Conan zachmurzył się na wspomnienie wyjątkowej urody młodej kobiety w palankinie. Barbarzyńca nie chciał wierzyć, by tak piękna dziewczyna mogła któregoś dnia zamordować własnego ojca, mimo iż była kapłanką boga-węża.

W nagłym porywie gniewu król Osric cisnął wężowy sztylet na marmurową posadzkę. Ostrze zadźwięczało przenikliwie.

— Każde pokolenie jest słabsze od poprzedniego. Dzisiejsi młodzi tarzają się w fałszywej religii węża. Pragną być niewolnikami i żebrakami zatopionymi w narkotycznym śnie. Za czasów mej młodości chłopcy pragnęli stać się herosami, nie pasożytami i skrytobójcami... — król spuścił oczy. Widać było, iż jest to tylko słaby, stary człowiek otoczony kłopotami, którym nie potrafił podolać.

— Doszło do tego, że muszę prosić złodziei, by uratowali moje królestwo!

— Co mielibyśmy zrobić, panie? — zapytała Valeria z niezwykłym dla niej współczuciem w głosie.

— Moja córka, moja mała Yasimina, towarzyszy mi wszędzie, gdziekolwiek się uda... to znaczy Yarze. Mówi, że szuka prawdy w głębi swojej duszy... Ci głupcy zapominają o starych mocach, o starych cnotach. Tarzają się w rozpuście jak wieprze w błocie i nazywają to religią! Właśnie w tej chwili moja córka jedzie na wschód, by spotkać człowieka zwanego Doomem w warownej siedzibie jego kultu. Idźcie do Góry Mocy i wykradnijcie moją córkę!

Król skinął, na ten znak służący wyniósł z cienia duży dzban i przechylił go. Na posadzkę u stóp złodziei rozlał się z grzechotem oślepiający potok klejnotów — rubinów, ametystów, topazów, szafirów i połyskujących diamentów... Drugi gest króla powstrzymał ten strumień. Valeria jęknęła, a w oczach Hyrkańczyka zabłyśło pożądanie. Jedyne Conan, podejrzewając pułapkę, nie spuszczał wzroku z króla.

— Śmiało, zbierajcie — zachęcił Osric. — To wasze. Możecie kupić broń i konie. Możecie wynająć wojowników, którzy będą walczyć u waszego boku. Jeżeli sprowadzicie Yasiminę, będziecie mogli wziąć wszystkie kamienie, jakie jeszcze pozostały w dzbanie. Pokaż im, Vardanesie!

Służący podniósł dzban, w który Subotai wepchnął palce i pomacał. Za moment szepnął do swych towarzyszy, że naczynie nie ma fałszywego dna i że pozostały w nim jeszcze tysiące kamieni. Wraz z Valerią zaczął zbierać klejnoty rozrzucone na posadzce i upychać je do sakwy.

Conan przez chwilę patrzył, jak jego przyjaciele chodzą na czworakach, potem marszcząc czoło zwrócił się do króla.

— Jak to jest, królu, że ty sam nie lękasz się zadanego w ciemności pchnięcia sztyletu czy trucizny w swym pucharze?

Osric uśmiechnął się gorzko.

— Przychodzi taki czas, mój przyjacielu, kiedy nawet dla królów klejnoty przestają błyszczeć, złoto blednie, a jedzenie i picie traci smak. Czas, kiedy sala tronowa, choć złocona, zmienia się w więzienny loch. Wtedy wszystkim, co pozostaje, jest ojcowska miłość do swoich dzieci. Ty... cóż ty możesz o tym wiedzieć? Jesteś zbyt młody, zbyt pełen życia. Kiedy zaś nadejdzie mój koniec, z ręki Dooma czy kogoś innego, nie będę miał wielkiego żalu, jeśli tylko moje dziecko będzie wolne od tej przeklętej wiary i zdolne służyć memu ludowi jako królowa. Conan skinął.

— Dobrze, królu Osricu, zabiję Dooma lub zginę, próbując to zrobić. Mam własne powody, by to uczynić. I jeśli tylko będę mógł wybawić twoją córkę, zrobię to na pewno.

— Zatem postanowione! — zawołał król, po czym zwrócił się do kapitana straży: — Wskaż moim gościom przygotowane dla nich komnaty. Zadbaj o ich wygodę. Żegnajcie!

Troje awanturników wyszło za kapitanem Kobadesem z mrocznej sali, pozostawiając w niej zagubionego w myślach Osrica.

# IX

## Droga

W dwa dni po audiencji u króla Osrica, trójka złodziei udała się na spoczynek zmęczona do szpiku kości. Musieli w wielkim pośpiechu przygotować żywność, bukłaki z winem i wodą, podróżne posłania i wiele innych potrzebnych rzeczy. Królewskie klejnoty zostały wymienione na monety ze złota, srebra i małe miedziaki. Pozostawała jeszcze sprawa koni.

Pewnego dnia rano Conan i Valeria towarzyszyli na końskim targu Subotai, który, jako człowiek znający się na rzeczy, wybierał wierzchowce i wyklócał się o cenę. Raz Conan zwrócił uwagę na żywego ogiera, który stawał dęba i wściekle toczył oczami.

— Ten jest dla mnie! — wykrzyknął.

— Jak myślisz; jak długo utrzymałbyś się na jego grzbiecie? Skoro nigdy nie dosiadałeś nawet kucyka, pozwól, że ja znajdę ci wierzchowca spokojnego i dość wielkiego, by nie zwałił się z nóg pod twym ciężarem.

Potem Conan całymi godzinami uczył się jeździć na flegmatycznym wałachu, którego wybrał dla niego Subotai. Dzięki wskazówkom przyjaciela nauczył się kierować nim, wprowadzać w kłus i galop, siodłać, czyścić i karmić. Raz wleczona po ziemi przez wiatr gałąź przestraszyła konia, który nieoczekiwanie ruszył cwałem i zrzucił swego jeźdźcę. Barbarzyńca, miotając przekleństwa, pozbierał się na nogi i ruszył w pogoń za zwierzęciem.

— Mówiłem ci, nie zapominaj o kolanach! — upomniał go Subotai. — Jeżeli to był najgorszy upadek w twoim życiu, to jesteś już szczęśliwszy niż większość ludzi. My Kerlaitowie mawiamy, że nikt nie zostanie jeźdźcą, dopóki siedem razy nie spadnie z konia.

Wieczorem, gdy Conan siedział w sypialni masując obolałe mięśnie, dwaj królewscy służący przytargali olbrzymią drewnianą balię. Inni przybyli z wiadrami parującej wody. Po ich wyjściu Valeria rozebrała się i ochoczo wskoczyła do balii.

— Chodź! Miejsca starczy dla nas obojga.

Conan potrząsnął głową.

— Gorąca kąpiel jest niezdrowa. Para szkodzi płucom.

— Bzdury! Biorę gorące kąpiele przez całe życie i popatrz na mnie! Poza tym nie pachniesz jak róża. Chodź, wyszoruję ci plecy.

Barbarzyńca nadal się wzdrygał.

— Może później, jak ty skończysz.

Dziewczyna usiadła w balii, szorując szczupłe nogi. Nagle przerwała i odwróciła się do Conana.

— Niech ognie piekielne pochłoną Dooma i księżniczkę, oboje! Ten człowiek jest zły. To czarnoksiężnik, który może wezwać demony z zaświatów, takie jak ten zabity przez ciebie na wieży.

A księżniczka? Dlaczego mamy ją ratować, skoro sama chce zginąć służąc Setowi? Niech posmakuje owoców swojej głupoty! Poza tym mówi się, że Góra Mocy jest nie do zdobycia. Zamieszkują ją tysiące wyznawców Dooma. Jakie mamy szansę przeciw tak wielu? — wstała. — Podaj mi ręcznik!

Wykapana i sucha położyła się na plecach w wielkim łożu, bawiąc się Okiem Seta. Potem z pobliskiego stolika wzięła garść klejnotów otrzymanych od króla i przesyłała je między palcami, tak że długą chwilę spadały kaskadą na jej sterczące piersi i płaski brzuch. Potem znów zaczęła mówić:

— Rozmawiałam z Subotai i on się zgadza. Bylibyśmy głupcami podejmując się tak niebezpiecznej misji. Weźmy to, co mamy, i uciekajmy, póki jeszcze żyjemy! Zapomnij o Doomie i jego głupiej księżniczce! To, co dał nam król, razem ze złotem, jakie dostaniemy po sprzedaniu Oka Seta, uczyni nas bogaczami. Będziemy mogli żyć jak szlachetnie urodzeni.

Conan usiadł na skraju łoża, tyłem do dziewczyny. Valeria przysunęła się do niego, rozrzucając klejnoty po pościeli. Pieszczotliwie przeciągnęła dłońmi po jego szerokich barkach, pocałowała go w kark i oplótła ręce wokół jego piersi, przytulając głowę do jego karku.

Conan jakby nie zwracał uwagi na poczynania Valerii. Siedział bez ruchu, wpatrując się w swą zaciśniętą pięść.

— Nigdy w życiu nie miałam tyle co teraz — mruzczała zmysłowo złodziejka. — Przez całe życie byłam sama. Często, gdy patrzyłam w otwartą paszczę śmierci, nikogo nie obchodziło, czy będę żyć, czy umrę. Czasem sama w zimnie i w ciemnościach zagładałam do chat i namiotów innych. Widziałam ciepłe ogniska, kobiety i mężczyzn siedzących obok siebie i dzieci bawiące się u ich stóp. A ja przechodziłam obok nich sama... — popatrzyła w twarz Conana, ale w jego oczach znalazła tylko mrok i smutek.

— Teraz mam ciebie — szepnęła. — Mam ciepło, namiętność i miłość. I jesteśmy bogaci. Nie musimy ryzykować, by zdobyć złoto. Usiądźmy w świetle lamp rozpędzających ciemność... Niech inni samotni wędrowcy patrzą i zazdroszczą nam...

Valeria wyciągnęła rękę, zebrała garść błyszczących kamieni i obsypała nimi nagą pierś Cymmerianina.

— Cieszmy się życiem!

Conan bez słowa potrząsnął głową. Potem powoli otworzył zaciśniętą pięść. Na jego dłoni spoczywał medalion z brązu, który zabrał z ołtarza boga-węża. Znak Dooma — dwa splecione węże, podtrzymujące czarne słońce...

Świt nieśmiało zakradł się do Shadizar, malując iglice królewskiego pałacu barwami róż i złota. Łagodne światło poranka wpadło do komnaty, w której spała Valeria, i przebudziło ją. Dziewczyna sennie odrzuciła jedwabną kołdrę i przeciągnęła nagie ciało. Potem wyciągnęła rękę, by dotknąć kochanka, jednakże obok niej nikt nie leżał. Conan zniknął.

Nagle całkowicie rozbudzona, Valeria wbiła wzrok w pustą pościel. Zamiast młodego barbarzyńcy zobaczyła jedynie garść skrzących się klejnotów. Była to jego część królewskiej zaliczki. Mimowolnie sięgnęła ręką do szyi. Oko Seta w dalszym ciągu spoczywało na jej piersiach. Rozejrzała się po komnacie. Rzeczy Conana zniknęły. Łza, która potoczyła się po jej policzku, została natychmiast wytarta. Gladiator nie płacze, zgaśniła się surowo.

Daleko na wschód od Shadizar samotny jeździec pokonywał górską przełęcz. W dole rozciągała się usiana kamieniami półpustynia — ziemia niczyja pomiędzy Zamorą a Turanem. Potężny



barbarzyńca odziany był w świetną kolczugę. Na głowie miał stalowy hełm, a przy boku miecz, zabrany z grobowca kościotrupa. Broń ta, teraz starannie wyczyszczona i naostrzona, tkwiła w kosztownej pochwie ze skóry krokodyla. Przed zimnym wiatrem wczesnej wiosny chronił Conana płaszcz z gęstego futra.

Wspominając przeszłość, młodzieniec potarł szorstką czarną brodę, która okryła jego pokrytą bliznami twarz. Togrul kazał swym gladiatorom golić zarost, żeby przeciwnik nie mógł ich złapać za brodę, a Conan już na wolności kontynuował ten zwyczaj. Teraz jednak, szykując się na spotkanie z Doomem, zaniechał tej praktyki.

Wspominał też ukochaną, z której ramion wysunął się ukradkiem. Wiele lat później powiedział swojemu skrybie:

*Wiedziałem, że Valeria nigdy by tego nie zrozumiała. Jej bogowie nie byli bogami Północy. Jechałem na wschód, ale skłaniałem głowę ku Cymmerii. Crom czekał na zemstę. Wiedziałeni, że moje życie zawisło na cienkiej nitce, ale nie mogłem postąpić inaczej.*

Niekiedy jechał wąskim szlakiem, po bokach którego rozpościerał się kobierzec dzikich kwiatów; czerwonych, niebieskich, białych i żółtych. Innym razem pochylał się w siodle, by osłonić twarz przed smagnięciami wichru, który niósł z gór deszcz ze śniegiem. Od czasu do czasu zatrzymywał się, by dać wałachowi, którego wybrał dlań Subotai, chwilę wytchnienia i możliwość poskubania trawy.

Ilekcio bał się, że może zbiec z drogi, wypytywał napotkanych ludzi; samotnego pasterza, wyniszczonego harówką chłopca w łachmanach, koczownika na skrzypiącym, wyładowanym dobytkiem wozie ciągniętym przez wychudzone woły. Wszyscy oni kierowali go dalej na wschód.

Jeden bezzębny wieśniak długo patrzył pustym wzrokiem na potężnego Cymmerianina. Dopiero gdy Conan pokazał mu symbol kultu węży, światło zrozumienia rozjaśniło tępą twarz i wieśniak powiedział:

— Wielu, głównie dzieci, idzie w tamtą stronę. — Machnął pomarszczoną dłonią i dodał: — Ale nikt nigdy nie wrócił.

Pewnego dnia Cymmerianin natknął się na szlak wydeptany przez niezliczone stopy. Pognał konia i przed zachodem słońca zobaczył szary pióropusz kurzu plamiący błękit nieba. Zbliżał się czujnie, nie spuszczać oka z chmury pyłu, aż w końcu rozpoznał jej źródło. Jak się spodziewał, była to długa procesja pielgrzymów, kierujących się do świątyni Seta, boga — węża. Zmęczeni drogą młodzieńcy i dziewczęta, przybrani w girlandy i wieńce dawno zwiędłych kwiatów, brnęli naprzód, uderzając w tamburyny i śpiewając monotonne pieśni.

Conan minął ich, bacznie przyglądając się kolumnie. Kilku wiernych zawołało za nim:

— Chodź, wojowniku! Przyłącz się do nas! Odrzuć swój miecz. Oddaj się czasowi i ziemi, jak my robimy! Chodź z nami do Góry Mocy!

Uśmiechając się ponuro, Conan potrząsnął głową i pogalopował dalej. Pomyślał, że będzie dość czasu, by oddać się ziemi, gdy nadejdzie śmierć.

Szlak piał się w górę do przełęczy między dwoma wygasłymi wulkanami. Za nimi, na równinie wznosił się kolejny stożkowaty szczyt. Jeszcze dalej Conan zobaczył roziskrzony, omywający

horyzont, błękitne wody morza Vilayet. Z wyżyn przełęczy barbarzyńca dostrzegł też drugą kolumnę pielgrzymów, na wpół zakrytych przez chmurę kurzu. Ich rytmiczny śpiew przypominał odległy szmer strumienia.

Conan zatrzymał się na przełęczy, by dać wytchnienie wierzchowcowi i uważniej przyjrzeć się okolicy okrytej bujną zielenią wiosennego listowia. Wzdłuż brzegów wielkiego, śródlądowego morza o milę na prawo od Góry Mocy, leżała skalista równina, na której wznosiły się jakieś dziwne pagórki. Porzucając trakt ubity stopami pielgrzymów, Conan ruszył w tamtą stronę. Kiedy znalazł się w pobliżu, rozpoznał w pagórkach grzebalne kurhany, w jakich starożytne ludy chowały swoich królów. Jeden z kurhanów wznosił się na wysokość kilku mężczyzn i miał średnicę równą połowie strzału z łuku. Wokół jego podstawy stał rząd pali, a na każdym widniały szczątki konia i jeźdźca. Wiatr i deszcze przemieniły je w szkielety przybrane jedynie w strzepy spłowiałego materiału i kawały rdzy.

Conan okrążył kopiec, czując ciarki na karku. Ogarnęło go niesamowite przecucie. Nie potrafił określić, od jak dawna ten upiorny oddział stoi na straży w tym ponurym miejscu, ale coś w jego barbarzyńskiej duszy kuliło się przed nieznanym.

Po drugiej stronie grupy kurhanów Cymmerianin natknął się na fragmenty murów i pokruszonych kamieni — resztek zrujnowanego przed wiekami miasta. Jechał wśród strzaskanych kolumn, powywracanych płyt, zwalonych ścian, zaspanych gruzem kanałów i studni, w których od wieków nie było wody. Zniszczenie wydawało się całkowite, a jego przyczyna wykraczała poza możliwości ludzkiego zrozumienia.

Raptem Conan stanął na widok prymitywnego szałas z tyczek okrytych skórą dzikich zwierząt. Przed wejściem przysłoniętym obszarpanym futrem płonęło małe ognisko. Morskie powietrze przesycił zapach pieczonego mięsa. Gdy Cymmerianin ściągnął wodze, gapiąc się na tę siedzibę, z jej wnętrza wylazł chudy, siwobrody starzec przyodziany w podarte i brudne szaty. Spojrzał niespokojnie na intruza.

— Bądź pozdrowiony, dziadku! — zawołał Conan, wznosząc pustą rękę, by pokazać, iż nie ma złych zamiarów. — Przychodzę w pokoju.

— I dobrze czynisz! — odparł starzec z żywością, która zadawała kłam jego wiekowi. Mimo pomarszczonej twarzy i łachmanów, mieszkaniec chaty wzbudził szacunek barbarzyńcy. — Wiedz, młody wojowniku, iż jestem czarnoksiężnikiem i że ta nekropolia jest domem kości potężnych królów oraz ich niespokojnych duchów. Ten, kto skrzywdzi mnie, będzie miał do czynienia ze straszliwymi siłami.

— Potrafisz wzywać demony, czarnoksiężniku? — w głosie barbarzyńcy zabrzmiała nuta wesołości.

— Tak, potrafię! Diabła gorszego od wszystkich innych w siedmiu piekłach! — przechwałka starca zakończyła się atakiem kaszlu.

— Jakież to szczęście, że możemy zostać przyjaciółmi — rzekł Conan. Rzucił starcowi srebrną monetę, którą ten złapał z godną uwagi zręcznością. — To zapłata za kilka dni gościny w twojej gospodzie.

O zachodzie słońca Conan bez hełmu i kolczugi siedział przed ogniem i jadł kawał pachnącego dymem mięsa przegryzając prząsnym chlebem. Pustelnik krzątał się wokół, nalewając gościowi piwo i gadając tak, jakby od lat nie miał okazji z nikim porozmawiać.

— Te grzebalne kopce stoją od czasów Tytanów, chłopcze — mówił. — Śpią w nich wielcy królowie, których królestwa połyskiwały niczym błyskawice na pochmurnym niebie.

— Jesteś zatem opiekunem tego cmentarzyska? — zapytał Conan.

Czarnoksiężnik roześmiał się.

— Nie, ale śpiewam tym, którzy tu leżą, kołysząc ich do snu... śpiewam stare opowieści o bitwach, bohaterach, bogactwie i kobietach.

— Z czego żyjesz, dobry magu?

— Okoliczni wieśniacy przynoszą mi mięso i chleb, a ja w zamian rzucam czary i przepowiadam im przyszłość. Nikt mi nie przeszkadza. Tutejsi ludzie znają moją moc i szanują mnie.

Conan skinął kudłatą głową w kierunku Góry Mocy.

— A oni?

— Ci opętani przez węża głupcy? Znają mnie również, ale uważają za obłąkanego i nie czynią mi krzywdy. Każdej wiosny człowiek zwany Doomem przychodzi tutaj, by złożyć ofiarę duchom moich śpiących królów. Sam widzisz... — machnął ręką w stronę kościotrupów na końskich szkieletach. Conan, niepewny czy kości należały do wojowników starożytnych władców, czy do ofiar Dooma, jadł w milczeniu przez pewien czas.

— Czy w tej okolicy rosną jakieś dzikie kwiaty? — zapytał w końcu.

Starcowi szczeka opadła ze zdziwienia.

— Kwiaty? Po co ci kwiaty, u licha...? — odzyskawszy równowagę, powiedział: — Tak, chyba znajdziesz parę. Miesiąc temu ta równina była nimi pokryta. Po co ci kwiaty? — powtórzył.

— Zobaczysz — rzekł Conan.

Następnego dnia rano Cymmerianin wyciągnął z sakwy białą szatę pielgrzyma. Ubrał się w nią i spędził godzinę krążąc po zrujnowanym mieście. Nazrywał kwiatów, które następnie zaczął splatać w wieniec. Stary czarownik patrzył na niego z odrazą.

— Co wiesz o tym Doomie? — zapytał barbarzyńca, nie zwracając uwagi na minę starca. — Uspokój się, nie jestem jednym z nich.

Czarownik odetchnął z ulgą.

— Istotnie, nie wyglądasz na pielgrzyma. Jeżeli jednak masz zamiar wejść do wnętrza góry w takim przebraniu, strzeż się. Ludzie Dooma są podejrzliwi i niebezpieczni. Poza tym nie możesz zabrać miecza. Dostrzegą go natychmiast, nawet pod tą szatą.

— Wobec tego będę musiał obejść się bez niego. — Conan sięgnął pod szatę, odpiął miecz i podał czarnoksiężnikowi, mówiąc: — Nie pozwól mu zardzewieć i znajdź paszę dla mego konia. Nagrodzę cię, gdy wrócę... o ile wrócę.

Nasadził sobie wieniec na głowę i pomaszerował w kierunku góry. Czarnoksiężnik, mruczając coś pod nosem, obserwował jego malejącą sylwetkę.

Droga, coraz bardziej stroma, pięła się zygzakami w górę zbocza Góry Mocy. Conan, idąc szybkim krokiem, przyłączył się do nierównej linii młodzieńców i dziewcząt. Ich rysy były wyostrome z głodu, twarze pokryte kurzem, a oczy puste i pozbawione wyrazu. Różnica między żwawym barbarzyńcą w świeżym odzieniu a zmęczoną, powłóczącą nogami i brudną gromadą była

tak ogromna, że Conan zaczął się obawiać, iż za bardzo rzuca się w oczy.

Wzdłuż krętej drogi stały dziewczęta w czystych szatach, które wykrzykiwały słowa otuchy, śpiewały i machały do pielgrzymów, zachęcając ich do dalszej wspinaczki. Na pierwszym zakręcie Conan zobaczył małą świątynię z białego marmuru, stojącą na fundamencie z czarnego obsydianu. Była to kaplica Dooma. Jej zewnętrzne ściany zdobił fryz pełen wijących się węzowych kształtów. W jej wnętrzu wszyscy wierni musieli przejść rytuał obmywania i oczyszczania.

Przy łukowatym wejściu jedna z kobiet wyciągnęła ku barbarzyńcy girlandę ze świeżych kwiatów, bowiem wieniec, który Conan splótł przed paru godzinami, był już zwiędły. Barbarzyńca skłonił głowę, by mogła założyć mu girlandę, i przygotował się do odejścia, ale ona powstrzymała go, unosząc dłoń. Zaniepokojony Cymmerianin dopiero po chwili zrozumiał, że to rytualne powitanie.

— Musisz oddać wszystko, co masz, pielgrzymie — zamruczała monotonie dziewczyna. — Musisz przejrzeć się w zwierciadle czystej wody i zobaczyć siebie takim, jakim nigdy się nie widziałeś.

Powtarzając odpowiedź, której udzielił poprzedzający go pielgrzym, Conan zaintonował:

— Pragnę zostać oczyszczony.

Dziewczyna nie zareagowała, a Conan zdał sobie sprawę, że ona go nie widzi. Odurzona jakimiś ziołami dziewczyna spiesznie wyrecytowała przepisowe słowa, pozbawiając je wszelkiego ciepła:

— Teraz jesteś wolny od niebezpieczeństw przeszłości. Wszyscy jesteśmy bezpieczni tu, w cieniu Góry Mocy. Pozbądź się lęku, bowiem droga, na którą wkroczyłeś, wiedzie do rajul

Conan burknął coś w odpowiedzi i pośpieszył dalej. Na następnym zakręcie przeszedł przez wąską rozpadlinę w skale i znalazł się w naturalnym amfiteatrze. Na skalistym podłożu wznosiły się namioty i prowizoryczne pawilony. Po drugiej stronie stali barczyści strażnicy, w zbrojach z czarnej, lakierowanej skóry. Za ich plecami krążyli czarno odziani kapłani Świątyni Węża.

Conan cofnął się instynktownie, a potem przybrał głupkowaty wyraz twarzy. Jedna z kapłanek, która zwróciła uwagę na jego zachowanie, zapytała:

— Co ci się stało?

Conan wskazał na strażników o twarzach przysłoniętych przyłbicami.

— Kim oni są?

— To nasi przyjaciele. Są tutaj, by nas bronić.

— Bronić? Przed czym?

Kapłanka odpowiedziała łagodnym tonem, jakby mówiła do dziecka:

— Najczęściej przed nami samymi. Często nie wiemy, co jest dla nas dobre. Zawsze targają nami wątpliwości i strach. Jesteśmy tak ślepi, że nie potrafimy rozpoznać drogi prawdy. Jedyne Mistrz może wprowadzić nasze stopy na ścieżkę wiodącą do rajul

Delikatnie ujęła jego łokieć i pociągnęła na koniec procesji, z którą przybył, i tam go zostawiła. Conan szedł dalej w grupie młodzieńców, których kilku kapłanów ustawiło niebawem w długim szeregu. Potem kapłani rozkazali im zrzucić odzienie. Po drugiej stronie amfiteatru uformowano podobną kolejkę kobiet.

Barbarzyńca stał przez chwilę niezdecydowany. Gdyby zdjął szatę, kapłani natychmiast zobaczyliby jego pas i sztylet. Gdy kolejka przesunęła się do przodu, Cymmerianin umknął między dwa namioty i tu natknął się na szczupłego kapłana w długiej szacie z kapturem.

— Dokąd to, bracie? — zapytał łagodnie ów człowiek.

— Ja... nie wiem — wyjąkał Cymmerianin. — Boję się...

— Boisz się obnażyć? Mój chłopcze, powinieneś być dumny z tak wspaniałego ciała. — Kapłan chciał go dotknąć, ale Conan cofnął się przed jego ręką. Kapłan, nie zrażony tym, kontynuował: — Jak możesz się spodziewać, że osiągniesz stan absolutu, mój synu, jeżeli wcześniej nie posiadasz pełnej wiedzy o swym ciele?

Conan wypatrzył szczelinę w skale, dobrze ukrytą przed wzrokiem postronnych.

— Czy możemy porozmawiać na osobności... Tam gdzie inni nie mogliby nas zobaczyć? — Conan wskazał na skalną niszę.

Kapłan z domyślnym uśmiechem ruszył we wskazanym kierunku mówiąc:

— My, kapłani, wiemy wiele o ludzkich ciałach i duszach. Nie trzeba się wstydzić...

Gdy znaleźli się w niszy, Conan odwrócił się.

— Powiedz mi — zaczął z udawaną niewinnością — czy ta szata jest waszym jedynym odzieniem?

— Tak, synu. To wszystko, co...

— To dobrze — mruknął barbarzyńca i grzmotnął łokciem w żebra kapłana. Suchemu trzaskowi kości towarzyszył zduszony jęk. Drugi cios byłego gladiatora przetrącił kapłanowi kark.

Wysoki mężczyzna w kapturze minął szybko nagich pielgrzymów i skierował się prosto do świątyni. Schodzący ze stopni sanktuarium kapłan spojrzał idącemu w oczy i nakreślił w powietrzu tajemniczy znak. Conan powtórzył go niezdarnie i zauważając zdumienie na twarzy drugiego, przyśpieszył kroku.

Minęło go dwóch następnych kapłanów, pogrążonych w namiętej dyspucie. Conan zobaczył, że obaj mieli na piersiach medaliony takie same jak ten, który zabrał z ołtarza w Wieży Węża. Sięgnął za pazuchę szaty zdjętej z zabitego kapłana, wyjął medalion i zawiesił go sobie na piersi. Świątynni strażnicy popatrzyli spod krzaczastych brwi na dziwnego kapłana, ale widząc medalion ze splecionymi wężami, stanęli na baczność i pozwolili mu przejść. Conan wszedł do wnętrza Góry Mocy.

# X

## Góra

Cymmerianin posuwał się zatłoczonym korytarzem wśród innych postaci, które podążały w jednym kierunku. Po pewnym czasie znalazł się na niewiarygodnie pięknym dziedzińcu. Był to ogród porośnięty egzotycznymi drzewami i kwiatami o wszystkich barwach tęczy. Kryształowa woda tryskająca z marmurowej fontanny wpadała do spokojnej sadzawki, którą otaczały alabastrowe ławki.

Za sadzawką zaczynały się ogromne schody wiodące ku portalowi świątyni. Portal zdobiony marmurowymi płaskorzeźbami prowadził do grotty wyciętej w litej skale. W tym sanktuarium Cymmerianin zobaczył stojące półkolem rzędy marmurowych ław.

Przed ławami znajdowało się podwyższenie, na które można było wejść po kilku stopniach. Nad całą komorą wznosiła się kopuła z kolorowego szkła, przez którą spływało światło skrzące się setkami barw i odcieni.

Na stopniach podwyższenia stały otulone w przejrzyste woale piękne kobiety, pełni czci pielgrzymi zaś siedzieli na ławach. Conan, poruszając się jak najciszej, przyłączył się do oczekujących. Upewniwszy się, że nie zagraża mu żadne niebezpieczeństwo, przyjrzał się stojącym u jego boku młodzieńcom i dziewczętom. Ich szaty ze lśniącego jedwabiu i opaski na czołach świadczyły, że stoją w hierarchii znacznie wyższej niż ci, którzy zgromadzili się przed Górą Mocy.

Pełne wdzięku młode kobiety wyniosły tace z zapalonymi świecami i zaczęły rozdawać je wiernym. Gdy wpadające przez kopułę światło przyćmił zachód słońca, smukłe płomyki zamigotały niczym gwiazdy na nocnym niebie i przemieniły młode twarze wyznawców Seta.

Pochłonięty tym widowiskiem Conan nie spostrzegł, że dwóch podobnych do małych strażników weszło za nim do wewnętrznej świątyni. Teraz, ukryci w głębokim cieniu za jego plecami, rozmawiali szeptem z wysokim czarnym kapłanem Yaro z Shadizar. Kilka dni temu Yaro przybył tu wraz ze swym orszakiem, by zawiadomić o kradzieży świętego talizmanu. Chciał, żeby wieść o złodzieju rozeszła się wśród wiernych we wszystkich krajach, w których czczono boga-węża. Przypadek zrządził, że strażnicy zaniepokojeni obecnością dziwnego kapłana zwrócili się właśnie do niego.

Wezwany do świątyni Yaro przyglądał się Cymmerianinowi zwięzonymi oczami. Tego, który skradł Oko Seta, widział ledwie przez chwilę — wtedy, gdy Conan i Subotai pięli się po drabinie na szczyt wieży — ale szerokie bary i grzywa grubych, czarnych włosów, ściętych na wysokości ramion, były nie do pomylenia.

Czarny kapłan odwrócił się, wymruczał coś do drugiej postaci ukrytej w mroku. Ta przesunęła się do przodu i okazało się, że jest to mężczyzna o posturze olbrzyma, odziany w czarne skóry i

zbroję z błękitnej stali. Na jego ryngrafie wiły się dwa splecione węże.

Rexor, bowiem to był on, postarzał się nieco od czasu napadu na wioskę i uprowadzenia Conana, jednakże zdawało się, że upływ czasu wzmocnił jego siłę i żywotność. Muskulary, które wężliły się pod skórą masywnych ud, nagich ramion i grubego karku, emanowały niewiarygodną siłą. Lata wyostrzyły mu rysy, a oczy stały się zimniejsze niż kiedykolwiek. Znamionujące okrucieństwo bruzdy wokół cienkich ust pogłębiły się znacznie. Żelazna szarość, która upstrzyła włosy na skroniach, zdawała się świadczyć, iż jest to człowiek ze stali.

Lodowate oczy zmierzyły siedzącego przed nim Cymmerianina. Rexor nie pamiętał dziecka porwanego znad ciała zamordowanej matki, ale nie miało to znaczenia. Każdy intruz w Świątyni Węża był wrogiem. Każdy, kto nie przeszedł inicjacji, a patrzył na tajemne obrzędy, był bluźniercą i świętokradcą. Karą za to była śmierć, powolna i bolesna.

Uwagę Conan przyciągnęła procesja kapłanów, którzy ruszyli miarowym krokiem w kierunku podwyższenia. W rytm ich niskiego, gardłowego śpiewu oraz huku trąb i cymbałów, tańczyły nagie dziewczęta z wężami na piersiach. Grupa kapłanów niosła dymiące kadzidła, które napępiały powietrze słodką i silną wonią. Za nimi kroczył człowiek zwany Doomem.

Oczy Conana zamieniły się w gorejące szczeliny, gdy spojrzął na swego arcywroga. Nie zwracając uwagi na obrębioną futrem, wspaniałą szatę, która spływała z ramion Dooma na posadzkę, barbarzyński młodzieniec skoncentrował się na jego twarzy. Lata nie zmniejszyły zmysłowego uroku głęboko osadzonych oczu i szczupłych, ascetycznych rysów Dooma. Czas nie wymazał również uwodzicielskiego uśmiechu, którym powitał swych wyznawców i pogrążone w ekstazie tancerki, sypiące płatki róży pod jego stopy.

Po lewej stronie Dooma i o krok z tyłu szła kobieta o urodzie zapierającej dech w piersiach. Szła powoli, z powagą, odziana w szatę cienką jak pajęczyna, podkreślającą zmysłowe kształty jej złotawego ciała. W sennych oczach, którymi patrzyła na swego pana, płonął ukryty ogień. Conan stęknął rozpoznając w niej księżniczkę widzianą w palankinie na ulicy Shadizar. Była to Yasimina, zbiegła córka króla Osrica.

Księżniczka uklękła pokornie, Doom zaś przesunął się do przodu. Wzniósł ręce w majestatycznym geście, a potem opuścił je gwałtownie. W jednej chwili śpiew umilkł. W grobowej ciszy dźwięczny głos Dooma zabrzmiał niczym głos dzwonu:

— Którzy spośród was boją się ciepłego uścisku śmierci? Kiedy ja, wasz ojciec, poproszę, czy oddacie za mnie swoje życie? Czy wrzycie prawdę w serca niewiernych, bez względu na to, czy będą to serca przyjaciół, ukochanych czy bliskich w waszym byłym życiu? — przerwał ciszę i zwrócił swe hipnotyzujące oczy na pogrążone w transie, wzniesione w ekstazie oblicza.

— Doom! — jęknęli wierni, kołyszac się w rytm jego słów. — Doom! Doom!

Doom dalej zadawał pytania:

— Czy założycie jedwabne pętle na gardła wrogów Seta? Czy w szerokim świecie pozostaniecie wierni prawdzie, ignorując pochlebstwa władców, sędziów i rodziców, którzy wychowali was w nieprawdzie? Czy złapiecie rękojeści sztyletów i rozlejecie krew niewiernych, dając im nieskończone błogosławieństwo wiecznego pokoju?

Magnetyczne oczy Dooma przeskakiwały z twarzy na twarz, nie pozwalając nikomu wyrwać się z transu. Potem zaczęła się litania:

— Nie będziesz czuł nic prócz radości, gdy niewierny ugnie się pod twym ostrzem, sznurem czy

cięciwą. Akceptując nieuniknione wypełnisz swój obowiązek, zadając cios w imię swego boga i pana, w imię Seta i Dooma. Będziesz wyrastał w miłości dla Mrocznego Mistrza i Wszechwiedzącego Węża, w którego zwojach leży życie wieczne i niewysłowione błogosławieństwo. Będziesz pamiętać, że zbliża się dzień Dooma, dzień Wielkiego Oczyszczenia.

Z każdym kolejnym słowem głos Dooma nabierał mocy. Mistrz zbliżył się do zebranych. Zebrani mimowolnie wykonali bezgłośny rozkaz przywódcy i ich nie widzące oczy zwróciły się na Conana. Barbarzyńskie instynkty przynaglały go do działania. Cymmerianin zebrał się w sobie...

— Wasi rodzice oszukali was. Wasi nauczyciele oszukali was. Głupi są ci, którzy próbują was oszukać!

Wbijając przepelnione nienawiścią oczy w Conana, Doom wyciągnął oskarżycielsko palec i zwrócił się do niego:

— Niewierny, zostałeś oszukany, próbując oszukać mnie. Umrzesz!

Cymmerianin zerwał się na równe nogi, błyskając obnażonymi zębami. W tej samej chwili na marmurowej posadzce za jego plecami zabrzmiały kroki. Zawirował. Jego ruch był szybki, ale nie dość. W pół obrotu ciężka maczuga spadła mu na głowę.

Cios był wymierzony w kark, ale pałka ześlizgnęła się po skroni. Chociaż śmierć go minęła, potężna siła cisnęła Conana w wir ciemności, poza zasięg bólu. Nie poczuł miazdzących kopniaków, które posypały się na jego bezwładne ciało, gdy strażnicy rzucili się nań z zajadłością dzikich psów. Buty obijały mu żebra i brzuch, a bezlitosne pałki wznosiły się i opadały na twarz, tors i bezradne kończyny. Ale on tego nie czuł.

Świadomość wracała niechętnie, niczym leniwy chłopiec zmierzający w kierunku szkoły. Wszędzie mięśnie bolały tak, jakby każdy skrawek ciała był siniakiem. Conan uchylił powieki, zobaczył słońce i niejasno zdał sobie sprawę, że nastął nowy dzień. Zaciskając zęby wykonał nieznaczące ruchy rękami i nogami. Nieledwie ze zdziwieniem odkrył, że kości ma całe. Chociaż pobito go umiejętnie, nie został okaleczony ani okulawiony.

W końcu ośmielił się otworzyć opuchnięte oczy. Wszystko widział przez taką mgłę, że w pierwszej chwili rzeźbioną fontannę, wyrzucającą tęczowe strugi krystalicznej wody, uznał za sen. Ale potem zobaczył ścieżki wijące się wśród kwietników z żonkilami, tulipanami i wszystkimi rodzajami kwiatów, których barwy mogłyby zawstydzić paletę malarza. Poznał, że leży w ogrodzie otoczonym wysokim murem, nieco ciemniejszym od ścian wznoszącej się za nim świątyni — Góry Mocy, warowni Dooma.

Z najwyższym wysiłkiem Cymmerianin podniósł głowę o piędź nad chodnik, na którym leżał. Zobaczył, że w ogrodzie znajdują się młodzieńcy i dziewczęta. Niektórzy leżeli na szczycie muru, inni spacerowali wśród krzewów i kwiatów. Jeszcze inni siedzieli przy fontannie u stóp wielkiego mężczyzny jedzącego dojrzale jabłko. Conan wstrząsnął się, gdy poznał Rexora, prawą rękę Dooma.

Zaraz potem Cymmerianina ogarnęła fala mdłości. Zmusił się, by wstać na kolana. Świat wirował wokół niego. Zwymiotował. Gdy spróbował stanąć, szczęk łańcuchów oznajmił, że został skuty — jak wówczas, gdy był niewolnikiem przy kieracie czy gladiatorem. Od obręczy na rękach i nogach odchodziły grube łańcuchy, przymocowane do brązowych pierścieni osadzonych w płytach chodnika.

Drżąc z osłabienia i pokonany przez rozpacz, Cymmerianin osunął się na ziemię i legł we własnych wymiocinach. Para młodych wyznawców zatrzymała się, by popatrzeć z niesmakiem na



skuloną postać. Inni przechodzili obok, odwracając obojętne oczy. Conan usłyszał śmiech dobiegający jakby z wielkiej odległości.

Nie wiedział, jak długo tak leżał, ale w końcu zbliżył się doń Rexor, który wycedził:

— Mistrz chce z tobą mówić, a ty, brudny jak świnia, nie jesteś godzien przed nim stanąć — mówiąc te słowa schylił się, by otworzyć kajdany. Później wyprostował się i zaciągnął półprzytomnego więźnia do fontanny. Lodowata woda otrzeźwiła zbitego młodzieńca na tyle, że na rozkaz Rexora zdołał wyczołgać się z basenu i opaść na marmurową ławę.

Chwilę później zasyczał mu w uszach głos Dooma. Cymmerianin podniósł głowę i zobaczył kołyszącą się przed oczami węzowy medalion.

— Skąd to masz? — zapytał dźwięcznie Doom. — Czy to ty ukradłeś go z mego domu w Shadizar? I co się stało z Okiem Seta? Czy wiesz, kto je zabrał? Powiesz prawdę, a nie spotka cię krzywda. Odmówisz, a ból, wyszukany i wspaniały, poniesie twą duszę w nieskończoną ekstazę śmierci.

Conan wypluł grudę zakrzepłej krwi, potem zacisnął zęby i spojrzał w milczeniu na swego wroga. Doom mierzył go wzrokiem, jego niesamowite oczy wwierały się w duszę barbarzyńcy. W końcu Doom westchnął, potrząsnął głową i schował talizman. Następnie odwrócił się do Rexora.

— Jego umysł mówi mi, że dał ten wielki klejnot jakiejś kobiecie. Za kilka chwil rozkoszy, nie dbając, że Oko zawiera klucz do władzy nad światem. Taka strata! Takie zwierzęta niczego nie rozumieją. Nie mają za grosz poczucia konsekwencji swych poczynań.

Głos Rexora zgrubiał od tłumionej złości:

— Zabiję go dla ciebie, Mistrzu.

Doom potrząsnął głową, potem odwrócił się plecami do Conana. Głosem wypranym z wszelkich uczuć rzekł:

— Włamałeś się do domu mego boga, ukradłeś moją własność, wymordowałeś moje sługi i zabiłeś mego ulubieńca. Zakłóciłeś rytuał mający wielką wagę dla moich wyznawców. Lecz nie to boli mnie najbardziej — spazm jakiejś dziwnej emocji wykrzywił ciemną twarz Dooma i światło nie dającego się nazwać smutku błysnęło w głębi jego płonących oczu.

— Zabiłeś wielkiego węża na moim ołtarzu. Yaro i ja jesteśmy nieutuleni w żalu, bowiem sami wyhodowaliśmy go z jaja. Dlaczego? Dlaczego ukradłeś moją własność i zabiłeś tak cenne zwierzę? Dlaczego pogwałciłeś świętość mej świątyni i zakłóciłeś ceremonię, której twój prymitywny umysł nie potrafi ogarnąć? Dlaczego wdarłeś się do mojej warowni i zabrałeś życie kapłana, którego zwałem bratem?

— Gdyby Crom nagroził mnie kilkoma chwilami więcej, twoje życie też bym zabrał! — warknął Conan.

— Skąd tyle nienawiści?

— Zamordowałeś mego ojca i moją matkę. Wyciąłeś mój lud — mruknął barbarzyńca. — Ukradłeś miecz mego ojca wykuty z hartowanej stali...

— Ach, stal... — Doom skinął głową i pogrążył się w zadumie. — Wiele lat temu przetrząsałem świat w poszukiwaniu stali, bowiem sekret stali uważałem wówczas za cenniejszy od złota i szlachetnych kamieni. Tak, byłem opętany tajemnicą stali.

— Zagadką stali — mruknął Conan wspominając słowa ojca.

— Tak. Znasz tę zagadkę? — głos mesjasza Seta był kuszący i sugestywny, ale jednocześnie zimny, hipnotyzujący i przesycony fałszem. — W owe dni uważałem, że stal jest najmocniejszą

rzeczą na świecie, silniejszą nawet od ludzkiego ciała i ducha. Ale myliłem się, chłopcze! Nie miałem racji. Dusza mężczyzny czy kobiety może rządzić wszystkim, nawet stalą! Patrz, chłopcze... — wskazał na szczyt ogrodowego muru, gdzie śliczna, złotowłosa dziewczyna stała z przystojnym młodzieńcem, trzymając go za rękę.

— Zaprawdę, czyż to nie piękne stworzenie? A ten wspaniały chłopiec obok jest jej kochankiem. Czy wiesz, co to znaczy kochać, barbarzyńco? Być naprawdę kochanym?

Conan wspomniał Valerię, z którą rozstał się z takim bólem. Jego usta zacisnęły się, a w głębi gardła narodził niski warkot.

— Może i tak — rzekł Doom z cieniem uśmiechu. — Może myślisz, że miłość podbija wszystko. Ale pokażę ci siłę potężniejszą od stali, a nawet miłości. Patrz teraz uważnie... — wbił wzrok w słodką twarzyczkę śmiejącej się na murze dziewczyny.

— Chodź do mnie, dziecko — wysyczał cicho. Dziewczęca twarz pokraśniała z radości. Przez chwilę dziewczyna chwiała się na krawędzi muru, potem, nie patrząc na stojącego obok młodzieńca, skoczyła i upadła z głuchym łomotem na płyty ogrodowego chodnika.

Conan odwrócił oczy od ciała leżącego bezwładnie niczym popsuta lalka. Doom wybuchnął triumfalnym śmiechem.

— Oto siła, chłopcze, oto moc! — zawołał. — To jest siła, w porównaniu z którą twardość stali czy zwinność ludzkiego ciała są niczym. Czym jest stal w porównaniu z ręką, która ją dzierży? A czym jest ręka bez rządzącego nią umysłu? Oto sekret siły!

Thulsa Doom przerwał i spojrzał na niewzruszoną twarz Conana. Spokój barbarzyńcy i ogrom jego posiniaczonego ciała irytująco zmniejszały autorytet mesjasza Seta. Była to niewypowiedziana obraza. Przez dłuższą chwilę Doom nie uczynił żadnej próby wywarcia wrażenia na krnąbrnym młodzieńcu, którego ciało było skute łańcuchami, ale dusza pozostawała wolna. Potem zmienił zdanie.

Wzniósł ręce i skinął na płaczącego chłopca, który stał nieruchomo, patrząc na ciało ukochanej. Okrutne usta Dooma skrzywiły się i fałszywy uśmiech rozjaśnił jego mroczne oblicze.

— Dołącz do niej w Raju, mój synu — wyszeptał.

Chłopiec bez wahania, poruszając się jak ktoś pogrążony we śnie, wyjął z pochwy wysadzany klejnotami sztylet i wbił ostrzem we własne serce. Słońce zalśniło na fontannie krwi, która trysnęła z rany, gdy chłopiec stał niczym statua na szczycie kamiennej ściany. Potem nagle zgiął się wpół i runął na ciało dziewczyny.

Doom odwrócił się do barbarzyńcy.

— Mam — uśmiechnął się — takich tysiące.

Conan patrzył na niego ponuro.

— Czym jest władza nad głupcami i ludźmi pozbawionymi woli? Widzę, że nigdy nie spotkałeś się z prawdziwym mężczyzną na równych warunkach i nie walczyłeś twarzą w twarz.

Ognie nienawiści rozjarzyły się w oczach Dooma. Coś zbliżonego do wstydu rozblęskło na chwilę i zgasło, zduszone prawie nadludzką siłą. Conan kontynuował:

— Wyciąłeś moich krewnych. Przykułeś mnie do Koła Bólu pod biczem Vanirów. Skazałeś na walkę na arenie i zastanawianie się każdego dnia, czy to mój ostatni...

Doom z dumą podniósł ciemną głowę.

— Tak! I zobacz, co z ciebie zrobiłem. Zobacz, jak takie życie zahartowało twoje ciało i duszę! Spójrz na siłę swojej woli, swą odwagę, swe postanowienie zabicia mnie dla zemsty. Podążałeś za

mną przez cały świat do mojej Góry Mocy, by pomścić zło, jakie według ciebie ci wyrządziłem. Lecz ja w rzeczywistości uczyniłem cię mistrzem, bohaterem, istnym półbogiem. A teraz ten mój dar, tę siłę, odwagę i wolę, które dałem ci przez ból i cierpienie, ty chcesz zmarnować na zwykłą zemstę? Taka strata! Taka szkoda!

Doom, pozornie rozzalony, przygryzł dolną wargę.

— Raczę łaskawie dać ci ostatnią szansę zyskania życia i wolności. Odpowiedz na dwa pytania: Skąd masz medalion ze splecionymi węzami? I gdzie jest Oko Seta? Mów!

Conan w milczeniu potrząsnął głową.

— Dobrze — rzekł Doom. — Będziesz kontemplował owoce swego uporu na Drzewie Wroga!  
— odwrócił się szybko i ruszył do bramy ogrodu.

Rexor zaś wrócił, żeby zająć się więźniem. Thulsa Doom stanął w bramie i obejrzał się na swego pomocnika.

— Ukrzyżuj go — rzucił niedbale niskim, melodyjnym głosem.

# XI

## Drzewo

Czerwone słońce patrzyło z wysoka na pustynię, białą jak świeżo spadły śnieg i rozciągającą się we wszystkich kierunkach. Nad ziemią fale gorąca płasły niczym tańczące duchy. Znad jałowej ziemi unosił się obcy, metaliczny zapach.

Na tym surowym pustkowiu sterczało Drzewo Wroga — poskręcany, czarny dziwoląg, drący niebo bezlistnymi gałęziami. Niegdyś zapewne było to drzewo rzucające litościwy cień ludziom i zwierzętom, lecz teraz był to już tylko wyschnięty szkielet, symbol zła.

Wysoko na czarnym pniu wisiał Conan Barbarzyńca. Jego nagie ciało okrywał kredowy pył i zaschnięta krew. W tej spieczonej skorupie ryły sobie drogę maleńkie strumyczki potu. Splątane włosy opadły na poranioną twarz — spękaną, spaloną maskę, w której żyły jedynie oczy. Były to złe, płonące oczy uchwyconego w pułapkę i umierającego drapieżnika.

Ciasno zaciągnięte sznury mocowały rozpostarte ramiona do dwóch konarów. Inne liny przyciskały nogi i biodra do szorstkiej kory pnia. Nie one jednak były najgorsze. Z przybitych do gałęzi dłoni wystawały kwadratowe łebki gwoździ.

Conan nie wiedział, ile godzin upłynęło od czasu, gdy strażnicy Dooma zadali mu tę torturę. Umysł miał otępiałły od bólu. Okresy świadomości stawały się coraz rzadsze i coraz krótsze. Pragnienie dręczyło go bez litości, a słońce paliło żywym ogniem. Jedynym urozmaiceniem agonii były sępy dryfujące leniwie na tle rozżarzonego nieba, których cienie przemykały czasami przez jego twarz. Czekające na śmierć i rozpoczęcie uczyt ścierwojady zdawały się jedynymi istotami na tym wapiennym płaskowyżu.

Pewien sęp przepłynął w pobliżu łopocząc skrzydłami i usadowił się na gałęzi nad głową Conana. Wyciągnął chudą szyję, by zerknąć na ukrzyżowanego, którego głowa opadła na szerokie piersi. Ptak przyjrzał się uważniej swemu posiłkowi, przechylając głowę i zerkając najpierw jednym, potem drugim okiem.

Conan trwał nieruchomo. Niedawno zdał sobie sprawę, że bez łyka wody śmierć dopadnie go przed zachodem słońca. A był tylko jeden płyn, który mógł wypić na tej spalonej słońcem równinie.

Sęp wzbił się w powietrze. Za moment zanurkował i zaatakował swoją ofiarę. Cień ptaka padł na twarz Cymmerianina. Ten nawet nie drgnął, gdy szpony wbiły się w jego piersi. Padlinożerca, młócąc skrzydłami powietrze, sięgnął zakrzywionym dziobem; by wyrwać oczy.

W tej chwili Conan poderwał głowę. Jego szczęki zatrzasnęły się niczym wilcze, a zęby zatoneły w chudej szyi ptaka i zdusiły skrzek bólu. Czarne skrzydła były po spalonej słońcem twarzy barbarzyńcy, pazury darły czerwoną skórę, ale Conan nie puszczał. Zatapiał zęby coraz głębiej w pomarszczone nagie ciało. Rozległ się trzask pękającej kości i skrzydła sępa obwisły. Nie

rozwierając szczęk, Conan ssał krew. Była ciepła i słona, ale mogła konkurować z pucharem najświetniejszego wina.

Nieco ożywiony Cymmerianin raz jeszcze podniósł głowę. Zobaczył, że słońce, teraz chylące się ku zachodowi, zalewa purpurą złowrogą równinę. Nagle coś w dali przyciągnęło uwagę barbarzyńcy. Pióropusz kurzu, czerwony w zachodzącym słońcu, czy też słup dymu? Cokolwiek to było, stawało się coraz większe.

Przez długi czas Conan nie mógł rozpoznać natury zbliżającego się zjawiska, które płynęło przez fale gorąca niczym pływak walczący ze wzburzonym morzem. W końcu ciemna plama przekształciła się w postać człowieka na koniu, jadącego lekkim truchtem. Nagle jeździec, dosiadający wierzchowca tak, jak mógł robić to jedynie rodowity Hyrkańczyk, zmusił wierzchowca do galopu. Mimo spękanych i spuchniętych ust, Conan uśmiechnął się szeroko.

— Na Erlika! Co oni ci zrobili?! — krzyknął Subotai, zeskakując z konia i przywiązując wodze do niższej gałęzi przeklętego drzewa. Conan chciał coś odpowiedzieć, ale gardło miał tak suche, że nie wydobył z siebie żadnego dźwięku.

Drżącymi rękami Subotai otworzył sakwę przy siodle i wyjął szczypce używane do wyciągania kamieni z końskich kopyt. Zatknął je za pas i wspiał się do Cymmerianina. Z szaleńczym pośpiechem zaczął wyciągać gwoździe. Dłonie Conana spuchły tak, że stały się dwa razy większe niż normalnie. Barbarzyńca zagryzał wargi, by zdusić jęk, Subotai zaś krzywił się i napręzał, dopóki nie poradził sobie z gwoździami. Wtedy rzucił szczypce na ziemię i przeciął najpierw liny krępujące nogi Conana, potem więzy mocujące ramiona.

— Zahacz łokciem o gałąź, jeśli możesz — poradził. — Chyba że chcesz spaść.

W końcu puścił ostatni sznur i Conan, podtrzymywany przez małego złodzieja, osunął się na ziemię. Oparty o pień drzewa w milczeniu znosił tortury, jakie zadawał mu Subotai, trąc posiniaczone i spalone słońcem kończyny, by przywrócić w nich krążenie. Na koniec Hyrkańczyk podał mu skórzany bukłak z wodą.

— Najpierw przepłucz usta i wypluj — powiedział. — Potem przełknij kilka małych łyków. Jeżeli wypijesz tyle, ile chcesz, rozchorujesz się albo i co gorszego. Widziałem, jak ludzie umierali w taki sposób.

— Wiem — stęknął Cymmerianin. — Masz coś do jedzenia?

— Pozwól, że najpierw rozpale ognisko, by sprowadzić Valerie. Szukaliśmy cię. Jasnowidz powiedział, że jesteś na południe od Góry Mocy, ale nie potrafił powiedzieć nic więcej.

Hyrkańczyk zebrał gałązki rozrzucone u stóp martwego drzewa, odłamał kilka większych i rozpalił ogień. Potem przeszukał okolice i wrócił z kilkoma kępkami trawy, które po wrzuceniu do ognia wytworzyły chmurę dymu. Następnie podniósł martwego sępa, kucnął i zaczął go skubać.

— Cóż ty, na Croma, wyprawiasz? — stęknął Conan.

— Skubię ptaka — odparł złodziejasek.

— Chyba nie masz zamiaru go upiec?!

— Dlaczego nie? Mięso to mięso, a obaj jesteśmy głodni.

Conan opanował mdłości i burknął:

— Jeżeli mam jeść, będziesz musiał mnie nakarmić. Moje ręce są bezużyteczne.

Subotai skinął i pochylił się nad ogniskiem. Wkrótce kawałki mięsa ścierwojada nadziane na zaostrome patyki tryskały tłuszczem w ogień. Po tym skromnym posiłku Conan westchnął.

Stopniowo, oparty plecami o pień Drzewa Wroga, zapadał w coraz głębszy sen...

Conan przebudził się wśród kurhanów nad brzegiem morza Vilayet. Pochylała się nad nim Valeria, przemywająca i opatrująca mu rany. Miał niejasne wspomnienie, a może był to sen, że jechał na koniu, a siedząca za nim dziewczyna podtrzymywała go za każdym razem, gdy zaczynał osuwać się z siodła.

Spojrzał na swoje ręce. Były sztywne, obrzmiałe i zaropiałe. Najmniejszy ruch sprawiał mu katusze.

— Już nigdy nie udźwigną miecza — mruknął. — Bodajbym umarł!

Potem świadomość znów go opuściła i rzeczywistość przestała istnieć. Nie mające końca godziny na Drzewie Wroga tak nadszarpnęły zapas pierwotnej witalności Cymmerianina, że ci, którzy się nim opiekowali, obawiali się, że może nie wyzdrowieć. Trawiła go gorączka, a jego chęć życia zniknęła.

— Żyje jeszcze? — zapytał stary szaman, podchodząc do szałas, w którym leżał umierający.

— Jeszcze tak — odparła dziewczyna. — Starcze, on nazwał cię czarownikiem. Czy znasz czary, które mogłyby mu pomóc? A może twoi bogowie są ci winni przysługę?

Szaman zmierzył ją wzrokiem. Biorąc jego milczenie za potwierdzenie, iż naprawdę posiada nadnaturalne moce, Valeria krzyknęła:

— Zatem odpraw obrzęd! Pchnij siłę w jego ręce, które muszą wzniesić miecz zemsty!

Starzec westchnął ciężko.

— Za taki czar trzeba zapłacić wysoką cenę. Zawsze tak jest. Duchy, które nawiedzają to święte miejsce i strzegą grobów królów, upomną się o zapłatę.

— Cena jest nieważna, zapłacę ją z radością! — zawołała Valeria. — Do dzieła, magu!

Wiatr jęczał, pochylone cienie skradały się wśród grobów. Ponad błyszczącą niczym żywe srebro powierzchnią morza Vilayet, olbrzymi księżyc ukazał swoją bladą twarz niespokojnego demona. Jego blask oświetlił jałową polać ziemi między dwoma wielkimi monumentami. W tym nieprzyjaznym miejscu stary szaman owiązał kończyny Conana pasami czarnego materiału i okrył bezwładne ciało żałobnym całunem. Kolejnym pasem owinał głowę barbarzyńcy, starannie zasłaniając posiniaczoną i spaloną słońcem twarz. Na tej opasce zręcznymi pociągnięciami pędzelka namalował szereg tajemniczych hieroglifów. Następnie czarownik wysłał Subotai nad brzeg morza, każąc Hyrkańczykowi przynieść dzban wody. Potem starzec przykucnął na małym dywaniku i pogrążył się w medytacji. Valeria, obserwująca każdy jego ruch, wyczuła, że starzec sięga głęboko we własną duszę, by dotknąć źródła wewnętrznej siły.

W końcu czarownik ocknął się z mistycznego transu. Ceremonialnie spryskał wodą ciało Conana, wymawiając szeptem potężne imiona. Zrobiwszy to, kazał Hyrkańczykowi przywiązać ręce i nogi Conana do czterech pali głęboko wbitych w ziemię.

— Po co to? — zapytała Valeria.

Szaman z ponurym wyrazem twarzy obserwował poczynania Subotai.

— W ciągu nocy — odpowiedział — duchy tego miejsca, rozgniewane moją magią, będą próbowały go zabrać. Jeżeli im się powiedzie... — znacząco zawiesił głos.

Valeria wyjęła sztylet i przekręciła jego ostrze tak, by załśniło w świetle księżyca.

— Jeżeli twoje duchy zabiorą go, starcze, ty sam wkrótce do niego dołączysz — w słowach dziewczyny zadźwięczała ostateczna desperacja.

Szaman tylko wzruszył ramionami, ale na jego ustach, których młodzieńczy kształt przeminał dawno temu, zadrżał przelotny uśmiech.

Noc ciągnęła się powoli. Wszyscy troje czuwali między starożytnymi grobami. Obojętny księżyc wspiął się wysoko na aksamitne niebo i podjął wędrówkę wśród gwiazd. Na południu wznosił się złowieszczy stożek Góry Mocy, czarny na tle usianego gwiazdami nieba. Nie śpiewał żaden świerszcz. Panowała kompletna cisza.

Nagle Valeria złapała Hyrkańczyka za rękę. Subotai, który zapadł w drzemkę, zaklął, bo paznokcie dziewczyny głęboko wbiły się w jego skórę. Potem on również spojrzął na Conana.

Olbrzymie, okryte całunem ciało Cymmerianina dźwignęło się, jakby ujęły go olbrzymie, niewidzialne dłonie. Liny napięły się i zajęczały, pale zaskrzypiały.

— Rozerwą go na części! — zawyła Valeria, gdy ciało Conana skrzyknęło się i szarpnęło tak gwałtownie, że jeden z pali został wyrwany z ziemi. Szaman nie odpowiedział, miast tego zaczął dziwną pieśń, która chwilami wznosiła się do przenikliwego krzyku. Rękami wykonywał zawile gesty.

Valeria zerwała się i rzuciła na ciało Conana, miotając przekleństwa. Gdy oszalała dziewczyna szamotała się z niewidzialnymi siłami, warcząc niczym lwica w obronie młodych, Subotai wyciągnął szablę. Skoczył i ciął puste powietrze nad nieprzytomnym Conanem i Valerią, która starała się ściągnąć barbarzyńcę na ziemię.

Ku zdumieniu dziewczyny, napięte ciało Conana opadło i legło bez ruchu. Nadleciał wiatr od morza i jakieś cieniste kształty, niesione na jego skrzydłach niczym strzępy mgły, odpłynęły w mrok.

— Odeszli — westchnął drżący szaman. — Mój czar ich pokonał — spojrzenie, jakim obrzucił Valerię, było pełne żalu.

Gdy poranne słońce wynurzyło się z fal oceanu, czarownik zdjął pogrzebowy całun okrywający ciało Conana. Subotai sapnął. Valeria podniosła ręce, by powstrzymać łzy wzbierające w zmęczonych oczach.

Olbrzymi Cymmerianin przebudził się, ziewnął i przeciągnął. Potem ze zdziwieniem obejrzał swoje ręce. Otarcia i siniaki, a nawet dziury w dłoniach zagoiły się. Szczercząc radośnie zęby, Conan podniósł ręce i obracając oglądał je z każdej strony. Rany od gwoździ zamieniły się w małe, czyste blizny. Spuchnięte palce wróciły do normalnych rozmiarów. Zaciskał i otwierał dłonie, by przekonać się, czy ma nad nimi władzę.

— Czarowniku, jestem twoim dłużnikiem — mruknął.

Starzec skinął rozpromieniony.

Valeria wyczerpana brakiem snu i niepokojem, zarzuciła ramiona na szyję Cymmerianina i całując go raz za razem, mówiła:

— Moja miłość jest silniejsza od śmierci. Ani bóstwa, ani demony z piekieł nie zdołają nas rozdzielić! Jeżeli umrę, a ty będziesz w niebezpieczeństwie, pamiętaj, że wrócę z otchłani, z każdego zakątka piekieł, by walczyć u twego boku...

Conan błysnął szerokim uśmiechem i przycisnął ją do siebie, namiętnie odwzajemniając pocałunek. Valeria cofnęła się i spoważniała.

— Obiecuj mi, że będziesz o tym pamiętał — zażądała. — Zawsze!

Uśmiechnąwszy się do zatroskanej dziewczyny, Conan pocałował ją znowu i powiedział:

— Nie martw się. Będę pamiętał.





## XII

# Rozpadlina

Gdy Conan i jego przyjaciele radowali się w chacie czarnoksiężnika, w odległym Shadizar noc też rozbrzmiewała śmiechem. W wielkiej pałacowej sali Osric, król Zamory, wydawał ucztę. Jego jasnowidze zawiadomili go, że Conan dotarł do Góry Mocy i spenetrował sekretne zakątki świątyni. Król czekał więc na zbliżający się dzień powrotu córki.

Jego zniszczone wiekiem ciało odziane było w szaty z połyskującego brokatu. Powykręcane palce zdobiły wspaniałe pierścienie. Siedział dumnie na tronie, sącząc wyborne wino z puchara z kutego złota. W wesołym blasku świec wysokich jak pięcioletnie dziecko i grubych jak udo mężczyzny, dworzanie w pysznych strojach spacerowali bądź gromadzili w pobliżu monarchy. U stóp Osrica na purpurowych i szkarłatnych poduszkach spoczywały niewolnice w luźnych tunikach z jasnej gazy, przypominając o minionych latach, zanim kult Seta zaraził kraj gorączką i nienawiścią.

Jednakże nawet tutaj, w samej sali tronowej, król nie czuł się bezpieczny przed zabójcami Dooma. Dlatego przy każdym portalu i każdym otwartym oknie stało dwóch strażników o ponurych twarzach.

Osric przerwał rozmyślania, gdy do jego tronu zbliżył się szambelan. Światła świec zamigotały na srebrnej buławie urzędnika.

— Panie — powiedział — pragnę zamienić z tobą słowo.

Król skinął, by szambelan podszedł bliżej.

— O co chodzi, Chorosie?

— Panie, on znów przyszedł; Yaro, czarny kapłan Dooma. Błaga o prywatną rozmowę z waszą wysokością w jakiejś szczególnie ważnej sprawie.

Król obnażył zęby w bezlitosnym uśmiechu.

— Błaga, mówisz. Nie żąda? Zatem każ temu psu wracać z powrotem do psiarni i pozwól mi radować się tak rzadką chwilą wesołości.

— Ależ panie — nalegał szambelan. — Yaro wyznał mi, że ta sprawa dotyczy córki waszej wysokości, księżniczki Yasiminy.

Oblicze króla poszarzało.

— Dobrze. Ale nakaż, by przeszukano go starannie. I nie przeoczcie pierścieni, brosz czy innych ozdób. Ci czciciele węża są przebiegli i zdradzieccy. W ich rękach najbardziej niewinny przedmiot może się stać śmiercionośną bronią.

Gdy szambelan skłonił się i odszedł, Osric skinął na kapitana straży.

— Każ opróżnić komnatę. Powiedz moim gościom, że sprawy stanu zmuszają mnie do tego. Nie chcę świadków, zostaw tylko Manesa i Bagorasa, mych najbardziej zaufanych strażników. Niech

każdy stanie za filarem, gotów na wypadek, gdyby ten czarny pies spróbował jakiejś zdradzieckiej sztuczki.

— Tak jest, panie — odparł słuźbiście kapitan.

— I gdy dworzanie odejdą, każ sługom wygasić największe świece. Ich blask razi mnie w oczy.

Kapitan skłonił się i oznajmił królewskie życzenie zgromadzonym. Wkrótce dworzanie, strażnicy i niewolnice kłaniając się opuścili komnatę. Pozostali jedynie dwaj najwierniejsi żołnierze. Gdy wygaszono świece, długie cienie rozpełzły się niczym węże po marmurowej posadzce.

Osrice zdrzął i oblizwał usta, ale wyprostował się, kryjąc niepokój za królewską godnością. Osuszył kielich i cisnął go w bok, zapominając, że sługa, który miał złapać naczynie, został wyproszony z komnaty. Niczym gong uderzony drewnianą pałką, puchar uderzył o marmur i z brzękiem potoczył się pod ścianę. Czarny kapłan wszedł do komnaty audiencyjnej cicho niczym duch i teraz wolnym, odmierzonym krokiem zbliżał się do tronu. Stanąwszy przed królem, skrzyżował ramiona na piersiach i schylił wygoloną głowę w niedbałym ukłonie. Osrice przyglądał mu się w milczeniu, ale w jego oczach widniał strach i nienawiść.

— Panie — zaczął kapłan.

— Tak? — fałszywa odwaga wzmocniła drżący głos monarchy. — Pragnąłeś zamienić ze mną kilka słów. Ważnych?

— Niezwykle, panie — odparł Yaro, przysuwając się o krok do tronu. — Mój pan, Thulsa Doom, prawdziwy wyznawca Seta Wiecznego, pragnąłby uczynić zaszczyt twemu domowi pojmując za żonę twoją córkę, księżniczkę Yasiminę.

— Zaszczyt mojemu domowi! — krzyknął rozzwierając Osrice. — Zaszczyt! Nadużywasz tego słowa i mej cierpliwości.

— Panie, małżeństwo jest zaszczytnym stanem...

— To potworne! Masz czelność przychodzić tutaj i mówić mi takie rzeczy? — król szarpnął za brodę drżącą ręką. — Twoja bezczelność przekracza wszelkie granice!

— Bezczelność nie zamierzona — powiedział beznamiętnie Yaro. — Zaszczyt, jaki Doom pragnie ci wyświadczyć, przekracza wszelką miarę. Życzeniem Wielkiego Mistrza jest, by Za — mora poprzez ten związek stała się prawym królestwem Seta i załącznikiem rozprzestrzeniającego się wiecznie imperium.

Osrice wstał dygocząc z furii.

— Dość! Dopóki jestem królem, nigdy nie usankcjonuję tego potwornego związku, piekielnego szyderstwa z małżeńskich więzów. Straż!

Dwaj zwaliści strażnicy wysunęli się zza marmurowych kolumn. Yaro spojrzał na nich i cichym, pozbawionym wyrazu głosem rzekł:

— Obiecałeś mi, że będziemy sami, królu Osrice.

Śmiech władcy zabrzmiał niczym szczekanie zachrypniętego psa.

— Myślisz, że zaufałbym takiej ludzkiej zmii? Nie dożyłbym swych lat, gdybym podsuwał bosą piętę pod kły pełzającego węża.

Yaro skłonił się z szyderczą uniżonością.

— O tak, mądry i potężny królu — potem, odwróciwszy się do dwójki zbrojnych, powiedział: — Gdybym poprosił was, czy zabilibyście tego niewiernego dla swego pana, Thulsa Dooma?

Strażnicy bez wahania dobyli miecze i zbliżyli się do króla, który stał chwiejnie przed tronem.

— Pomocy! Mordercy! — Osrice krzyczał na próżno. Słaby głos nie mógł przeniknąć przez ciężkie

odrzewia, szczelnie zamknięte na jego rozkaz.

Gdy dźwięk ciężkich ostrzy rąbiących ciało starego władcy przerwał szaleńcze okrzyki, Yaro odwrócił się i ruszył w mrok komnaty tronowej. Dwaj strażnicy wytarli miecze o płaszcz króla i podążyli za kapłanem.

Nad brzegiem morza Vilayet Conan, Valeria i Subotai cieszyli się gościnnością pustelnika. W ciągu kilku dni Cymmerianin w pełni odzyskał dawną siłę i chęć do życia. Obecnie przyjaciele zastanawiali się, w jaki sposób uratować Yasiminę. Na przeszkodzie stali nie tylko strażnicy, lecz przede wszystkim sama księżniczka, zafascynowana mesjaszem Seta.

Pewnego dnia o zmierzchu, gdy siedzieli wokół ognia w chacie sędziwego czarownika, Conan powiedział:

— Starzec wyznał, że Górę Mocy wypełnia rozległa sieć komór i korytarzy. Niektóre są naturalne, inne wydrążone przez tych, którzy zbudowali kryjówkę Dooma. Widziałem niektóre z nich, gdy byłem tam w przebraniu pielgrzyma.

— Próbowałeś wejść otwartymi drzwiami i niemal zginąłeś — powiedziała Valeria. — Jeżeli nie ośmielimy się zakraść do warowni, jak tam się dostaniemy?

— Istnieje sekretne wejście. Za górą strumień wyciął głęboki wąwóz. W jego zboczu znajduje się nie strzeżony otwór. Starzec twierdzi, iż tylko on o nim wie.

— Czy chodzi ci o to — wtrącił Subotai — że dobry złodziej mógłby wspiąć się, porwać dziewczynę i umknąć, nim ktokolwiek zauważy jej zniknięcie?

— Skąd czarnoksiężnik wie o tym wejściu? — zapytała podejrzliwie Valeria.

— Ten wiekowy mag całe życie przemieszkał w tych stronach — burknął Conan. — Chadzał górskimi korytarzami, zanim Doom przybył do tego kraju.

— Ciekawe, jakie piekło go wypluło! — dodał Subotai dłubiąc w zębach drzazgą.

— To samo, do którego go wtrącę! — w błękitnych oczach Cymmerianina rozgorzał wulkaniczny ogień, a jego prawa ręka zacisnęła się na rękojeści miecza.

Valeria spojrzała ostro na Conana. Niezdolna pojąć jego gniewu powiedziała:

— Przybyliśmy tutaj, by zwrócić Yasiminę jej ojcu i zdobyć królewską fortunę. Później będzie czas na osobiste porachunki. Gdy otrzymamy obiecany przez Osrica skarb, możemy wynająć zabójców lub nawet całą armię, by obiegła tę fortecę.

Subotai skinął na zgodę. Conan siedział w milczeniu, pieszcząc kciukiem głównię miecza. Valeria nie odezwała się więcej.

O świcie następnego dnia rozstali się z pustelnikiem. Chłodny wiatr plątał grzywy trzech koni i jasne włosy Valerii. Subotai zatrzymał się, by poprawić łuk i kołczan, a Conan podjechał do starca, który siedział nieruchomo na progu swej chaty.

Czarownik, pogrążony w modłach czy kontemplacji, pocierał jednym sękatym palcem o drugi, najwyraźniej nieświadom obecności Cymmerianina. Oczy pustelnika patrzyły w przestrzeń, nawet wtedy, gdy Conan przemówił:

— Życz nam powodzenia, starcze, bowiem dzisiaj nasze życie będzie zależało od woli obojętnych bogów.

Nie będąc pewnym, czyjego słowa zostały usłyszane, uniósł dłoń na pożegnanie i pogalopował, by dołączyć do towarzyszy. Mędrzec ze łzami spływającymi po pomarszczonych policzkach patrzył

za nimi, póki jeźdźców nie pochłonięła mgła powstająca nad morzem Vilayet.

Troje awanturników przecięło równinę i dotarło do podnóża Góry Mocy. Posuwali się ostrożnie, aby nie zauważyły ich czuwające wyżej strażę. Po pewnym czasie znaleźli się w pobliżu stoku, w którym górski strumień wyciął głęboką dolinę. Zasilany topniejącym śniegiem i wiosennymi deszczami potok dudnił i spadał spienionymi kaskadami ze zbocza góry tocząc głązy i żwir. Niekiedy zwalniał nieco w spokojnych sadzawkach wśród skalnych urwisk.

W miejscu gdzie jedynie karłowate drzewa czepiały się lichej gleby, jeźdźcy zsiadli z koni i przywiązali je do gałęzi. Subotai wyciągnął z sakw kilka przedmiotów, które zrobił z pomocą starego szamana. Były to worki z koziej skóry, uszczelnione na szwach smołą. W czasie gdy mężczyźni nadmuchiwali te groteskowe buły i zawiązywali ciasno ich wyloty, Valeria zmieszała w małej czarce trochę tłuszczu i sadzy, tworząc gęsty i lepki pigment. Wszyscy zdjęli zewnętrzny przyodziewek i wymalowali na ciałach poplątane wzory, przypominające tańczące cienie. Włosy ukryli pod czarnymi przepaskami, za które zatknęli gałązki, tak że wkrótce nieuważny obserwator mógł zobaczyć nie ludzi, lecz krzaki.

W szarym świetle pochmurnego popołudnia wartki strumień nie wyglądał zachęcająco, ale nie było innego sposobu przedostania się do warowni. Wszyscy troje przywiązali do pleców broń owiniętą w ciemne szmaty i chwytając nadmuchane skórzane worki, kolejno zsunęli się w lodowatą wodę.

Czasami płynąc, czasami brnąc wśród skał, przedzierali się do podnóża wodospadu. W miejscu gdzie spadająca z ogromną siłą woda wybiła w skałę głęboki dół, Conan schwycił kamienną iglicę i wspiał się na stromy brzeg. Po chwili z wody wydostali się Valeria i Subotai. Drżąc na zimnym wietrze, ruszyli w górę surowych stopni ukształtowanych przez wodę i wiatr.

Kłębiąca się obok nich kipiela ryczała niczym grzmot. Ponad nimi strome urwiska zdawały się pożerać blade światło dnia. Zatrzymali się na odpoczynek przy olbrzymim głazie, który stanowił doskonałą osłonę. Patrząc w górę, wysoko na potężnym urwisku zobaczyli czerwony blask obramowany przez wylot jaskini. Otwór był ledwie rozpadliną w skalnej ścianie, wysoką i wąską jak spiczaste zamkowe okno.

Nagle mimo grzmotu wodospadu usłyszeli powolny, równy rytm bębnow. Gdy wznowili wspinaczkę, niskie, odbijające się echem dudnienie przybierało na sile, stawało się natarczywe i niespokojne. Conan wyszeptał do idącej za nim dziewczyny:

— Brzmi tak, jakby ten diabeł Doom witał się ze śmiercią. Gdybym tylko mógł dostać go w swoje ręce...

Valeria poczuła, jak strach mrozi jej serce. Powiew lęku był dużo zimniejszy niż wiatr owiewający jej nagie plecy.

— Księżniczka, Conanie. Tylko księżniczka. Idziemy tylko po dziewczynę.

Cymmerianin skinął głową nie przerywając wspinaczki. Niczym cienie dotarli do wejścia jaskini i wcisnęli się do środka. Conan i Valeria bezszelestnie jak duchy zmarłych wcisnęli się w płytkie szczeliny w ścianach jaskini, Subotai zaś ruszył chyłkiem w kierunku światła.

Bębny umilkły. Ukryci w mroku awanturnicy usłyszeli kakofonię innych dźwięków: piski, które mogły być głosami wygłodzonych szczurów, powolne kapanie wody na kamienie i zawodzenie

wichru.

W końcu Subotai wrócił ze zwiadu i pomachał do nich gorączkowo. Ruszyli krok po kroku, starając się nie trącać kamyków, żeby nie zdradzić swej obecności.

— Słuchajcie! — warknął Conan, zatrzymując się nagle. — Bębny... — w jakiejś komorze leżącej ponad skalnym sklepieniem nad ich głowami rozległ się szaleńczy warkot bębnow i setki młodych głosów zaczęły żalobną pieśń. Pod osłoną tego zagłuszającego wszelkie dźwięki hałasu weszli do większej jaskini, w której znajdowało się źródło światła.

Przed nimi otworzył się widok rodem z samego piekła. Skaczące płomienie wielu ognisk malowały strop żółcią, czerwienią i pomarańczem. Blask tej niesamowitej iluminacji wypełnił rozciągającą się przed nimi jaskinię ujawniając jej ogrom. Była wielka jak wnętrze świątyni i tak jak w sanktuarium, jej kopulaste sklepienie podtrzymywały szeregi kolumn. Nie były one jednak dziełem rąk ludzkich, ale wynikiem wytrącania się wapienia z wody skapującej ze stropu przez niezliczone wieki. Przez chwilę cała trójka podziwiała ten cudowny widok, a ich zdumienie mieszało się ze strachem.

— Straż — syknął Subotai, dotykając ramienia Conana. W migocącym świetle ogni zobaczyli idące postacie zbrojnych. Na znak Conana wszyscy troje cofnęli się w cień. Tam ich wysmarowane na czarno ciała stały się niewidoczne. Przygotowali się do walki. Hyrkańczyk wyciągnął łuk z kołczanu i opierając jeden koniec o kamienne podłoże, zręcznie założył cięciwę. Conan wyjął miecz z owiniętej szmatami pochwy, a Valeria przygotowała szablę.

# XIII

## Jaskinia

Conan wyjrzał ostrożnie z kryjówki, zerkając na skaczące płomienie i krzepkich strażników w żelazie i skórach. Zaciął usta i znieruchomiał, jakby na coś czekając. Wyglądało na to, że nie ma innego sposobu na wejście do jaskini niż wdarcie się siłą.

Subotai miał nieszczęśliwy wyraz twarzy. Był doskonałym złodziejem, lecz walka wręcz nie należała do tych jego umiejętności, którymi mógł się poszczycić. W końcu wyszeptał:

— Czy musimy wdzierać się siłą, Cymmerianinie? Nie jestem tchórzem, Erlik świadkiem, ale atakowanie takiej gromady nie daje dużych nadziei. Może skradając się i omijając ich moglibyśmy osiągnąć cel nie tracąc czasu na potyczkę.

Valeria przytaknęła milcząco.

— Stoją plecami do nas, więc to może się udać — nalegał Subotai.

— Chyba naprawdę nie wiedzą nic o wejściu z wąwozu — mruknął Conan. — Stary mówił prawdę.

— Lepiej polegajmy na jego radach.

Conan warknął coś pod nosem. Młody Cymmerianin rwał się do walki. Krew wrzała mu w żyłach i pragnął odpłacić wrogom za wszelkie cierpienia. Jednakże rozumiał, że ujawniając swą obecność tak wcześnie, tracą przewagę, jaką dawało zaskoczenie.

Subotai, którego bystre oczy bez ustanku przepatrywały otoczenie, wyszeptał z podnieceniem:

— Patrzcie tam, na lewo! Widzicie te kolumny skupione przy ścianie jaskini? One zasłonią nas, ruszymy pod samą ścianą nie czyniąc hałasu.

— Przejście jest wąskie — sprzeciwiła się Valeria. — I w kilku miejscach sterczą ostre skały. Ty i ja zdołamy się przecisnąć, ale co z Conanem?

Conan wyszczerzył zęby.

— Mogę pozostawić na nich nieco skóry, jeżeli tak trzeba.

Prowadzeni przez Subotai ruszyli pod ścianą zasłonięci przez stalagmity, które wyrastały z podłoża niczym stępione zęby olbrzyma. Droga pod ścianą wiodła w górę, kiedy więc przystanęli, by wyrzeć przez szczelinę w skalnej zasłonie, zobaczyli grootę w całej okazałości.

Na środku stał ogromny kocioł podtrzymywany przez cztery masywne słupy z pocerniałego kamienia. Samo naczynie zawierało jakąś substancję, która z tej odległości przypominała barwą błoto. Kłęby dymu i płomienie z rykiem wyskakiwały z palenisk wyrąbanych w litej skale pod kadzią.

Wokół kotła uwijały się ogromne stwory, ni to ludzie, ni małpy, wrzucające kłody w ogień. Inni włochaci pracownicy zmagali się z jakimś urządzeniem, które mieszało parującą zawartość kadzi.

Wielkie kawały mięsa kotłowały się we wrzącym wywarze, podczas gdy rzeźnicy cięli inne, by dodać je do zupy. Z boku za kotłem rozciągała się sala wyglądająca na magazyn żywności.

Nagle trzech intruzi zeszywnieli i wytrzeszczyli oczy z niedowierzaniem. Z haków w ścianie spiżarni zwisały ludzkie ciała, oprawione jak ćwiartki wołowiny. Zwalone na stertę w kącie, zakrwawione długie białe szaty mówiły, że ofiary były niegdyś pielgrzymami do Góry Mocy, wyznawcami węzowego boga. Na oczach trójki awanturników dwaj podobni do zwierząt mieszkańcy jaskini porąbali jedno z ciał toporami i wrzucili kawałki do kotła. Valeria zbladła i ukryła twarz na ramieniu Conana. Cymmerianin zaklął pod nosem. Subotai zwymiotował. Na szczęście rytmiczny głos bębna znów przybrał na sile i zagłuszył ohydny plusk gotującej się zupy. Gdy hałas narastał, uwaga obserwatorów skupiła się na szaleńczym dudnieniu, które wypełniło jaskinię drżącym echem. Wkrótce zobaczyli bębny. Były tak wielkie jak kocioł, a ich skóra wibrowała nie pod uderzeniami dłoni czy pałek, lecz bosych stóp groteskowych, podskakujących postaci.

Tancerze albo byli kudłaci z natury, albo owinięci dokładnie skórami dzikich zwierząt. Zdawali się dziwnie zdeformowani. Ich cienie rzucane przez chwiejne światło przywodziły na myśl diabły z najgłębszych zakątków piekieł.

— Co to za stwory? — zapytał Subotai szeptem pełnym niedowierzania.

Conan wzruszył ramionami, wspominając krzepkich strażników—małpoludów, których minęli w drodze do świątyni.

Szepty awanturników ucichły, gdy rozległ się szczeł żelaza. Cofnęli się w głębszy mrok, a do kuchni wmaszerował oddział owłosionych ludzi w stalowych zbrojach. Wojownicy zdjęli hełmy i rozsiedli się na ławach. Wkrótce dołączyli inni, których dziwne pochrapywanie zwiększyło panujący w grocie hałas.

Conan skinął nagłaco. Posuwając się z najwyższą ostrożnością, okrążyli wrzący kocioł z jego upiorną zawartością i po pewnym czasie dotarli do groty mieszkalnej. Kobiety troglodytów, równie brzydkie jak mężczyźni, zajęte były dziećmi i domowymi pracami.

— Trolle! — mruknął Subotai. Jego oczy zogromniały. — Mówią o nich legendy mego ludu.

Valeria potrząsnęła głową.

— Nie, to potomkowie starożytnej rasy, która zamieszkiwała te jaskinie w czasach wykraczających poza ludzką pamięć.

— Jak wobec tego mogli zniżyć się do poziomu zwierząt? — zaciekawiał się mały Hyrkańczyk.

— Z tego, co słyszałam od filozofów, chodzi o coś innego. Nie są ludźmi, którzy stali się zwierzętami, ale zwierzętami, które prawie stały się ludźmi. Mówiono mi, że dawno, dawno temu istniały dwie wielkie gałęzie ludzkiego rodu: nasi przodkowie i ci mieszkańcy cieni. Nasi przodkowie nazwali ich tak, bowiem te ludzkie zwierzęta nie mogły ścierpieć dziennego światła i dlatego zakładały swoje domy w podziemnych jamach. Gdy nasi przodkowie rozprzestrzeniali się na powierzchni ziemi szukając światła i żyznej ziemi, mieszkańcy cieni zagrzebywali się głęboko w jej wnętrzu.

— I żywią się ludzkim mięsem? — spytał z odrazą Subotai.

Valeria skinęła twierdząco.

— Ten Doom musiał przyciągnąć ich tu, by mu służyli. W zamian karmi ich ciałami swych wyznawców.

Conan zaklął.

— Zatem węzowy prorok opiera swą potęgę na armii kanibali, których brzuchy napęlnia

podążającymi za nim głupcami.

— Albo tymi, którzy nie chcą za nim podążyć — dodał Subotai.

Za jaskiniami mieszkalnymi półludzi awanturnicy znaleźli most ze związanych linami bali, zwisający z dwóch kolosalnych słupów. To wąskie przejście spinało brzegi szerokiej i głębokiej rozpadliny, którą tysiące lat wcześniej otworzył jakiś straszliwy kataklizm. Za tą przeszkodą zobaczyli wykuty w kamieniu wspaniały portal, z którego sączyło się opalizujące światło. Nie widząc nigdzie straży, zaryzykowali wyjście na otwartą przestrzeń. Subotai z łukiem gotowym do strzału ruszył pierwszy.

Nagle na drugim końcu pojawił się owłosiony chłopiec. Miał ledwie cztery stopy wzrostu, lecz jego muskularna budowa mówiła o wielkiej sile. Wyciągając topór zza pasa, warknął dziko i zaatakował.

— Nie potrafią mówić — wymamrotał Conan przygotowując się do walki.

Nim skończył, zaśpiewała cięciwa i chłopiec stanął przeszyty strzałą. Zaskrzeczał, zatoczył się i runął w przepaść.

— To tylko dziecko — westchnął Subotai.

— Tak, ale kiedyś by dorósł — powiedziała zimno Valeria. — Idziemy!

Prowadzeni przez zielonkawy blask, minęli nie strzeżony portal i znaleźli się w wąskim korytarzu. W zasięgu wzroku nie było nikogo, jednakże awanturnicy starali się poruszać bezszelestnie i kryć w każdym cieniu.

— To musi być wejście dla straży Thulsa Dooma — mruknął Conan.

Subotai przytaknął.

— A skoro wszyscy są sługami boga-węża, Doom uznał wystawienie wart za zbędne.

— Ale nadal posuwajmy się ostrożnie — rzekła Valeria. — Nie wiemy, co czeka nas dalej.

Ruszyli w górę po schodach wyciętych w skale. Niebawem stanęli na progu groty, w której znajdował się pawilon z gazy rozwieszanej na kolumnach i poprzeczkach. W jego wnętrzu pulsowało zielone światło, a wewnątrz, na wpół ukryte przez przejrzyste zasłony niczym przez wieczorną mgłę, rosły drzewa i kwiaty o delikatnych barwach, umieszczone w wypełnionych ziemią dziurach. Awanturnicy patrzyli ze zdumieniem i podziwem. Posadzka z wypolerowanych płyt błękitnego marmuru błyszczała jak spokojne wody jeziora, a ze srebrnych kadzielnic unosiły się kłęby wonnego dymu. Odległe dudnienie bębnow tłumiała muzyka fletu, równie zmysłowa, tęskna i kusząca jak śpiew słowika.

Skąpani w osobliwym blasku tego czarodziejskiego miejsca, intruzi przemykali od krzaka do krzaka. Za kotarą z gazy ujrzeli tuziny młodych ludzi obojga płci, nagich bądź odzianych w cienkie jak pajęczyna szaty. Niektórzy drzemali lub leniwie uprawiali miłość, jeszcze inni siedzieli pogrążeni w transie, z plecami opartymi o smukłe kolumny z malachitu, które podtrzymywały draperie osłaniające ten zakątek rozkoszy.

Młodzi ludzie poruszali się nienaturalnie wolno. Conan spojrzawszy na swoich towarzyszy i poruszając ustami bezgłośnie wypowiedział słowo:

— Oszołomieni!

Subotai wypatrzył w mroku jednego, potem drugiego strażnika. Ich małpie, owłosione ciała leżały bezwładnie w pobliżu tych, których strzegli. Nawet przykute łańcuchami do kolumn lamparty musiały być pod wpływem narkotyku, który unosił się z dymem kadzideł, gdyż leżały ze łbami na przednich



łapach i sennie przymykały złote ślepia.

Nagle Valeria dotknęła ramienia Conana i wyciągnęła rękę. Conan zadrżał na widok swego wroga. Thulsa Doom siedział w osobnej alkwie, pogrążony w transie, ze skrzyżowanymi na piersiach rękami i głową schyloną na piersi. Tuż obok ze stojącej na trójnogu rzeźbionej czary wznosiła się spirala oszałamiających wyziewów.

Przed Doomem klęczała księżniczka Yasimina z Shadizar. Przejrzyste odzienie zsunęło się z jej ramion, odsłaniając spiczaste piersi. Podczas gdy dwie służki nuciły jakiś egzotyczny pean, ona, jak ktoś pogrążony w lubieżnym śnie, powoli wodziła rękami po nagich udach. Głowę miała odrzuconą do tyłu, oczy na wpół zamknięte. Oblizywała wargi koniuszkiem języka.

Doom podniósł ospale głowę i patrzył na piękne ciało dziewczyny.

— Księżniczka? — wyszeptała Valeria.

Conan skinął twierdząco. W jego błękitnych oczach płonęły gniew i odraza.

— Więc taki jest Raj Seta! — mruknął z uznaniem Subotai. — Ten prorok może odciągnąłby mnie od wiary w Erlika, gdyby te kobiety były równie chętne na trzeźwo.

Valeria zmierzyła go zimnym wzrokiem. Potem odwróciła się do Conana i wydyszała:

— Co teraz?

Lecz on nie odpowiedział.

— Jeżeli zaczekamy jakiś czas — rzekł Subotai — wszyscy zasną. A wtedy... Co ty na to, Cymmerianinie?

Dwie pary oczu spojrzały bacznie w twarz Conana, ale jego oczy wpatrzone były w alkwę, w której spoczywali pogrążeni w narkotycznym śnie Doom i Yasimina. Valeria sapnęła. Nigdy nie widziała na twarzy Conana tylu uczuć naraz. Była tam nienawiść i zwierzęca dzikość oraz łamiący serce smutek, leżący zbyt głęboko, by znaleźć ujście we łzach.

Valeria i Subotai powiedli oczami za wzrokiem Conana, na jaspisową ścianę nad głowami mesjasza Seta i jego kapłanki. Tam na dwóch srebrnych kołkach wisiał ciężki miecz z jelcem ukształtowanym na podobieństwo jelenich rogów i główką w kształcie kopyta łośa. Ostrze było długie, wspaniale wykonane i wypolerowane tak, że w przyćmionym zielonym świetle błyszczało niczym lustro.

Było to prawdziwe dzieło sztuki, broń z czystej stali Atlantów. Miecz wykuty przez ojca Conana.

# XIV

## Ratunek

Młody Cymmerianin, nie zwracając najmniejszej uwagi na swe otoczenie, odrzucił ostrożność i zrobił krok do przodu. Kierowało nim jedyne pragnienie. Odzyskać miecz swego ojca! Valeria i Subotai, także nie zważając na niebezpieczeństwo, wiernie ruszyli za nim.

Gdy trzy postacie z bronią w rękach stanęły przed wejściem do alkowy, Thulsa Doom ocknął się z transu. Jego oczy zwęziły się, gdy koncentrował spojrzenie na trzech zdeterminowanych twarzach i trzech ostrzach błyszczących nie dalej niż trzy kroki od niego. Gniew straszliwszy od tego, jaki kiedykolwiek widziało dwoje wojowników areny, wykrzywił jego oblicze i na chwilę pozbawił ich odwagi.

Valeria wbiła paznokcie w ramię Conana i wyszeptwała:

— Patrz!

Subotai wciągnął oddech i zaklął po hyrkańsku. Jeden z lampartów przykutych do kolumny otworzył złote kocie oczy i zastrzygł uszami. Conan, niezdolny wykonać ruchu, z niedowierzaniem wytrzeszczył oczy.

Szczupłe ciało Dooma zaczęło podlegać niesamowitej przemianie. Kark zmarszczył się i wydłużył. Dolna część twarzy wysunęła się do przodu, a szczęki powiększyły. Nos skurczył się i zniknął, czoło zaś cofnęło. Na ascetycznej twarzy pojawiły się pęknięcia — wąskie i ciemne jak szczeliny między rzeczonymi krami w czasie wiosennych roztopów. Szczeliny te połączyły się i utworzyły rzędy olbrzymich, zachodzących na siebie łusek. Za moment wargi ścieniały i znikły, a w pozbawionych powiek oczodołach pojawiły się zimne ślepia z pionowymi, otoczonymi czerwienią źrenicami. Rozdwojony język barwy ciemnej purpury wysunął się z węzowej głowy i drgając smakował powietrze.

— Na Croma! — warknął Conan, gdy węzowy łeb zakołysał się na boki.

Subotai pierwszy odzyskał głos.

— Musimy spalić to węzowe gniazdo!

— Takie plugastwo może zostać oczyszczone jedynie ogniem — stwierdził Cymmerianin.

— Ale przyszliśmy tylko po księżniczkę — wysapała z naciskiem Valeria.

— I miecz mego ojca!

Z prędkością pumy rzucającej się na ofiarę, barbarzyńca skoczył do alkowy, przemknął obok węzowej głowy i zdjął z kołków ciężką broń. W tej samej chwili do środka wpadła Valeria. Rozstawiając szeroko nogi i wznosząc szablę, stanęła nad klęczącą czcicielką Seta.

— Chodź! — wydyszała.

Księżniczka Yasimina spojrzała na gniewną wojowniczkę i wrzasnęła ze strachu.

— Wstawaj! — rozkazała Valeria, a kiedy przerażona dziewczyna nie posłuchała, złapała ją za włosy i poderwała na nogi.

Oszołomiona księżniczka szarpnęła się słabo, gdy Valeria chwyciła ją za ramię i powlokła przez salę pomiędzy półprzytomnymi kochankami i ich strażnikami.

Kiedy Yasimina została zabrana z alkowy, Conan i Subotai przysunęli do kotar świece. Stęzące ze strachu służebne na widok płomieni z krzykiem uciekały do głównego pawilonu, ale tam nie znalazły schronienia.

Oślaniając ucieczkę Valerii, Conan i Subotai wciąż podpalali przejrzyste draperie. Wyznawcy Seta budzili się jeden po drugim, kaszląc i trąc szczypiące od dymu oczy. Potem, widząc wokół pożerane przez ogień zasłony, zaczęli wrzeszczeć w bezrozumnej panice i czołgać się do wyjścia po drugiej stronie komnaty.

Jeden strażnik stanął między porywaczami a schodami. Chwilę później stal Atlantów załśniła w powietrzu i małpolud upadł rozcięty na dwoje. Subotai rzucił kagankiem w twarz młodzieńca w turbanie, który skoczył na niego ze sztyletem. Chłopiec uciekł, wyjąc i przyciskając ręce do poparzonej twarzy.

Conan oczyściwszy drogę do schodów zerknął przez ramię, szukając w zadymionym pomieszczeniu Thulsa Dooma. Liczył na to, że jego wróg leży martwy w alkwie, lecz ta nadzieja rozwiała się. Zasłony były zwęglone, wokół kłębił się dym, ale nigdzie nie było ani śladu mrocznego mesjasza, który wydawał się ni mniej, ni więcej, tylko samym Bogiem–Wężem.

Za tym chaosem, tuż obok wąskich schodów, stała Valeria. U jej stóp kulila się drżąca z przerażenia Yasimina. Oszałałe oczy księżniczki daremnie wypatrywały drogi ucieczki.

I niespodziewanie na pełnych ustach branki zaigrał uśmiech rozjaśniając jej twarz niczym błędny ogień. Valeria zrozumiała, że nadchodzą kłopoty. Dobiegł ją tupot nóg na schodach, ledwo słyszalny wśród dudnienia bębnow w dole i obłędnego wrzasku wypełniającego ten przed chwilą baśniowy zakątek stworzony dla kochanków i narkomanów. Valeria obróciła się błyskawicznie.

Z ostrzem szabli błyskającym niczym język węża stawiała czoło olbrzymiemu wojownikowi odzianemu w nabite żelazem skóry. Twarz przybyłego była ponura jak śmierć i chociaż nie był młody, jego mięśnie zdawały się posiadać nadludzką siłę. Otaczało go czterech strażników z włóczniami i maczugami. Nienawiść błyszczała w ich zwierzęcych oczach.

— Rexor! — zapisała przenikliwie Yasimina. — Rexorze, ratuj mnie!

Strażnicy na znak olbrzymiego wojownika runęli do przodu. Valeria rzuciła księżniczkę na kolana i uchyliła się przed pchnięciem półczłowieka. Potem skoczyła z gracją atakującej łasicy. Strażnik zachwiał się i złapał za gardło. Między włóchatymi palcami trysnęła krew.

Nacierając i robiąc uniki, Valeria krążyła wokół napastników, uchylając się przed maczugami, które mogły zmiażdżyć ją jak owada. Kolejny strażnik rzucił się na nią, warcząc i charcząc, ale gibka dziewczyna skoczyła w bok i wraziła ostrze w szczelinę między skórzanymi płatami zbroi. Małpolud stęknął, złapał się za przebity brzuch i runął na kamienie. Splamione purpurą ostrze Valerii cięło trzeciego w kark. Małpolud skrzecząc okropnie machnął na odlew maczugą. Valeria uskoczyła. Strażnik zatoczył się i wpadł w stos draperii płonących na środku pomieszczenia.

W tej chwili Rexor i czwarty małpolud zaszli ją z boku. Valeria zapędzona w kąt nie mogła wykorzystać szybkości, która dotychczas dawała jej przewagę. I nagle, jak wypadający z dżungli drapieжник, między dwiema płonącymi draperiami pojawił się Conan. W obu dłoniach trzymał wielki

miecz swego ojca. Nim małpolud zdążył zareagować, ciężki miecz Cymmerianina rozłupał mu hełm i czaszkę.

Valeria ruszyła w kierunku pierwszego sługi Dooma. — Łap księżniczkę! — ryknął Conan. — Rexora zostaw mnie!

Oczy olbrzyma błysnęły złowrogo na widok młodego Cymmerianina. Ten, którego zostawił ukrzyżowanego na Drzewie Wroga, teraz oto stał przed nim cały i zdrowy. Ale Rexor nie miał czasu na roztrząsanie tego cudu. Wielki miecz w rękach Conana wzniósł się do potężnego ciosu.

Dwa ostrza zderzyły się z furją. Deszcz iskier bryzgnął na boki, gdy klinga Rexora ustąpiła sile stali Atlantów i zagrzechotała na marmurowej posadzce. Rexor cisnął rękojęcią w głowę Conana, a gdy barbarzyńca zrobił unik, skoczył ku niemu i zamknął Cymmerianina w morderczym uścisku.

Conan odrzucił miecz ojca, bowiem na tak małą odległość był on bezużyteczny, i odpowiedział na atak Rexora z nie mniejszą siłą. Dwaj olbrzymi zataczali się po jaskini, nie zważając na dym i płomień. Ich potężne mięśnie grały pod skórą. Bez chwili przerwy darli się pazurami, okładali pięściami i kopali. Nagle Rexor zdołał złapać Conana za gardło. Jego silne palce wpiły się w kark Cymmerianina niczym szczęki stalowych siodła. Conanowi, chwytającemu z charkotem powietrze, udało się podważyć jeden kciuk przeciwnika. Odgiął go, póki nie rozległ się trzask wyłamywanego stawu. Z wyciem bólu i wściekłości Rexor zwolnił uchwyt i pchnął młodszego przeciwnika na największą kolumnę.

Podczas gdy Conan, oszołomiony zderzeniem, zsuwał się po malachitowym filarze, Rexor schylił się, by podnieść wielki miecz. W tej samej chwili jeden z oszalałych ze strachu przed ogniem lampartów skoczył gwałtownie i jego naprężony łańcuch uderzył w zgięte plecy Rexora. Olbrzym upadł, na próżno zasłaniając się przed ostrymi pazurami zwierzęcia. W końcu przypadł z jękiem do posadzki, a rozjuszony kot odskoczył i wlokąc zerwany łańcuch pomknął ku wolności.

Conan poderwał się na nogi. Rexor leżał w kałuży krwi, a wielki miecz spoczywał poza jego zasięgiem. Wsporniki pawilonu, po których płomień biegły niczym świetliste szczury, zaczęły pękać. Spadła jedna, potem druga belka. Kamienna kolumna, na której spoczywał ciężar całego dachu, zachwiała się. Gruz spadł na błyszczącą posadzkę.

Barbarzyńca, nie tracąc czasu, ruszył na pomoc Valerii. Yasimina walczyła zaciekle i Valeria, mimo swej zręczności i doświadczenia w tego rodzaju zmaganiach, traciła siły. Gdy Conan wyciągnął ręce do wyczerpanej towarzyszkii, huk zapadającego się sklepienia pawilonu rozbrzmiał echem w na wpół opróżnionej jaskini. Malachitowa kolumna przerwała się, przygniatając Rexora.

Walące się sklepienie rozproszyło uwagę Valerii. Yasimina wykorzystała tę chwilę, uwolniła ręce i rzuciła się do ucieczki. Cymmerianin skoczył za nią. Dopędził ją po kilku długich susach, złapał i szarpnął. Dziewczyna, miotając przekleństwa, wbiła mu paznokcie w policzek.

Obawiając się oślepienia i tego, że jej wrzaski mogą ściągnąć nowych strażników, Conan zapomniał na chwilę o barbarzyńskim kodeksie honorowym i trzasnął ją w szczękę. Rozhisteryzowana dziewczyna umilkła i zwiotczała. Bez sprzeciwu pozwoliła zarzucić się na ramię. Conan pobiegł do wyjścia, a Valeria podążyła za nim.

Pomknęli zygżakiem przez komnatę, mijając sterty tłących się resztek konstrukcji i trupy wiernych, którzy nie zdążyli znaleźć drogi ucieczki. W pobliżu schodów znaleźli Subotai, przyczajonego za wielkim dzbanem. Mały złodziej z napiętym łukiem pilnował, by inni strażnicy nie wdarli się do zrujnowanej komnaty.

Gdy jego towarzysze wyłonili się z kłębow dymu, wrzasnął:

— Tędy, nim odetną nam drogę!

Pędząc w dół wąskich schodów, wrócili do ogromnej groty, w której mieszkały rodziny półludzkich sług Thulsa Dooma. Przedostali się przez most na czas, by ukryć się przed strażnikami nadbiegającymi z przeciwnej strony.

Valeria, Subotai oraz Cymmerianin z nieprzytomną dziewczyną na ramieniu podążali wąskim przejściem w kierunku rozpadliny, którą dostali się do wnętrza góry. Ścigał ich łoskot wielkich bębnow i nie milknące okrzyki:

— Doom! Doom! Doom!

Tam gdzie niegdyś stał pawilon rozkoszy, ogień i chaos zamierały powoli. Osmałeni i zmęczeni strażnicy cofnęli się i skłonili, gdy Thulsa Doom wyszedł z głębi swej fortecy. Jego znów ludzkie ciało odziane było w zbroję, a oczy płonęły wściekłością. Obolały Rexor utykając wyszedł mu na spotkanie.

— Żyjesz, Mistrzu! Setowi niech będą dzięki! — zawołał. — Wiedziałem, że nasz bóg nie pozwoli cię skrzywdzić.

Przywódca kultu skinął głową, po czym złość znów wykrzywiła jego bladą twarz o wąskich oczach.

— Gdzie kapłanka Yasimina? Dlaczego nie przyszła, by mnie powitać? Gdzie ona jest?!

— Człowiek, którego kazałeś ukrzyżować, i inni zabili trzech strażników i zwalili na mnie kolumnę, a księżniczkę uprowadzili, gdy leżałem bez zmysłów!

— Niewierni! Zabójcy! Podpalacze! — ryknął przywódca kultu. — Pogwałcili mój spokój. Zbezczeszili nasze święte miejsce. Powinni umrzeć natychmiast! Znajdź ich, dobry Rexorze, i przywiedź do mnie, żywych lub martwych! Idź!

Rexor skłonił się i odwrócił. Za nim pośpieszyli jego żołnierze.

Gdy awanturnicy szli przez wielką jaskinię, ich kroki zagłuszało nieustające dudnienie bębnow. Nie zatrzymali się, by raz jeszcze spojrzeć na wrzący kocioł i jego okropną zawartość. Nie zważali na posilające się małpoludy, Subotai i Valeria modlili się do swoich bogów, by stalagmity osłoniły ich przed przypadkowym spojrzeniem jakiegoś najedzonego półczłowieka.

Nareszcie w polu widzenia pojawił się szmat usianego gwiazdami nieba. Conan stęknął z ulgą, gdy precyzyjnie się przez szczelinę i stanęli przed wejściem do Góry Mocy. Huczący wodospad stanowił miłą odmianę po natarczywym łoskocie bębnow.

# XV

## Rozstanie

Czyste nocne powietrze było niczym kojący balsam po dymie i oparach we wnętrzu warowni. Lekki wiatr, niczym palce kochanka, gładził długie włosy księżniczki Yasiminy.

Dziewczyna poruszyła się na szerokim ramieniu Cymmerianina.

— Przy odrobinie szczęścia — wysapał Subotai — może zdołamy uciec z tego przeklętego miejsca, nim nas odkryją.

— Myślę, że zgubili nas i teraz szukają w innych korytarzach — wyszeptała Valeria.

Conan ponuro potrząsnął grzywą.

— Słyszę za nami szcęk zbroi. Musimy się śpieszyć — poprawił na ramieniu bezwładne ciało Yasiminy. — Zwiąż jej nadgarstki, Valerio. Muszę mieć wolne ręce, by zejść z tych skał.

Wojowniczką rozwiązała swą opaskę i skrępowała nią ręce księżniczki zwisające teraz po obu stronach szyi Conana.

— Jeżeli ta suka osunie się w dół twoich pleców, udusi cię — mruknęła Valeria.

Conan wyszczerzył zęby.

— Zachowam ten przywilej dla ciebie, dziewczyno — pochylił się i złapał sterczący przed nim kamień. Wymacał stopą najbliższy głaz, po czym stanął na pierwszym stopniu schodów wiodących ku wolności.

Gdy barbarzyńca ruszył w dół, Yasimina odzyskała przytomność. Miała wrażenie, że pochłania ją prąd pędzącej wody, a pod nią otwiera się bezdenne, czarna przepaść. W górze rysowała się sylwetka człowieka przyczajonego z napiętym łukiem i kobiety z szablą w ręku.

Yasimina otworzyła usta i jej przeszywający wrzask zagłuszył łoskot wodospadu.

Conan przeklął Osrica oraz wszystkich jego krewnych i potomków.

— Zamknij się, chyba że wolisz umrzeć! — wrzasnął dziko.

Ale księżniczka, nie tyle z uporu, ile ze strachu, krzyknęła histerycznie:

— Mistrzu, Mistrzu, ratuj! Mistrzu Doomie, ratunku!

Conan, balansując desperacko na małym występie skalnym, puścił się jedną ręką i trzasnął w twarz przytuloną do swego karku. Zaskoczona dziewczyna zamilkła. Ale za późno.

Na szczycie góry zapłonęły pochodnie. Twarze strażników zajrzały w ciemną otchłań. Coś z szumem przemknęło obok Conana i zadudniło na skałach poniżej. Barbarzyńca nie potrafił określić, czy była to strzała czy kamień. Następny pocisk otarł się o jego ramię. Conan syknął z bólu i ruszył w dół z większym pośpiechem.

Kryjąc się za kolejną skałą, zaryzykował spojrzenie na swoich towarzyszy.

Valeria mknęła po kamiennych stopniach niczym kozica. Subotai przystanął na chwilę i

wycelował w wylot jaskini. Strzała ze świstem pomknęła w górę, zatoczyła łuk i uderzyła. Małpolud zawył okropnie, zachwiał się i z hurkotem runął ze zbocza.

Kolejna strzała pomknęła śladem pierwszej. Następny strażnik, trafiony w pierś, padł przed jaskinią. Trzeci zwałił się z wrzaskiem w huczącą gardziel wodospadu i przepadł w spienionej wodzie, nim ucichło echo jego wrzasku.

Pozostałe małpoludy cofnęły się w popłochu i stłoczyły w wejściu do wnętrza góry. To dało Subotai czas potrzebny na dołączenie do Valerii. Potem oboje zsunęli się po głazach i spotkali Conana w miejscu, gdzie zbocze było mniej strome.

— Niech Erlik ugotuje ich w ogniu! — mruknął Hyrkańczyk, oglądając pokaleczone dłonie, — Myślałem, że to mój koniec.

— Znajdźmy konie, nim te diabły obejdą górę — przynagliła Valeria. — Powinny być gdzieś tutaj... Do licha, zgubiliśmy się! — wykrzyknęła po chwili.

— Idźmy brzegiem, póki nie dotrzemy na równinę — rzekł Conan, podnosząc Yasiminę i zarzucając ją na lewe ramię.

— Ale tam strumień się rozszerza, a my, ludzie stepu, nie przywykliśmy do pływania — zaprotestował Hyrkańczyk.

— No to rób, co chcesz! — burknęła Valeria. — My będziemy mieli dość roboty z tą głupią dziewczyną.

Oślaniani przez Subotai awanturnicy ruszyli po nieznanym brzegu strumienia. Szli w milczeniu, wdzięczni, że noc jest bezksiężycowa i że jak dotąd zdołali wymknąć się Doomowi i jego strażnikom. Brzemie spoczywające na ramieniu Conana spowolniało marsz, ale przynajmniej tym razem księżniczka nie mogła wzywać pomocy.

Zdawało się, że światło świtu zbyt szybko przepędza przyjazne gwiazdy, krzyki budzących się ptaków mogły zdradzić ich obecność każdemu, kto patrzył w tym kierunku. Valeria stała się niespokojna.

— Widzę ścieżkę nad nami — mruknęła. — Jak myślicie, do czego służy?

— Bez wątpienia wiedzie na punkt obserwacyjny dla straży — odparł Cymmerianin. — Mieli warty wzdłuż całej drogi, gdy wspinałem się z tym baranim stadem pielgrzymów.

— Ale dziś chyba nie ma wart — powiedział radośnie Subotai. — Teraz musimy być niedaleko koni. Wystarczy tylko przebyć strumień. Woda w tym miejscu jest tak spokojna, że nawet ja zdołam ją przepłynąć.

— Pomogę Conanowi z tą czarnowłosą suką. — Valeria weszła do strumienia, którego powierzchnia przypominała płynącą wartko rtęć.

— Módl się, żeby nie zaczęła wrzeszczeć — mruknął barbarzyńca, przekazując księżniczkę Valerii. Kiedy zimna woda ocuciła Yasaminę, Conan spojrział na nią groźnie i warknął: — Powiedz słowo, a utopię cię własnymi rękami.

Z pomocą Valerii przeciągnął ją na drugi brzeg. Subotai tymczasem przepłynął strumień na własną rękę i pojawił się na trawiastym brzegu. Conan i Valeria wyciągnęli księżniczkę z wody, po czym zadyszani rzucili się na porośniętą trawą pagórek.

Czujne oczy Subotai bez ustanku przepatrywały górską ścieżkę, która wiodła na platformę dla straży.

— Idziemy, Conanie, nim nas wywęszą... Na Erlika! Patrzcie!

Wskazał na kręty szlak na stoku góry, gdzie pojawiła się grupa maszerujących postaci.

— Na Croma, to Doom i Rexor z oddziałem straży! — warknął Conan.

— Odkryli nas — wysapała Valeria. — Doom wskazuje w naszą stronę.

Rexor gestykulując wydał rozkazy, strażnicy pokiwali głowami. Wkrótce zaczęli szybko zsuwać się na dół. Tym razem byli to ludzie, ale w ich oczach nie błyszczała nawet najmniejsza iskra inteligencji, która mogłaby odróżnić ich od małpoludów. Zbliżali się, wywijając maczugami, kijami i toporami. Pierwsze promienie wschodzącego słońca zabłyśły na żelaznych ćwiekach ich skórzanych zbroi.

Awanturnicy przygotowali się do walki. Valeria strzegła pleców Conana, Subotai zaś, wymachując długim sztyletem, osłonił jego lewy bok. Potem zaczął się atak.

Wszyscy troje walczyli jak jeden wojownik. Conan i Valeria, powodowani miłością i rozpaczą, bili się lepiej niż kiedykolwiek przedtem.

Kości pękały pod potężnymi ciosami Cymmerianina. Krew tryskała spod szabli Valerii. Padł pierwszy napastnik, potem drugi i jeszcze jeden. Jakiś szaleniec złapał sztylet Subotai gołą ręką. Nie zwracając uwagi na to, że ostra jak brzytwa klinga tnie mu skórę i ścięgna, wydarł broń z garści Hyrkańczyka, po czym wznosił topór, by zadać śmiertelny cios. Gdy Subotai z przekleństwem na ustach umknął w bok, Conan rozplątał strażnikowi brzuch.

Hyrkańczyk oparł się plecami o głaz i sięgnął po łuk. Chociaż cięciwa była wilgotna i strzała leciała chwiejnie, kolejny napastnik zatoczył się, zaciskając ręce na drzewcu do połowy wbitym w pierś. Starcie zakończyło się tak samo nagle, jak rozpoczęło. Pozostali strażnicy wycofali się jak wychłostane psy. Wspięli na zbocze i pobiegli do miejsca, w którym stał Doom i Rexon.

Trzy pary zmęczonych oczu śledziły ucieczkę strażników wznosząc się ku królewskiej postaci Thulsa Dooma, stojącego na lekko rozstawionych nogach.

Płynnym ruchem Doom złapał węża owiniętego wokół własnej szyi i wyprostował go, tworząc pokrytą łuskami strzałę. Potem, wzięwszy łuk usłużnie podany przez Rexona, założył strzałę, która chwilę wcześniej była żywym wężem, i strzelił.

Magiczny pocisk wymierzony był w serce Conana, jednakże szybsza od niego była kobieta. Valeria niczym żywa tarcza stanęła pomiędzy ukochanym a śmiercią.

Strzała z chrzęstem przebiła szczupłe ciało Valerii i znieruchomiła z łbem węża sterczącym między łopatkami wojowniczką.

Gdy dziewczyna zachwiała się, Conan chwycił ją w ramiona. Osunął się na kolana i tulił ją jak małe dziecko. Po chwili podniósł głowę i z nienawiścią spojrział na swego wroga.

Na twarzy Dooma odmalował się okrutny uśmiech. Rexor także wyszczerzył zęby i zawołał z podziwem:

— Twój strzał był bezbłędny, Mistrzu. Śmierć niewiernej!

Uśmiech mesjasza Seta przekształcił się w nieludzki grymas.

— Śmierć wszystkim, którzy są przeciw mnie! — zabrzmiała odpowiedź.

Doom obrócił się na pięcie i odszedł.

Conan schylił się nad ranną. Spojrzął na strzałę i wyszarpnął ją jednym ruchem. Dziewczyna, zbyt słaba by jęknąć, tylko westchnęła z bólu. W rękę barbarzyńcy pocisk znów stał się wężem. Przepelniony wstrętem Conan rzucił go do strumienia.

— Żyj! Musisz żyć — wyszeptał. — Potrzebuję cię.

Valeria zdobyła się na drżący uśmiech.

— Czarownik... powiedział... że muszę zapłacić bogom... — głos Valerii był słaby jak szmer



liści w cichnym powiewie. — Nadeszła... pora... zapłaty...

Conan przytulił ją do piersi. Ich wilgotne włosy spletały się w złotych promieniach wschodzącego słońca. Wiał wiatr od morza Vilayet.

— Przytul mnie... mocniej — jęknęła Valeria. — Pocałuj mnie... tchnij swój ciepły oddech w moje ciało...

Pocałował ją namiętnie, równocześnie kołysząc jej bezwładne ciało, tak jak matka kołysze chore niemowlę. Jej twarz przybrała popielatą barwę. Cienie długich rzęs ciemnymi smugami położyły się na białych jak wosk policzkach.

— Zimno... tak zimno — wydyszała ostatkiem sił. — Ogrzej... mnie...

Jej usta szukały jego warg. Potem jej ręka opadła na bujną trawę.

Conan trzymał ją, póki Subotai nie dotknął jego ramienia.

Gdy słońce stało już wysoko na lazurowym niebie, trzech jeźdźcy ściągnęli wodze spienionych wierzchowców obok chaty pustelnika. Conan zsiadł z ciałem Valerii w ramionach. Subotai pośpieszył do trzeciego rumaka, by rozwiązać sznury wiążące księżniczkę do siodła.

Wiekowy czarownik wybiegł im na spotkanie. Zerknął na brzemię w ramionach Conana i dotknął zwisającej bezwładnie ręki Valerii. Potem ze smutkiem potrząsnął głową.

Cymmerianin wniósł ciało dziewczyny do chaty.

Subotai, wskazując pojmaną księżniczkę, powiedział półgłosem:

— Zostanę tutaj i przypilnuję jej.

Z pomocą pustelnika Conan ułożył Valerię na pościeli i zdjął z niej zabrudzone ubranie. Obmył z bladego ciała krew i tłusty barwnik. Na przebitych piersiach wojowniczkę wielki klejnot skradziony w Wieży Węża siał blaskiem zamrożonego w nim płomienia.

Conan zdjął Oko Seta, zarzucił rzemień na swoją szyję i wsunął klejnot pod tunikę.

— W jaki sposób ten kamień znalazł się w posiadaniu tej dziewczyny? — spytał czarownik.

— To tylko błyskotka, którą jej dałem — burknął Cymmerianin. — Nie chcę o tym mówić.

Pustelnik wzruszył ramionami. Razem ubrali Valerię w odświętną jedwabną suknię, którą kupiła sobie w Shadizar. Skrzyżowali jej ramiona na piersiach, a w dłonie włożyli miecz. Wtarli wonne zioła w jej czoło i uczesali długie włosy.

— Jest piękna — rzekł drżącym głosem szaman. — Jak panna młoda.

— Gdybyż nią była! — mruknął Conan opuszczając chatę, by zebrać drewno na stos pogrzebowy.

Słońce przemieniło się w czerwoną kulę, wiszącą nisko nad horyzontem, gdy Conan złożył na stosie ostatnie naręcze drewna wyrzuconego przez morskie fale. Stos stał na szczycie najwyższego spośród kurhanów starożytnych królów i wojowników. Stele upamiętniające ich chwałę tworzyły wokół honorową straż. Pomiedzy nie Conan przyniósł Valerię i delikatnie położył na stosie. W różowym świetle zachodu wyglądała bardzo młodo, jak śpiące dziecko.

Subotai pomógł staremu czarnoksiężnikowi wejść na pagórek. Conan, patrząc na ukochaną, powoli nucił pieśń gladiatorów:

*Krew, więcej krwi!*

*Mój miecz ze śpiewem*

*Rozdziera ciało i kości.*

*Jedyną nagrodą wojownika*

*Jest zawsze śmierć.*

Pożegnawszy się z Valerią, wziął przyniesioną przez starca pochodnię i zbliżył ją do suchego drewna. Płomienie z hukiem ogarnęły alabastrową postać dziewczyny.

Dym wznosił się prosto w ciemniejące niebo, jakby chciał sięgnąć wieczornych gwiazd.

Conan stał niczym kamienny posąg. Subotai szlochał cicho, łzy spływały mu po policzkach. Pustelnik zakończył modlitwę i spojrzał na niego ze zdumieniem.

— Dlaczego tak płaczesz, Hyrkańczyku? Czy tak wiele znaczyła do ciebie?

Subotai wytarł oczy i chrząknął.

— Była moim przyjacielem, ale dla niego była wszystkim. Lecz on jest Cymmerianinem i nie wolno mu płakać, więc robię to za niego.

Starzec z powagą skinął głową.

Ogień wypalił się do węgla, potem do popiołów, które nocny wiatr poniosł w dal. Conan przez cały czas stał bez ruchu. W chwili kiedy zniknęła ostatnia garść popiołu, odwrócił się do Subotai i szamana.

— Teraz musimy się przygotować — rzekł.

— Do czego? — zapytał Subotai.

— Do tego, co nas czeka.

# XVI

## Bitwa

Tej nocy nikt nie spał w chacie szamana. Starzec owinał się w swój wystrzępiony płaszcz i patrzył na młodego olbrzyma, którego życie zostało tak drogo okupione. Conan kawałkiem węgla szkicował jakiś plan na podłodze. Subotai nie spuszczał oka z Yasiminy, która leżała przywiązana do łóżka pustelnika.

Kiedy świt zapalił wody morza Yilayet, w umarłym mieście zawrzała praca. Subotai przygotowywał teren do obrony, a starzec przeszukiwał rozmaite zakamarki szukając broni i innych rzeczy, które mogłyby się przydać w walce.

Yasimina siedziała na skraju łóżka, z nienawiścią wlepiając oczy w Cymmerianina. Jej kształtne usta co chwila wykrzywiał szyderczy grymas.

— Raduj się tym dniem, barbarzyński psie — syczała. — Bowiem to twój ostatni.

Conan spojrzał na nią zimno.

— Pan węży wie, gdzie jesteś — mówiła dalej. — Widział twój ogień i przybędzie tu. To pewne jak to, że słońce wstaje na wschodzie. I zabije cię.

— Zatem jesteś wyrocznią, co? — warknął Conan marszcząc brwi. — Nie sądzę. Jesteś tylko głupią dziewczyną. Nie wiem, dlaczego twój ojciec tak cię kocha.

Podszedł do księżniczki, ujął ją pod brodę i z wściekłością spojrzał w jej dzikie oczy.

— Urodziłem się na polu bitwy... — rzekł cicho. — Pierwszym dźwiękiem, jaki usłyszałem, był krzyk... Nie przeraża mnie walka.

— Mnie też nie! — Yasimina cofnęła się gwałtownie. — Mój pan przybędzie, by mnie uratować. Mój pan... i przyszły mąż, Thulsa Doom.

Conan ponuro wyszczerzył zęby.

— Zatem zobaczysz całą bitwę. I będziesz tam, by go powitać, gdy po ciebie przybędzie.

Dziewczyna zbladła lekko, gdy barbarzyńca odwiązał ją od łóżka i niczym worek zarzucił sobie na ramię. Pomaszerował do podnóża najbliższego kopca i przywiązał księżniczkę do steli.

— Stąd będziesz widzieć wszystko. I tego, który przybędzie, i nas.

Subotai zawołał z dołu i Conan zostawił dziewczynę. Hyrkańczyk przytargał naręcze bambusowych pędów i teraz rzucił je z trzaskiem na ziemię.

— To na palisadę — powiedział, podnosząc jeden pęd i ścinając czubek, tak by powstała prymitywna włócznia.

— Gdzie je znalazłeś? — zapytał Conan zaczynając ostrzyć końce pozostałych.

— Nad morzem, za tymi wysokimi trawami. — Kiedy ostatnia naostrzona tyczka legła na stosie, Hyrkańczyk powiedział: — Doom chyba nadejdzie wprost od strony góry. Może wykopiemy wilczy

dół po drugiej stronie tamtego pagórka? — pokazał.

— Tak — zgodził się Cymmerianin — i okryjemy go darnią.

— Przyniosę łopaty — rzekł kwaśno Subotai. — Mam nadzieję, że starczy czasu.

Wkrótce zabrali się do pracy. Przez cały ranek fruwała ziemia, a dół szybko nabierał kształtu. Słabszy złodziej musiał odpoczywać od czasu do czasu, natomiast Conan machał łopatą niezmiernie. Nienawiść i żądza zemsty wzmogły jego siłę ponad wszelkie wyobrażenie. Pracował za trzech.

W końcu dół został wykopany, w jego dnie osadzono naostrzone tyczki. Pustelnik przyniósł im chleb i ser oraz tykwę z piwem.

— Tutaj będziecie się bronić?

— Tu albo na twoim pagórku — odparł Conan.

Spojrzenie starca powędrowało za wskazującym palcem Cymmerianina.

— Wiele bitew stoczono tu w starożytnych czasach — rzekł kiwając w zadumie siwą głową. —

W nocy cienie zabitych śpiewają przerażające pieśni o walce.

— Dzisiaj odbędzie się bitwa inna niż wszystkie. Dwaj staną przeciwko wielu — odrzekł Conan.

— Starcze, jeżeli zginiemy, zaśpiewaj pieśń o nas.

— Albo dla nas, jeżeli przeżyjemy — dodał Subotai.

— Zniosę trochę jedzenia i picia tej złośnicy Osrica — oznajmił Cymmerianin i wstał.

Wspiął się na pagórek i podał Yasiminie kromkę praśnego chleba. Księżniczka skrzywiła się na widok skromnego pożywienia i z wściekłością spojrzała na barbarzyńcę, ale z zapalem zabrała się do jedzenia.

Jednakże nie dała się udobruchać. Skończywszy jeść, zadrwiła:

— To nie będzie trwało długo.

— Owszem, niedługo — odparł niewzruszenie barbarzyńca.

Wróciwszy do Subotai, który teraz zajęty był robieniem dodatkowych strzał, Conan zabrał się za ostrzenie mieczy. Szlifując wielkie atlantydzkie ostrze myślał o swoim dzieciństwie, o potędze swego arcywroga oraz o zręczności i przebiegłości, jakie trzeba posiadać, aby zwyciężyć przytłaczających liczebnie przeciwników.

Subotai służył mu w tym wielką pomocą. Przebiegły Hyrkańczyk doskonale znał się na wojennych sztuczkach i strategii. Jego koczownicze plemię słynęło z waleczności, jednakże wróg często przewyższał ich liczbą i dlatego musieli nauczyć się go przechytrzać.

Potem Conan i Subotai zajęli się umacnianiem obrony. Przerzucili przez wilczy dół długie bambusowe tyczki i okryli je cienką warstwą darni. Przyjrzeni się stelom na grzebalnym kopcu, wybrali tę, która zapewniała najlepszą osłonę, i za nią złożyli kołczan strzał, zapas kamieni do rzucania i bukłak z wodą do picia. Jednakże po przyjrzeniu się wszystkim poczynionym przygotowaniom, uznali je za niewystarczające.

— Ten wilczy dół może schwytać co najwyżej pięciu jeźdźców — powiedział Subotai wycierając spocone czoło.

— A będzie ich dużo więcej — warknął Conan.

— Może duchy wojowników wyciągną ku nam pomocną dłoń — rzekł Subotai z bezlitosnym uśmiechem. — Dwaj ludzie nie mogą przygotować się lepiej.

— Już jesteście chodzącymi trupami, mimo swoich przygotowań! — wtrąciła Yasimina, wyzywająco potrząsając czarnymi lokami. — Kiedy mój pan przybędzie ze swoimi ludźmi...

Urwała w połowie zdania. Mężczyźni popatrzyli na siebie i momentalnie dobyli mieczy. Pod nimi, na stoku kurhanu rozległ się szczęk i zgrzyt metalu o metal. Obrócili się napinając mięśnie. Potem z gardła Conana wyrwał się gromki śmiech.

Zmierzał ku nim stary szaman, odziany w płytową zbroję i obarczony naręczem napierśników, hełmów i włóczni. Subotai skoczył ku niemu.

— Skąd to wytrzasnąłeś, starcze?! — krzyknął podniecony.

— Od umarłych — czarownik uśmiechnął się szeroko. — Na dole znajdziecie więcej — skinął głową w kierunku chaty.

Gdy Subotai zbiegł na dół, znalazł przed domem pustelnika nagolenniki, miecze, topory, łuki, strzały i pęk oszczepów. Conan podniósł jeden z napierśników i przyjrzał mu się uważnie.

— Od umarłych, mówisz? Ale żelazo jest mocne i bez śladu rdzy. Jak wy dostało się z grobu?

— Zapominasz, że znam się na magii. Skoro mogłem rozniecić gasnącą iskrę twego życia, dużo mniejszym wyczynem było wybląganie daru od tych, którzy śpią pod tym kopcem. Poza tym bogowie są z ciebie zadowoleni. Będą przyglądali się nadchodzącej bitwie.

— Czy pomogą?

— Nie.

— Może nie spodobać im się to widowisko — warknął Conan. — Tylko dwóch przeciw...

Czarnoksiężnik przerwał mu:

— Trzech.

— Przyłączysz się do nas? — zapytał zdumiony Conan.

— Czemu nie? — zaśmiał się stary. — Jeżeli zginiecie, oni zabiją mnie za to, że udzieliłem wam schronienia. Pomogę wam na tyle, na ile zdołam — uśmiechnął się i dodał: — Nadal znam jedną czy dwie sztuczki...

Gdy pustelnik odszedł, by obejrzeć wilczy dół, Cymmerianin włożył kolczugę, stalowy hełm i nagolenniki z cienkiego brązu. Wybrał solidną tarczę i topór, a w ziemię wbił oszczepy tak, żeby były pod ręką.

Tymczasem wrócił Subotai. Był w zbroi, a w oczach błyszczało mu uniesienie. Do swej ulubionej broni, miecza i łuku, dodał cały arsenał noży. Jego nieposkromiona pewność siebie ożywiła ponurego towarzysza.

— Zastanawiam się, dlaczego tak długo ich nie ma! — powiedział Subotai. — Boją się, czy też o nas zapomnieli?

Yasimina spojrzała na Hyrkańczyka, tak jakby był natrętnym insektem.

— Głupcy, czyż nie wiecie, że dziś jest ustanowiony przez Seta święty dzień, przeznaczony na modły i odpoczynek? Nikt nie może wyruszyć w drogę przed zachodem słońca.

— Dlaczegoś nie powiedziała tego wcześniej? — burknął Conan. — Moglibyśmy zrobić kolację. Nie zamierzam ci pomagać, barbarzyńco. Jesteś wrogiem Seta!

Słońce wisiało nisko nad horyzontem i długie, purpurowe cienie wypełzły na równinę, która rozciągała się między kurhanami a Górą Mocy. Ze swoich kryjówek Conan, Subotai i czarownik patrzyli na ciemniejącą pustkę i czekali. Wiedzieli, że gdy ciemność zgęstnieje, małpoludy Dooma przystąpią do ataku.

— Co to za dźwięk? — zapytał nagle przestraszony Subotai. W powietrzu wibrował niesamowity śpiew. Ze swej kryjówki zobaczyli, że księżniczka naprężyła sznury i wstała, a wiatr wzburzył jej

długie włosy. Patrzyła przez jałową równinę w kierunku Góry Mocy i zachodzącego słońca. Ostatnie blaski dnia całowały jej wzniesioną w górę twarz, barwiły nagie ramiona i ręce rdzawym złotem.

Pieśń miała dziwną melodię i gdy przybierała na sile, jej melancholijna tęsknota przemieniła się w namiętne, kusicielskie błaganie. Słuchający na siłę powstrzymywali się, by nie ulec jej urokowi. Mimo wystrzępionego i brudnego ubrania Yasimina wciąż była potężną kapłanką Seta.

— I co teraz? — dumał na głos szaman patrząc na zmysłowe ruchu dziewczyny. Czuł wzbierającą w jej śpiewie magię.

Subotai jak w transie słuchał nieziemskiej melodii.

— Jakie to piękne — wymruczał. — Co ona śpiewa?

— Nie słuchaj! — warknął Conan. — To jakiś hymn na cześć boga-węża, przeznaczony do zwabiania niewinnych na drogę ku nicości. Nie słuchaj!

Gdy gwiazdy rozsypały się po ciemnym firmamencie, Conan wbił wzrok w targane wichrem niebo. Nigdy nie modlił się do Croma, boga Cymmerianów, bowiem wiedział, że nieśmiertelni niewiele interesują się sprawami ludzi. Jednakże teraz, stojąc przed prawie pewną śmiercią, barbarzyńca przemówił:

— Cromie, wiem, że dla ciebie wynik tej bitwy nie ma znaczenia. Ani ty, ani inni bogowie nie będziecie pamiętać, dlaczego walczyliśmy ani jak umarliśmy.

Ale wiem, Cromie, że raduje cię ludzkie męstwo, a tej nocy trzech odważni ludzie staną przeciwko wielu. To może zapamiętasz.

Za moją odwagę i moją krew, proszę o jedno: pozwól mi się zemścić. A jeśli nie, to niech cię piekło pochłonie!

Księżniczka przestała śpiewać i siedziała nieruchomo oparta o stelę. Wiatr jęczał cicho w wysokich trawach. Stado wodnego ptactwa z żalonym krzykiem przeleciało nad głowami trzech wojowników i znikło w ciemności. Gdzieś zatrzeszczał świerszcz.

Ukołyszany ciszą i zmęczony nadludzką pracą wykonaną w ciągu dnia, Conan odpoczywał wsparty na stylisku topora. Nagle podniósł głowę i spojrzał w gęstniejące cienie. Barbarzyński instynkt powiedział mu, że wróg jest tuż.

Niczym postacie z koszmaru, który przerwał dzieciństwo Conana, dwie dziesiątki czarnych jeźdźców z dudnieniem kopyt i szczękiem zbroi pojawiły się na tle granatowego nieba. Galopowali w kierunku pagórka, na którym czekali Conan i Subotai. Nad głowami najeżdżających płynął tak dobrze zapamiętany przez Cymmerianina proporzec z dwoma splecionymi wężami, podtrzymującymi dysk czarnego słońca.

Słudzy Seta, w hełmach przysłaniających twarze, wzniesli włócznie i miecze i zawyli jak wilki. Zanim dotarli do kopca, ziemia otworzyła się pod kopytami pierwszych rumaków i trzej konni runęli do najeżonego ostrzami dołu.

Jeden koń wyskoczył z okrutnej pułapki i nie bacząc, że zgubił jeźdźca, pogalopował na równinę.

Inne rumaki, przynaglone ostrogami do szybszego biegu, przeskakiwały przez ukrytą pułapkę albo omijały ją i mknęły w górę zbocza na spotkanie wroga. Barbarzyńca wyszedł zza steli i stanął widoczny dla wszystkich. Jeden z jeźdźców ruszył ku niemu, a wtedy Conan cisnął oszczep. Rozległ się głuchy odgłos drzewca trafiającego w cel. Chwilę później zaatakował drugi. Barbarzyńca wywinął toporem, który ugrzązł w okrytej zbroją piersi.

Następny oszczep przebił konia. Zwierzę poderwało kopyta i zrzuciło jeźdźca, po czym z

kwikiem padło na ziemię. Małpolud, nie zważając na własne bezpieczeństwo, rycząc okrzyk wojenny, skoczył do Cymmerianina. Naparł nań włóchatym tułowiem i rzucił go na kolana. W tej samej chwili zaśpiewała cięciwa. Napastnik zbyt późno uniósł tarczę, by zasłonić twarz. Strzała Subotai przeszła mu oko i małpolud z wrzaskiem stoczył się z kurhanu.

Pędząc z furią sztormu, następny sługa Dooma runął na Cymmerianina z pochyloną lancą. Jej grot trafił w tarczę Conana i obrócił go wokół osi. W trakcie obrotu, barbarzyńca wyrwał z pochwy atlantydzki miecz i kończąc ten sam ruch rozplatał brzuch wierzchowca.

Oszalałe z bólu zwierzę, kwicząc i przewracając oczami, stanęło dęba bijąc kopytami gwiazdy. Jeździec potoczył się do nóg Cymmerianina. Kolejny cios miecza oddzielił głowę od kosmatego tułowia.

Inny jeździec zauważył kucającego za stelą Hyrkańczyka i pomknął galopem w górę zbocza. Gdy zbliżył się do Subotai, mały złodziej wyprostował się i zwolnił cięciwę. Z fontanną krwi tryskającą z przesytego gardła, małpolud spadł z wierzchowca, który pocwałował w noc. Hyrkańczyk, wydając dźwięczny okrzyk zwycięstwa, założył następną strzałę.

Dwaj inni konni dotarli na szczyt kurhanu i zawrócili, by przypuścić szarżę w dół stoku. Za moment jeden stoczył się wraz z koniem do podnóża kopca, a drugiego przeszła strzała Subotai. Stanął w siodle, skrzecząc w agonii, po czym ze stopą uwięzioną w strzemieniu, został pociągnięty po ostrych skałach przez spłoszonego rumaka.

Poniżej Conana i Subotai czarownik, w świecącej lekko w mroku zbroi, ruszył do samotnego ataku. Myśląc, że starzec oszalał, Conan chciał pobiec z pomocą.

Trzech jeźdźców ruszyło w stronę starego pustelnika. Ten odchylił się do tyłu i włócznia łukiem przemknęła przez ciemność, kryjąc swe ostrze w piersiach pierwszego małpoluda. Trafiony przechylił się na koński zad i ściągnął wodze tak, że zwierzę zatańczyło na tylnych nogach, a potem przewaliło się, przygniatając ранego do ziemi.

Towarzysze powalonego strażnika zawahali się, w ich oczach zabłysło przerażenie.

Drzewce włóczni zaczęło się kołysać w przód i w tył, jakby niewidzialna ręka próbowała wyrwać je z ciała konającego. Chwilę później włócznia uniosła się w powietrze i pomknęła do dłoni starego szamana. Strażnicy zwrócili konie i uciekli w popłochu.

Zdumienie Conana nie trwało długo, gdyż już ruszył na niego kolejny małpolud, tym razem pieszo. Cymmerianin wznosił miecz i ciał potężnie. Stworzenie sparowało cios ostrzem halabardy, które musnęło hełm Conana. Barbarzyńca znów zamachnął się wielkim, dwuręcznym mieczem rozrąbując na dwoje drzewce broni i trzymającego ją małpoluda.

Potem, w odpowiedzi na wydany w mroku rozkaz, strażnicy cofnęli się i przegrupowali na równym gruncie. Conan zerknął na Subotai, który zakładał na cięciwę kolejną strzałę. Wtem na szczyt kurhanu wtargnął samotny jeździec. Jechał prosto do steli, przy której stała przywiązana za nadgarstki księżniczka. Gdy dotarł bliżej, dziewczyna wyprostowała się z szerokim uśmiechem i zawołała:

— Rectorze, przyszedłeś wreszcie! Rozetnij mi więzy i zabierz do tego, którego kocham.

Jeździec zatrzymał rumaka bojowego na wprost rozradowanej dziewczyny. Yasimina napięła więzy, by Rector mógł łatwiej je przeciąć. Ale oczy Rectora pozostały surowe. Płynnym ruchem wznosił topór, który zabłysnął srebrem w świetle wschodzącego księżyca.

Nagle księżniczka zrozumiała, że topór mierzy nie w sznury, ale w jej smukłą szyję. Instynktownie padła na kolana, a topór wykrzesał iskry, odłupując kawał starożytnego nagrobka. Ponury jeździec odjechał z przekleństwem, gdy strzała Subotai zadzwoniła na jego hełmie.

Przez chwilę trzej obrońcy mogli odsapnąć.

Subotai podszedł do Conana.

— Zużyłem ostatnią strzałę — powiedział.

Pustelnik wspiął się na kurhan z oszczepem, który wracał do ręki, ilekroć został rzucony.

— Nie mówiłem, że znam jedną czy dwie sztuczki? — zachichotał.

— Przygotować się! — przerwał mu Subotai chwytając miecz. — Nadchodzą!

Pozostali przy życiu strażnicy zsiadli z koni i teraz zwartą falangą biegli w kierunku obrońców.

Posuwali się w górę zbocza, by dopaść kryjących się za stelarni obrońców. Raptem w połowie drogi napastnicy zawahali się.

— Cofają się! — krzyknął Subotai i lewą ręką złapał włócznię, gotując się, by pobiec na spotkanie niehumanoidalnych stworzeń.

Ale Conan powściągnął jego zapał.

— To zmieszanie jest bardziej udawane niż prawdziwe. Wyczuwam podstęp — mruknął. — Musimy trzymać się wyższego terenu.

Chwilę później rozległ się beładny brzęk zderzających się ostrzy. Conan ściął jednego napastnika i poczuł ukłucie na lewym ramieniu. Subotai przebił włócznią swego przeciwnika, ale w chwili gdy małpolud padał, jego towarzysz złapał drzewce, wyrwał je z ręki Hyrkańczyka i obrócił zakrwawiony grot w jego stronę. Mały złodziej uskoczył, potknął się o kamień i stracił równowagę. Nim zdołał się podnieść, strażnik pchnął go jego własną włócznią. Ostrze przeszło łydkę Subotai i weszło głęboko w ziemię. Gdy strażnik wznosił ciężki miecz, by zadać ostatni cios, z mroku wyskoczył oszczep szamana, który przebił serce małpoluda.

Jak poprzednio, drzewce poruszyło się pod wpływem niewidzialnych sił, ostrze uwolniło się z ciała, a następnie broń wróciła do ręki starca. Pustelnik cisnął ją raz jeszcze, zabijając drugiego strażnika. Trzeci, wrzeszcząc ze strachu, zawrócił i pobiegł w dół kurhanu. Wtem grunt ustąpił pod jego ciężarem i małpolud z rykiem wpadł do najeżonego palami wilczego dołu.

Ogarnięty bojowym szaleństwem Conan wybiegł zza steli mając nadzieję, że uda mu się zaskoczyć samotnego jeźdźcę, który właśnie galopował na szczyt. Włócznia Cymmerianina zadzwoniła bezsilnie na zbroi połyskującej zimno w księżycowej poświacie. Wojownik runął na barbarzyńcę. Podkute stałą kopyta powaliły Cymmerianina, a umiejętny cios wyrwał mu z ręki miecz ojca, który szczęknął o kamienny obelisk. Kolejne cięcie zerwało Conanowi hełm z głowy.

Krwawiąc obficie, Cymmerianin pozbierał się na kolana. Jeździec odjechał kilka kroków, zawrócił wierzchowca i przypuścił ostateczną szarżę na zranionego przeciwnika. Przedtem odchylił przyłbicę, odsłaniając twarz wyszczerzoną w okrutnym uśmiechu. Był to Rexor. Jego pełne okrucieństwa oczy zaskrzyły się na myśl o zadaniu śmiertelnego ciosu.

Conan sięgnął po wytracony miecz i wstał. Jego oczy zwięziły się, upodabniając do dwóch szczelin błękitnego ognia. Wzniósł głownię w salucie gladiatorów i przygotował się, by sprzedać swoje życie tak drogo, jak tylko można. Śmiejąc się szyderczo z zuchwałości młodzieńca, olbrzymi wojownik spiął konia ostrogami i pomknął, unosząc miecz.

W tej samej chwili obok zagrożonego kochanka pojawiła się świetlista Valeria, odziana w lśniącą zbroję. Jasne włosy dziewczyny powiewały pod uskrzydłonym hełmem z błękitnego metalu. Jej ręce zabłyśły w świetle księżyca, a miecz uderzył jak lśniąca błyskawica. Gdy Rexor opuszczał ostrze, by odciąć głowę barbarzyńcy, jego cios został powstrzymany przez ognisty miecz zjawy. Rexor cofnął się przed świetlistą postacią, która cięła go rozjarzonym ostrzem po nie osłoniętych



przyłbicą oczach, Rexor przycisnął jedną rękę do twarzy, by osłonić oczy przed nieznośnym światłem i znieruchomiał w siodle jak sparaliżowany.

Conan wlepił oczy w ducha ukochanej, a włosy zjeżyły mu się z zabobonnego przerażenia. Dziewczyna zwróciła ku niemu roześmianą twarz i wtedy w myślach usłyszał jej słowa: *Cymmerianinie, czy chcesz żyć wiecznie?*

Conan wyprostował się z nową determinacją i wtedy postać w błyszczącej zbroi znikła. Było tak, jakby nigdy nie istniała. Barbarzyńca przypomniał sobie słowa wypowiedziane przez Valerię po tym, jak czarownik mocą swej magii wyrwał go z progu świata umarłych: *Moja miłość jest silniejsza od śmierci... Jeżeli umrę, a ty będziesz w niebezpieczeństwie, wrócę z otchłani... by walczyć u twego boku.*

To wspomnienie dało rannemu młodzieńcowi niezwykłą siłę. Nie zważając na ból ruszył ku rumakowi, którego dosiadł Rexor wciąż trący oślepię oczy. Chwycił stopę ogromnego jeźdźca, wyrwał ją ze strzemia i zrzucił go z siodła.

Rexor wylądował niczym kot na lekko ugiętych nogach, a Cymmerianin trzasnął płazem w zad konia i przerażone zwierzę pocwałowało w ciemność.

Conan natarł na Rexora, tnąc oburącz mieczem ojca. Ogromny wojownik, który odzyskał już wzrok, dźgnął młodszego przeciwnika. Conan zrobił unik i wyprowadził zamaszty cios na odlew. Potem raz jeszcze zamłynkował potężnym mieczem nad głową i spuścił go z ogromną siłą prosto w pierś wyznawcy węża. Rexor znieruchomiał wyprostowany. Wyglądał jak wieża mięśni wrośnięta w ziemię, lecz po chwili runął do tyłu. Jego zbroja szczęknęła i znieruchomiała.

Conan wziął głęboki oddech, po czym rozejrzał się. Subotai, z nogą obandażowaną przez pustelnika, stał na skraju kurhana patrząc, jak grupa niedobitków ucieka galopem w kierunku Góry Mocy. Wkrótce połknęła ich noc.

Ciszę, która zapadła na pobojowisku, przerwał głos Yasiminy. Wojownicy spojrzeli w jej stronę i na tle usianego gwiazdami nieba zobaczyli szczupłą sylwetkę Thulsa Dooma. Elegancki w swej gadziej zbroi, dumny mesjasz Seta patrzył obojętnie na dziewczynę, która była księżniczką Zamory, kapłanką Seta i jego niedoszłą małżonką.

— Mistrzu! Mówiłam im, że przyjdiesz! — zapiszczała Yasimina. — Rozwiąż mnie, bym mogła odejść z tobą.

— To niemożliwe — padła krótka odpowiedź. — Skalali cię, tak jak zbezczeszcili moją świątynię.

— Nie, panie. Byłam ci wierna, panie mój, mój ojcie. Nie opuszczaj mnie!

— Już nie nadajesz się na żonę.

— Zatem, Mistrzu, z rozkoszą zostanę twoją niewolnicą. Nie zostawiaj mnie tu wśród wrogów Seta!

— Nie bój się, dziecko — miękki jak jedwab głos Dooma zabrzmiał uspokajająco.

Thulsa Doom zdjął z szyi wijącą się zmię i przemienił ją w śmiercionośną strzałę. Yasimina patrzyła bez śladu zrozumienia, ale Subotai dostrzegł poczynania mesjasza Seta i domyślił się, co ten zamierza zrobić. Gdy Doom zakładał swą magiczną strzałę na cięciwę, Hyrkańczyk pokuśtykał w jego stronę i w chwili, gdy pocisk z sykiem rozciął powietrze, Subotai skoczył unosząc tarczę. Strzała uderzyła w drewno i przemieniła się na powrót w zmię, która wijąc się upadła na ziemię.

Złodziej dobył miecza i porąbał gada na kawałki.

Yasimina opuściła głowę i wybuchnęła histerycznym płaczem. Conan dumnym krokiem ruszył w kierunku Dooma i stanął między nim a jego niedoszłą ofiarą. Doom zerknął na broń Cymmerianina — miecz ze świetnej stali Atlantów, wykuty przez cymmeriańskiego kowala wiele lat temu. A potem spojrział w zdeterminowaną twarz barbarzyńcy i zimne szpony strachu ścisnęły jego serce. Thulsa Doom zadrzał, wbił ostrogi w boki karego rumaka, zawrócił i pocwałował za niedobitkami swej straży.

— Potężne duchy tutaj mieszkają — rzekł wiekowy mędrzec i dodał: — Dzisiaj walczyły po twojej stronie.

— Wiem, starcze, wiem — wymruczał Conan, myśląc o świetlistej postaci Valerii. — Ty i Subotai zrobiliście nie mniej od nich.

Młody olbrzym odwrócił się i delikatnie ujął twarz księżniczki w ogromne dłonie.

— On chciał cię zabić, wiesz o tym. Najpierw wysłał swego sługę, a potem przyszedł sam.

Dziewczyna machinalnie pokiwała głową. Conan mówił dalej:

— Teraz ja muszę go zabić, bowiem on jest wcielonym złem. I ty musisz mnie do niego zaprowadzić. Zrobisz to?

Księżniczka znów skinęła, a smutny uśmiech zagubionego dziecka zakwitł na jej mokrej od łez twarzy.

— Zrozumiesz to... pewnego dnia... kiedy będziesz królową... — powiedział Conan przecinając więzy.

Przez resztę nocy Cymmerianin i szaman na zmianę trzymali straż nad księżniczką i rannym Subotai. O świcie Conan przebudził się i zobaczył obok siebie zamyślonego pustelnika. Starzec mruknął:

— Pozwól mi obejrzeć talizman, który zdjąłeś z szyi Valerii. Chcę obejrzeć go w świetle dnia — wskazał na wąski snop światła, który znalazł drogę do wnętrza chaty, po czym dodał: — Moja wiedza może okazać się przydatna.

Conan zdjął Oko Seta i podał starcowi. Ten podniósł kamień do światła i patrzył, jak jego blask rozjaśnia skromną izbę. W końcu przemówił:

— To Oko Seta. Czy wiesz, że posiada magiczne właściwości?

— Nie. Dla mnie to tylko droga błyskotka.

— Jest znany i sławny wśród czarnoksiężników. Skąd go masz?

— Ukradliśmy go z Wężowej Wieży w Shadizar — wyznał Cymmerianin. — Ryzykowaliśmy życie, by go zdobyć.

— Nie dziwota, że wierni strzegli go tak dobrze ani że chcieli potem zabić ciebie — odparł czarownik. — Mówią, że jedną z właściwości tego kamienia jest możliwość rozkazywania małpoludom, które Doom trzyma na swoje usługi. Pokaż go któremuś i wydaj rozkaz, a on natychmiast cię posłucha.

W oczach Conana rozbłysło zdumienie.

— Na Croma, czemuś nie powiedział mi tego wcześniej! Zaoszczędziłoby to nam wczorajszej walki.

Szaman rozłożył ręce.

— Próbowałem wypytać cię o ten klejnot, ale ty nie chciałeś mówić i schowałeś go szybko.

Conan zagryzł usta.

— Muszę przyznać ci rację, starcze. Musiała to być jakaś sztuczka złośliwego losu. Cóż, mam jeszcze zemstę do dopełnienia, a ten klejnot może okazać się przydatny — mówiąc te słowa, zarzucił ramię na szyję i ukrył klejnot pod tuniką.

# XVII

## Zemsta

Wyznawcy Seta zgromadzili się w wielkiej świątyni, by wysłuchać nauk swego mistrza. Setki świec oświetlały natchnione twarze wiernych. Dźwięki fletów tworzyły uroczystą muzykę, która odbijała się od stropu jaskini, wprawiając czcicieli Seta w ekstazę.

Zapadła cisza, gdy Thulsa Doom, wspaniały w swej łuskowatej zbroi, wszedł na podwyższenie i popatrzył na wiernych. W jego mrocznych oczach nie było najmniejszego śladu człowieczeństwa. Doom spojrzął ponad wzniesionymi twarzami i wbił wzrok w przestrzeń, jakby ujrzał tam wizję przyszłości widoczną tylko dla niego, a następnie przemówił:

— Nadszedł dzień przeznaczenia, czas oczyszczenia. Wszyscy wielcy tego świata, którzy sprzeciwiają się nam, wszyscy, którzy oszukiwali was i próbowali oderwać ode mnie; rodzice, nauczyciele, sędziowie, oni wszyscy niech zginą w nocy krwi i ognia. Wtedy ziemia zostanie oczyszczona i przygotowana na przyjęcie boga, którego czcimy.

— Seta! — jęknęli w ekstazie słuchacze. Miękki, gładki głos Dooma kontynuował:

— Wy, moje dzieci, jesteście czystą wodą, która zmyje świat. Wy zniszczycie wszystkich, którzy są nam przeciwni. W swoich rękach poniesiecie wieczne światło, które płonie w oczach Seta!

— Seta! — powtórzyli zebrani jak jeden mąż.

Doom zapalił świecę trzymaną przez klęczącego kapłana.

— Jeżeli będziecie czynić to, co wam nakazę, ten płomień przepędzi ciemność i oświetli wam drogę do raj.

W kierunku twierdzy Thulsa Dooma bok w bok jechały dwa konie. Jednego dosiadała księżniczka Yasimina, odziana w jedwabną szatę wyjętą z juków Valerii. Drugi, większy, niósł mężczyznę w skórzanej zbroi i hełmie strażnika świątyni. Stukot końskich kopyt nie zdołał zagłuszyć dźwięcznych słów, które płynęły niczym płatki kwiatów niesione wiosenną bryzą:

— Kochałam go, a on próbował mnie zabić! Dlaczego?

Conan wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Ale dopóki Doom nie zginie, ty nie będziesz bezpieczna, a duchy moich rodziców nie zaznają spokoju. Thulsa Doom musi umrzeć!

— Wolałabym, żeby towarzyszył ci Subotai.

— Ale on leży ranny pod opieką pustelnika.

— A jakiej pomocy ja mogę ci udzielić?

— Musisz zaprowadzić mnie do Mistrza, jak go nazywasz. Nikt nie zna dróg w tej górze lepiej od tego, kto w niej mieszkał.

Dziewczyna spojrzała na Górę Mocy, która tak niedawno była jej domem. Zadrżała.

— Nadal go wielbię. Jak mogę przyłożyć rękę do jego zniszczenia?

— Musisz to zrobić. Dla siebie i Zamory.

— Dla mego kraju? Jak to?

Conan rzekł łagodnie:

— Widziałaś wschodzące słońce, które przepędziło lęki nocy? Potwory miłujące mrok cofnęły się przed jego światłem i ukryły. Ty musisz być wschodzącym słońcem Zamory.

Yasimina skinęła głową, a w jej oczach zabłyśły łzy.

Księżniczka podjechała prosto do wrót górskiej warowni. Conan, w przebraniu strażnika, spokojnie podążył za nią. Wartownicy nie wiedzieli, że ich pan odtrącił dziewczynę i skazał ją na śmierć. Wrota stanęły otworem, po czym wierzchowce odprowadzano do stajni.

Podnosząc dumnie głowę, jak na kapłankę Seta przystało. Yasimina ruszyła szeroką aleją wiodącą do świątyni boga — węża. Zatrzymała się, by wsunąć palce do nieruchomej wody w sadzawce u stóp szerokich schodów i zerknęła na towarzyszącego jej wojownika. Potem starając się uspokoić trzepoczące trwożliwe serce, weszła do sanktuarium.

Poruszali się bezgłośnie w mroku rozległego pomieszczenia. Przytłumione światła świec nie zdołały ujawnić rysów księżniczki. Za tłumem wiernych stało dwudziestu uzbrojonych strażników, lecz i oni nie zauważyli przybycia obcej pary. Ich uwaga była skierowana na Dooma, który wznosząc ramiona kontynuował przemowę:

— Wiedźcie, że na twardych drogach, którymi zaraz podążycie, może was spotkać zmęczenie i ból serca. Może towarzyszyć wam głód i samotność, a ukochani staną się waszymi wrogami. Jednakże zawsze będzie szedł z wami Set, a wszyscy, którzy ośmielą się stanąć przeciwko niemu, mają zostać zabici, póki cały świat nie znajdzie się pod jego panowaniem.

Conan zerknął na Yasiminę. Dziwne emocje: smutek, miłość i nienawiść przemykały po twarzy księżniczki, gdy patrzyła na człowieka, który, jak sądziła, kochał ją, lecz który chciał przelać jej krew tak niedbale, jak ktoś wychlustujący z puchara resztki wina.

W ukrytych pod hełmem oczach Conana jarzyła się zimna wściekłość. Jego misja nie ograniczała się już wyłącznie do zemsty. Jego przeznaczeniem stało się uwolnić ziemię od grożącego jej zła. Pojął, że wszystkie dni jego życia; lata harówki i cierpienia przy Kole Bólu, miesiące doskonalenia umiejętności gladiatora, męcząca wędrówka przez wrogi kraj — były tylko przygotowaniem do tej chwili.

Doom, wysoki i milczący, stał na podwyższeniu wznosząc nad głową zapaloną świecę. Jego twarz była zwrócona w górę, jak gdyby spijał promienie światła. Przed podwyższeniem jeden z pomniejszych kapłanów rozpoczął rytuał. W rytm jego hipnotyzującego śpiewu ciała wyznawców zaczęły kołysać się niczym węże przed zaklinaczem.

— Ślepe twoje oczy, mistyczny wężu — zaintonował kapłan. — *Kabil sabul; Kabil Kabil; Kabil hakim!* Wzniesź ślepe oczy do księżyca. Któż wzywa cię do otchłani nocy? Jakiż cień wkrada się między światło a ciebie? Spójrz w oczy cienia, o Ojczy Secie. Spójrz i zetrzyj jego duszę na wyschnięty pył! Zabij go, zabij go, zabij! I wszystkich, którzy kochają go, zabij.

Oczarowany tłum powtórzył:

— Zabij!

Nie przerywając monotonnego śpiewu, kapłan ruszył do przodu, wznosząc wysoko zapaloną świecę. Thulsa Doom, cudzoziemiec ze Wschodu, czarnoksiężnik, najwyższy kapłan Seta szedł

niczym zdobywca za swoim akolitą. Wierni, rząd po rządzie, ruszyli za nim, osłaniając dłońmi płomienie świec. Przy wielkim portalu Doom zatrzymał się, by udzielić ostatniego błogosławieństwa kohortom, które zaraz miały zatopić w świat w oceanie zbrodni.

Gdy wzniosł rękę, nagła fala konsternacji przetoczyła się wśród zgromadzonych, tak jak rzucony kamyk burzy powierzchnię wody. Czar prysł. Zapadła cisza.

Doom odwrócił się, by zobaczyć przyczynę niepokoju, strażnicy zaś sprawnie zajęli pozycje między nim a wiernymi. Zwarli szereg tworząc żywy mur, przez który nikt nie mógł się przedrzeć, i czekali na dalsze rozkazy.

Conan kocim krokiem wszedł w światło świec. W jego dłoni błyszczał miecz ojca. Poruszał się z taką samą nieuchronnością, jak fala przyływu zagarniająca połacie piasku. Stojący na czele wiernych kapłan cofnął się w popłochu. Cymmerianin szedł ze spokojną pewnością człowieka, którego wiedzie ręka Przeznaczenia.

Doom nawet nie drgnął. W jego zimnych, gadzich oczach nie pojawił się ani strach, ani zdziwienie.

— Nie bójcie się! — zawołał. — To tylko śmiertelnik! Już nie może powstrzymać potoku naszego zwycięstwa. Straże! Brać go!

Nim któryś z nierozgarniętych małpoludów zdążył zareagować, Conan wyciągnął olbrzymi klejnot skradziony ze świątyni w Shadizar i powtórzył słowa, których nauczył go stary szaman.

— Cofnijcie się, w imię Boga! — ryknął. — *Podozhditye, nazad!* Cofnąć się i wstrzymać innych!

Na widok szkarłatnego Oka Seta strażnicy skurczyli się jak pod piekącym uderzeniem bicia. Nie łamiąc szeregów, sprawnie wykonali rozkaz. Teraz wyznawcy Seta mogli jedynie bezradnie przypatrywać się wydarzeniom. Natomiast kapłan umknął z wrzaskiem w dół szerokich schodów.

Szczupła ascetyczna twarz Dooma nadal była pozbawiona wyrazu, ale jego przenikliwe węzowe oczy wpatrzone badawczo w twarz Cymmerianina zdawały się zagłębiać w samą jego duszę. W barbarzyńskim młodzieńcu czarnoksiężnik doszukał się siły i zwykłych ludzkich uczuć, które uznał za słabość. Na jego ustach pojawił się triumfalny uśmiech.

— Wreszcie przyszedłeś do mnie, Conanie, jak syn do ojca — zaczął cichym, hipnotyzującym głosem. — I słusznie, bowiem któż jest twym ojcem, jeżeli nie ja? Kto dał ci wolę walki o życie? Kto nauczył cię znosić wszelkie cierpienia? Ja jestem źródłem, z którego bierze początek twoja siła. Jeżeli umrę, twoje życie straci sens.

Młody Cymmerianin miał wrażenie, że oczy Mistrza powiększają się i przesłaniają cały świat. Stał w bezkresnej pustce między gwiazdami, widząc jedynie te płonące, nieruchome źrenice. Uwodzący głos mruczał:

— Beze mnie będzie tak, jakbyś nigdy nie istniał. Synu mój, jestem ci przyjacielem, nie wrogiem!

Przez długą chwilę ciemne oczy Dooma, emanujące nieziemską siłą, wabiły Conana mocą czaru. Barbarzyńca zamrugał i wzywając na pomoc całą swą odwagę i siłę woli, oderwał wzrok od ślepi Dooma. W tym samym momencie wyciągnął lewą rękę i zakołysał Okiem Seta przed twarzą Thulsa Dooma. Ten wlepił oczy w rozkołysany klejnot, potem z przerażeniem spojrzął na dyszącego zemstą Conana.

Na oczach wiernych szyja Dooma wydłużyła się. Szczęki wysunęły się do przodu, nos skurczył się i zniknął, czoło cofnęło, a usta ścieniały. Ciemne oczy zapadły się w głąb pozbawionych powiek orbit, z uzębionej paszczy wysunął się purpurowy, rozdwojony jęzor. Po chwili Thulsa Doom miał już pokryty łuskami łeb przedstawiciela starożytnej rasy ludzi-węży — odwiecznych wrogów

ludzkości.

Z ust zgromadzonych wyrwało się głośnie westchnienie. Drżenie przetoczyło się przez milczący tłum, księżniczka, obserwująca rozgrywającą się przed nią scenę, wydała zduszony krzyk, a po jej policzkach spłynęły łzy przerażenia i ulgi.

Miecz Conana zawył kreśląc szeroki łuk i odrąbał gadzią głowę od ludzkiego tułowia. Ciało upadło, wijąc się jak rozdeptany wąż. Odrąbana głowa stoczyła się ze schodów i legła obok fontanny.

Conan patrzył na zlany posoką łeb spoczywający w purpurowych cieniach umierającego dnia. Potem, na wpół do siebie, przemówił:

— Mój ojciec był światłem dnia, Thulsa Doom moją nocą. Miał rację tylko w jednym; ważna jest nie stal w ostrzu, lecz stal w człowieku.

Conan odwrócił się do strażników, którzy, posłuszni jego rozkazowi, nadal trzymali zgromadzonych w szachu. Wznosząc Oko Seta raz jeszcze, rozkazał:

— Wy, którzy strzeżliście Dooma, odejdźcie do swoich jaskiń i znajdźcie sobie inne źródło pożywienia. Idźcie!

Po odejściu małpoludów Conan spojrzął na byłych zwolenników Thulsa Dooma. Niektórzy patrzyli na niego z przygnębieniem, jakby nie wiedzieli, gdzie są ani jak dostali się do tego obcego miejsca. Niektórzy rozpaczali po zabitym przywódcy. Inni płakali za utraconym Rajem, a ich jęki wzbierały niczym nieskończony śpiew fal.

Conan przemawiał do nich:

— Wiem, że czujecie się jak sieroty, ale macie domy, do których możecie wrócić, i czekających na was bliskich. Ja nie mam nikogo, a jednak jestem zadowolony i wy też winniście być, bowiem od tej nocy jesteście wolni. Idźcie do domów!

Barbarzyńca stał na progu świątyni, gdy osierocone dzieci Dooma chwiejnie ruszyły w dół schodów. Kolejno rzucali zapalone świece do sadzawki. Płomienie z sykiem przepadały w nicości.

Po odejściu ostatnich wyznawców Conan wytarł z gądziej krwi miecz, który tak długo zaprzętała jego myśli i sny. Siedząc przed bramą, obserwował gasnące płomyki. Z mieczem ojca na kolanach, wspominał przeszłość i zastanawiał się, co przyniosą mu przyszłe lata. Yasimina, która wraz z innymi zgasła swoją świecę — symbol zamierzonego przez Dooma podboju świata, weszła na puste już schody. Przycupnęła obok Conana, szukając w nim siły. Była jednak zbyt pokorna, by przerwać jego zadumę.

Tak przeczekali noc.

Gdy świt zapowiedział nadejście nowego dnia, Conan zauważył dziwne zmiany w otaczającej go scenerii. Kamienne stopnie były wykruszone, jakby nadgryzione zębem czasu. Krzewy i kwiaty w ogrodzie uschły, a chodniki wokół zatęchłej sadzawki znały błotniste ślady stóp. Główna droga była spękana, jak gdyby jakiś czar, utrzymujący ją przez wieki w nienaruszonym stanie, nagle został przełamany. Wykuta w skale fasada świątyni kruszyła się. Na oczach barbarzyńcy kawałki kamienia z trzaskiem spadały na próg.

Napięcie opuściło go, był spokojny, lecz poczucie wypełnionego przeznaczenia mieszało się w nim z chęcią jak najszybszego opuszczenia tego przeklętego miejsca. Pragnął zostawić za sobą wszystkie wspomnienia. Wstał. Księżniczka zerwała się na nogi.

— Co teraz? — zapytała.

— Subotai i ja odwieziemy cię do domu — odburknął Cymmerianin. — Ojciec ucieszy się na twój widok.

— Mój ojciec nie żyje. Ledwie pięć dni temu przybył posłaniec z Shadizar, który powiedział, że ojciec został zabity przez pachołków Yaro.

— Zatem jesteś królową i będziesz potrzebna w Zamorze, by władać swym osieroconym krajem.

— Ale co z Yaro? On nie uzna mojej władzy.

— Nie ma obawy, poradzę sobie z nim. Teraz pora iść.

— Ale — upierała się dziewczyna — w Zamorze są inne Wieże Seta i inni kapłani boga-węża.

Co z nimi?

Conan milczał chwilę, zastanawiając się. Wreszcie rzekł:

— Wiele z wież rozpadnie się i zniszczeje, bowiem cel ich istnienia zginął wraz z Thulsa Doomem. Kult może przetrwać tu i tam, bo węże trudno jest wybić. Być może wyznawcy Seta znów podniosą głowy, ale nie sądzę, by nastąpiło to za naszego życia.

Yasimina spojrzała uważnie na twarz barbarzyńcy i uśmiechnęła się.

Gdy lato przyobkleło się w rdzawe suknie jesieni, Conan imponujący w swej nowej, błyszczącej zbroi cwałował na karym ogierze wzdłuż pustych już zamorańskich pól. Wreszcie zrównał się z człowiekiem, którego gonił — małym Hyrkańczykiem jadącym na kudłatym stepowym kucu.

— Dlaczego odjechałeś bez słowa? — zapytał Conan.

Subotai wzruszył ramionami.

— Powiedzieli mi, że królowa zaproponowała ci miejsce obok siebie na tronie — złodziej wyszczerzył zęby i dodał: — Pomyślałem, że będziesz zbyt zajęty swymi łóż... królewskimi obowiązkami, by mieć czas dla starego towarzysza. Ale co tu robisz? Wziąłem nie więcej, jak swój uczciwy udział z nagrody królowej za Oko Seta, chociaż nie mam pojęcia, po co jej ten klejnot.

— Ja też wziąłem swoje przed wyjazdem z miasta — oznajmił Cymmerianin.

— To znaczy, że odrzuciłeś rękę królowej?

Conan chrząknął.

— Jeżeli przywdzieję koronę, to tylko wtedy, gdy zdobędę ją własnym mieczem. Nigdy nie wezmę jej z rąk panny młodej!

— Dziwne są cymmeriańskie obyczaje! — westchnął Subotai. — A jak pozbyłeś się kapłana Yaro? Chciałem wtedy być u twego boku, zamiast pełnić służbę w pałacu!

Conan wzruszył ramionami.

— Niewiele było walki. Kiedy mieszkańcy Shadizar dowiedzieli się, że Doom nie żyje, zwolennicy czarnego kapłana obrócili się przeciwko niemu. Nie miałem okazji dobyć miecza. Sami słudzy Yaro rozszarpali go gołymi rękami.

— Dokąd teraz zmierzasz?

— Na zachód, nad wielkie morze. A ty?

Hyrkańczyk wyciągnął rękę.

— Na wschód, do mojej ojczyzny. Jak sądzisz, czy jeszcze się kiedyś spotkamy?

Conan uśmiechnął się szeroko.

— Świat nie jest dość szeroki, by tacy dwaj awanturnicy mieli się nigdy nie zobaczyć. Spotkamy się, ale tylko Crom wie, gdzie i kiedy.



— Może u wrót piekła — zaśmiał się Subotai.

— Zatem do tego dnia, dobrej walki!

Dwaj przyjaciele objęli się i uściskali poklepując po ramionach. Potem skręcili konie i oddalili na kilkanaście kroków.

— Co cię ciągnie na zachód?! — zawołał jeszcze Subotai.

— Złoto, klejnoty, piękne kobiety i wyborne czerwone wino! — ryknął w odpowiedzi Conan.

Nie oglądając się więcej ruszyli w przeciwnie strony świata.